

JERZY EDIGEY

**Elżbieta odchodzi**

**„KB”**

**Akcja powieści „Elżbieta odchodzi” oparta jest w dużej mierze na wydarzeniach prawdziwych. Wzmianki o tego rodzaju sprawie przed paru laty znajdowały się w prasie polskiej. Jest to jednak nie reportaż sądowy, ani streszczenie akt śledztwa, lecz powieść. Z tych względów autor uważał za stosowne zmienić nazwiska osób występujących w książce, a nawet tło i miejsce akcji. Wszelkie podobieństwo imion i nazwisk do kogokolwiek, może być jedynie przypadkowe.**

*AUTOR*

### **Puste mieszkanie**

Klucz lekko obrócił się w zamku. Szczęknął odchylony zatrzask i drzwi otworzyły się szeroko. Inżynier Adam Wojciechowski wszedł do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi. Trochę zdziwiło go, że Ela nie wyszła mu na spotkanie. Dotychczas rytuałem było, że żona witała go zawsze w progu domu.

Widocznie tak cicho wszedłem, że nle usłyszała - pomyślał Wojciechowski.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi i kuchni. Najpierw wchodziło się do dość długiego przedpokoju, z którego aż czworo drzwi prowadziło do różnych części lokalu - pokoi, kuchni i łazienki. Pierwszy od wejścia znajdował się gabinet Wojciechowskiego. Za nim, połączony rozsuwaną ścianą, był nieco mniejszy pokój Elżbiety.

Powiesiwszy płaszcz na wieszaku w przedpokoju, pan domu wszedł do gabinetu i zerknął w stronę następnego pomieszczenia. Rozsuwane drzwi były jak zwykle otwarte, lecz obydwie pokoje puste.

Ela musi być w kuchni - inżynier przeszedł przez pokój żony i otworzył drzwi

do kuchni.

Tu jednak również nie było żywego ducha. Tylko na gazowej kuchence stał aluminiowy rondel do połowy wypełniony obranymi ziemniakami i zalany wodą. Duży kalafior leżał tuż obok na stole.

- Elu! Jesteś tam? - zawołał inżynier podchodząc do drzwi łazienki.

Odpowiedziało mu milczenie. Nacisnął klamkę. Łazienka też była pusta.

Widocznie Elżbieta wyszła na chwilę - pomyślał Adam - pewnie zapomniała czegoś kupić.

Powrócił do swojego pokoju, ulokował się w wygodnym fotelu i wyjąwszy z kieszeni popołudniówkę, oddał się lekturze. Wiadomości, które tam znalazł, zajęły go na tyle, że na pewien czas oderwały myśli od dziwnej nieobecności żony. Adam i Elżbieta Wojciechowscy byli dopiero siedem miesięcy po ślubie. Nic dziwnego, że wyłom w ustalonych zwyczajach zaskoczył inżyniera.

W pewnym momencie spojrzął na zegarek. Dochodziło wpół do piątej. To już ponad godzinę jak wrócił z fabryki do domu, a Elżbieta ciągle nie powracała.

- Nastawię obiad - postanowił.

Był porządnie głodny. Od siódmej rano, od wyjścia z domu, nie miał niczego w ustach. Z pracy wracał zwykle parę minut po trzeciej i zaraz siadali do stołu. Elżbieta nigdzie nie pracowała, mąż sprzeciwił się temu kategorycznie i zażądał, aby w dniu ślubu rzuciła posadę w spółdzielczości, więc obiad był zawsze gotowy z chwilą wejścia pana domu do mieszkania.

Poszedł do kuchni. Zapalił gaz. Postawił na fajerce garnek z ziemniakami i osolił je. Obrął z niepotrzebnych listków kalafior, wyciągnął z szafki, pod zlewem jakiś większy rondel i również postawił na ogniu. W lodówce znalazł mięso już udużone, tylko do podgrzania.

Do godziny szóstej inżynier czekał na żonę z obiadem. W końcu zjadł sam. Zaczął się denerwować. Nieobecność Elżbiety była niczym nie wytłumaczona. Jeżeli nawet musiała nagle wyjść z domu na dłużej, to dlaczego nie zostawiła kartki z wyjaśnieniem? Mogła też zadzwonić z miasta i powiedzieć, co się z nią dzieje. Ale mały czarny aparat stojący na biurku w gabinecie milczał jak zakłęty.

Okolo godziny siódmej Wojciechowski, nie mogąc dłużej usiedzieć w domu, postanowił wyjść. W pobliskiej kawiarni zbierali się co wieczór znajomi i przyjaciele. Napisał więc na kawałku papieru, dokąd wychodzi i opuścił mieszkanie. Jednakże i w kawiarni nie mógł się pozbyć coraz bardziej narastającego niepokoju o żonę.

Trzykrotnie telefonował z szatni do domu, lecz za każdym razem nikt tam nie podnosił słuchawki.

Z kawiarni Adam wyszedł około godziny dziewiętej wieczorem. Powrót do domu zajął mu kwadrans. Żony ciągle nie było. Zaniepokojony nie na żarty, zdecydował się zatelefonować do pogotowia milicyjnego.

Telefon przyjął dyżurny sierżant.

- Ja w sprawie żony - niezręcznie zaczął Wojciechowski.

- Tak. Słucham - funkcjonariusz milicji był cierpliwy i przyzwyczajony, że ludzie alarmujący pogotowie są zdenerwowani i nie zawsze potrafią zwięźle zreferować sprawę.

- Moja żona - poprawił się Adam - wyszła z domu i dotychczas nie wróciła.

- Kiedy to było? - zapytał milicjant.

- Wróciłem z pracy po godzinie piętnastej - wyjaśnił inżynier.

- Dobrze, ale z kim mówię?

- Przepraszam. Tu inżynier Adam Wojciechowski. Pracuję w Fabryce Maszyn Precyzyjnych. Mieszkam przy ulicy Złotej 51. Imię żony - Elżbieta. Elżbieta Wojciechowska, lat dwadzieścia siedem. Wysoka, przystojna brunetka.

- Tak. Zanotowałem. Kiedy wam żona zaginęła?

- Wróciłem z pracy do domu i żony nie było. Nie wiem, kiedy wyszła z domu i co się z nią stało.

- Obywatelu! Od waszego powrotu do domu upłynęło zaledwie niecałe siedem godzin. Wszczynamy poszukiwania najwcześniej po upływie dwudziestu czterech godzin od momentu czyjegoś zaginięcia. Przecież często się zdarza, że ktoś wychodzi z domu i jego nieobecność przeciąga się. Czy wy sami zawsze wracacie o ustalonych godzinach? Czy nigdy nie zdarzyło się wam nawalić z powrotem do domu?

Inżynier w duchu przyznał rację funkcjonariuszowi milicji. Przecież nie dalej jak w ubiegłym miesiącu niespodziewanie musiał jechać z naczelnym dyrektorem do pewnej fabryki i nie miał nawet czasu zatelefonować do Eli. Wprawdzie prosił o to kolegę, lecz ten, w nawale zajęć, zapomniał o prośbie. Tymczasem podróż przedłużyła się Wojciechowski wrócił do Warszawy już po dziesiątej wieczorem. Był wtedy mile zdziwiony i schlebilo to jego męskiej ambicji, że zastał żonę bardzo niespokojną, ze śladami łez. Ale on przecież pracuje i taki powrót jest zawsze czymś usprawiedliwiony. Co innego Ela...

- Może do żony przyjechał ktoś z prowincji i wyszła na większe zakupy -

milicjant podsuwał najprostsze i najbardziej życiowe wytłumaczenie nieobecności Elżbiety.

- To zostawiłaby kartkę z wiadomością.

- A może, obywatelu, pokłóciliście się z małżonką i ona po prostu poszła do swojej matki?

- Nie kłóciliśmy się nigdy. Ona nie ma matki.

Niech się pan nie denerwuje. Jeżeli do jutra wieczorem nie będzie pan miał żadnej wiadomości, zaczniemy poszukiwania. Teraz mogę jedynie sprawdzić, czy pańska żona nie została zatrzymana przez milicję lub nie uległa jakiemuś wypadkowi.

- Ależ to nonsens! Co pan mówi?! Dlaczego miałaby być zatrzymana przez milicję?

- Nie wiem. Codziennie MO zatrzymuje w Warszawie kilkaset osób. Często taki zatrzymany przypadkowo znajdzie się w miejscu jakiejś bójki czy awantury i wraz z innymi sprawcami zostaje zabrany na przesłuchanie. Różnie się zdarza... Poza tym sprawdzimy w szpitalach, pogotowiu ratunkowym, kostnicy...

- Och! - jęknął inżynier. - Czy myślicie...

- Nic nie myślę. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy i lada chwila wasza żona wróci do domu. Sami przecież nie wiecie, co się z nią stało, więc muszą sprawdzić. Zadzwońcie, obywatelu jeżeli małżonka nie wróci za dwie godziny.

Elżbieta ciągle nie wracała. Adamowi te dwie godziny dłużyły się jak wiek. Był coraz bardziej niespokojny. Pobudzona przez nerwy fantazja wciąż podsuwała widoki jakichś wypadków, katastrof samochodowych, których ofiarą padła żona. Wreszcie po półtorej godzinie inżynier nie wytrzymał i znowu nakręcił numer pogotowia milicyjnego.

Tym razem telefon przyjął jakiś oficer. Wojciechowski musiał przeto od początku opowiadać całą historię. Również i porucznik nie przejął się zbytnio zaginięciem Elżbiety. Bywa niekiedy - zauważył nawet - że żona wyjdzie i w ogóle nie wróci a przysyła pozew rozwodowy. Odszukał jednak poprzedni meldunek.

- Możecie być spokojni - powiedział - sprawdziliśmy. Waszej żonie nic się nie stało, nie ma jej w żadnym z aresztów komend dzielnicowych ani w areszcie komendy wojewódzkiej. Nie uległa również wypadkowi - Pogotowie ratunkowe nie udzielało takiej osobie pomocy i nie znajduje się ona w szpitalu. Także w kostnicy, w dniu dzisiejszym, nie ma żadnych niezidentyfikowanych zwłok. Czekajcie cierpliwie. Żona na pewno się zjawi. Prędzej czy później.

Zrezygnowanym ruchem inżynier odłożył słuchawkę. „Pocieszenia” przedstawiciela milicji bynajmniej go nie uspokoiły.

Upłynęła znowu godzina. Elżbieta nie wracała i nie dzwoniła. Niepokój Wojciechowskiego doszedł do szczytu. Postanowił, pomimo późnej pory, zadzwonić do jednego ze swoich przyjaciół, pułkownika Jareckiego, zajmującego poważne stanowisko w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Jareckiego znał jeszcze sprzed wojny, razem chodzili do szkoły. Później, po wojnie, dawni koledzy spotkali się przypadkowo. Po prostu Adam Wojciechowski dostał posadę w Fabryce Maszyn Precyzyjnych i wkrótce dał się poznać jako wybitnie zdolny inżynier, wynalazca szeregu różnych aparatów. Między innymi i takich, którymi szczególnie interesowało się wojsko. Właśnie wtedy, podczas prób jednego z wynalazków, major Jarecki reprezentował wojsko. Obaj mężczyźni odnowili szkolną znajomość, która szybko przerodziła się w przyjaźń. Inżynier wiedział, że w każdej sytuacji może liczyć na Zygmunta.

W przeciwieństwie do inżyniera, mającego gwałtowny charakter i jak każdy niemal naukowiec nieco roztargnionego, pułkownik był zawsze spokojny, zawsze doskonale panujący nad sobą, stanowiąc wzór człowieka zimnej krwi, umiającego obliczyć wszystkie szanse „za” i „przeciw”, ale w razie potrzeby nie cofającego się przed koniecznym ryzykiem. „Urodzony dowódca” - tak go już nawet w szkole nazywali koledzy i nauczyciele.

Z pomocy i opieki przyjaciela Adam nieraz korzystał. Przede wszystkim w trudnych i gorzkich chwilach, gdy przed przeszło dziesięciu laty jego pierwsze, nieudane małżeństwo przyniosło mu jedynie rozczarowanie, aż do momentu kiedy inżynier omal nie targnął się na własne życie.

Właśnie wówczas spokój i opanowanie, cechy Zygmunta, których tak brakowało Wojciechowskiemu, pozwoliły mu znaleźć u przyjaciela cenną pomoc w ciężkich godzinach.

Nic też dziwnego, że chociaż dochodziła już północ, inżynier zdecydował się nakręcić numer telefonu Jareckiego. Za chwilę rozległ się w słuchawce głos człowieka niewątpliwie wyrwanego z pierwszego, najlepszego snu.

- Tu Adam. Przepraszam, że tak późno dzwonię.

- Adam? - powtórzył na pół rozbudzony pułkownik. - Jak się masz - dodał już przytomniej. - Oczywiście, że nie za późno, jeszcze czytałem - temu kłamstwu przeczył jednak wyraźnie zaspany głos.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale Elżbieta...

- Co się stało?

- Elżbiety nie ma. Boję się, że odeszła.

- Co ty gadasz? Nie opowiadaj głupstw. - Pułkownik był już zupełnie przytomny.

- Wróciłem do domu jak zwykle z pracy. Elżbiety nie zastałem w mieszkaniu. Do tej pory nie wróciła ani nie dała znaku życia.

- Może jakiś wypadek? Nie wiesz, dokąd się wybierała?

- Nic nie mówiła. Kiedy wróciłem do domu, zastałem wszystko w porządku. Na kuchni stał garnek z kartoflami... Tylko Eli nie było.

- Dałeś znać milicji?

- Tak. Dzwoniłem do pogotowia milicyjnego. Ale wyjaśniono mi, że poszukiwania zaginionych rozpoczynają dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin. Sprawdzili jedynie, że nie miała żadnego wypadku i że nie jest zatrzymana.

- To bardzo dobrze. Na pewno pani Ela wyszła do miasta i spotkała jakichś znajomych czy przyjaciół i towarzystwo trochę się zaszwendowało. Nie tylko nam, mężczyznom, zdarza się to od czasu do czasu. Nie zapominaj, że masz młodą żonę.

- Sam wiem, że Ela jest młodsza ode mnie o prawie dwadzieścia lat - zauważył Adam trochę urażonym tonem - właśnie dlatego boję się...

- Głupstwa mówisz, stary - pułkownik uprzytomnił sobie nietakt, jaki popełnił, i usiłował się wycofać. - Parę dni temu spotkałem panią Elę i nie mogłem się nadziwić, że jest tak w tobie zakochana. Opowiadała mi, jak bardzo się lękała, gdy pewnego dnia zjawiała się bez uprzedzenia dopiero późnym wieczorem. Może chciała się zrewanżować?

- Ależ, człowieku! Zrozum, że jest już północ, a jej dotychczas nie ma. Może rzeczywiście jestem przeczulony, ale znasz przecież dobrze moje dawne historie.

- Wybij to sobie z głowy. Pani Ela jest zupełnie inna. Na pewno coś jej nagle wypadło. Może zresztą, tak jak i ty wówczas, prosiła kogoś, żeby cię zawiadomił o jej nagłym wyjeździe, a ten ktoś nie wywiązał się ze swojego zadania. Może dostała telegram od rodziny i musiała natychmiast wyjechać?

- Ela twierdziła, że nie ma żadnej rodziny. Wiem, że jej rodzice umarli parą lat temu.

- Mogła mieć przyjaciółkę. Albo dalszych krewnych, o których nawet ci nie wspominała, a teraz musiała do nich pojechać. Takie rzeczy zdarzają się często.

Niepotrzebnie się niepokoisz.

- Łatwo ci mówić. Gdybyś był na moim miejscu...

- Rozumiem cię doskonale, lecz w tej chwili jeszcze za wcześnie na jakikolwiek alarm. Poczekajmy do jutra. Gdyby pani Elżbieta nie wróciła, to zadzwoń z samego rana do mnie, do ministerstwa. A teraz kładź się do łóżka i śpij.:

- Dziękuję za dobrą radę - odpowiedział sarkastycznie inżynier i odłożył słuchawkę.

Wiedział dobrze, że jego rozdrażnienie i gniew na przyjaciela nie mają żadnych realnych powodów. Rozumiał też, że nieobecność żony mogła być zupełnie naturalna i usprawiedliwiona. Ale między rozumowaniem człowieka a jego odczuciami jest niekiedy ogromna przepaść. Więc zły i niespokojny położył się na tapczanie, lecz niewiele spał tej nocy. Budził go każdy szelest. Wciąż zdawało mu się, że ktoś wkłada klucz w zatrzask i usiłuje otworzyć drzwi. Zrywał się wtedy na równe nogi, wybiegał do przedpokoju, licząc na to, że spotka wracającą żonę. Niestety, za drzwiami nie było nikogo.

Tak upłynęła cała noc. Elżbieta nie wróciła.

### **Major Pałkowski rozpoczyna śledztwo**

Zgodnie z umową inżynier Wojciechowski zadzwonił do swojego przyjaciela, pułkownika Jareckiego, w kilka minut po rozpoczęciu pracy ministerstwa. Sam inżynier był zbyt zdenerwowany, aby jechać rano do fabryki. Przekazał jedynie telefonicznie wiadomość, że „z powodu ważnych spraw rodzinnych” nie zjawi się w dniu dzisiejszym.

Jednakże dopiero po dziesiątej mógł skomunikować się z pułkownikiem. Ale Zygmuntowi wypadła jakaś ważna konferencja, na którą udał się wprost z domu, nie wstępując nawet do swojego gabinetu.

- Elżbieta nie wróciła - powiedział Adam, kiedy w końcu Jarecki znalazł się z drugiej strony kabla.

- Masz jakieś wieści?

- Nie.

- Hm... - widocznie tym razem i oficer uznał sprawę za poważną.

- Co robić? - denerwował się inżynier.

- No cóż... Do milicji dałeś znać już wczoraj. Gdyby coś znaleźli, już by cię

zawiadomili. Na podjęcie poszukiwań ciągle jeszcze za wcześnie. Skąd dzwonisz?

- Z domu.

- Dobrze! Nie wychodź. Postaram się w ciągu pół godziny skontaktować z tobą. Pomówię w tej sprawie z pewnymi ludźmi. Czekaj na mój telefon.

Pułkownik odłożył słuchawkę i zamyślił się. Bardzo chciał pomóc przyjacielowi. Ale jak? Znał pewną, stosunkowo prostą drogę. Zadawał sobie jednak pytanie, czy ma prawo z niej skorzystać? Przecież nie po to istnieje Ministerstwo Obrony Narodowej i podległe mu służby, aby obarczać je bojowym zadaniem odnajdywania niewiernych żon, uciekających od starszych mężów.

Zresztą pułkownik nie mógł uwierzyć, że Elżbieta rzuciła męża. Ich związek wydawał się być szczęśliwym i dlatego budził uzasadnione nadzieje na trwałość. Wprawdzie nikt, nawet najbliżsi nie mogą znać całej prawdy o jakimś małżeństwie, gdzie doskonale zachowane pozory wobec osób trzecich stwarzają idealny obraz, nieraz daleko odbiegający od prawdy, ale Jarecki tak często bywał w domu przyjaciela, tyle razy spotykał się i rozmawiał z Elżbietą, że i jemu trudno było uwierzyć, iż widok szczęśliwej, młodej mężatki był tylko złudzeniem.

Jeżeli Elżbieta kochała męża, a mimo ostatnich zdarzeń Jarecki w to nie wątpił, czemu od niego odeszła? Ną dodatek w tak dziwny sposób? Może to jakiś szok, nagła utrata pamięci? A jeżeli ucieczka, to pytanie czy przed mężem, czy przed czymś innym? A może...

Pułkownik długo się wahał, w końcu jednak nakręcił znany sobie numer.

Gdy na drugim końcu drutu ktoś podniósł słuchawkę, Jarecki rzucił:

- Chciałbym rozmawiać z majorem Fałkowskim. Za chwilę połączono go z pokojem majora.

- Dzwonię w dość dziwnej sprawie - zagaił pułkownik - chciałbym was nią zainteresować. Pozornie wygląda bardzo banalnie. Obawiam się jednak, że są to tylko pozory.

- Słucham was, pułkowniku.

- Otóż mój przyjaciel, Adam Wojciechowski, wrócił wczoraj do domu, jak zwykle z pracy około godziny, czwartej po południu. W mieszkaniu nie zastał żony. Wszystko było w najlepszym porządku, nawet ziemniaki stały w rondlu na kuchni. Wyglądało na to, że niespodziewanie wyszła gdzieś na chwilę. Do tej pory jednak nie wróciła.

- No cóż, dla waszego przyjaciela to smutne, ale takie wypadki zdarzają się



codziennie. Czy zawiadomił milicję?

- Oczywiście. Mają wszcząć poszukiwania po upływie dwudziestu czterech godzin. Na razie sprawdzili w szpitalach, aresztach i nawet w kostnicy. Nigdzie jej nie ma.

- A więc prawdopodobnie nie wypadek, tylko babce znudził się mąż i poszukała kogoś innego.

- W pierwszej chwili ten sam powód przyszedł mi na myśl i nigdy nie zwracałbym wam głowy taką sprawą, ale obawiam się, że ta historia ma nieco inny aspekt. Znam to małżeństwo bardzo dobrze. Są po ślubie dopiero kilka miesięcy. Zawsze wydawało mi się, że to wyjątkowo dobrana, kochająca się para.

- Z boku mogło tak wyglądać, a rzeczywistość była krańcowo różna.

- Gdybym się nawet z wami zgodził, majorze, to muszę jednocześnie pamiętać, że inżynier Adam Wojciechowski jest znanym wynalazcą. Również w dziedzinie wojskowości. Obecnie pracuje nad nowym odkryciem, do którego przywiązujemy ogromne znaczenie. Krótko mówiąc, coś w rodzaju działa laserowego. Zależy nam, żeby ta praca, znajdująca się zresztą w stadium końcowym teoretycznych rozwiązań, została zakończona jak najprędzej. Takie zdarzenie w życiu osobistym wynalazcy może opóźnić czy nawet wstrzymać jego dzieło. Tylko z tych powodów zadzwoniłem do majora.

Po drugiej stronie drutów zapanowało milczenie. Pułkownik sądził, że połączenie zostało zerwane i miał zamiar o tym się upewnić, gdy Pałkowski powiedział:

- Przepraszam, pułkowniku, początkowo nie zwróciłem uwagi na nazwisko waszego przyjaciela. Oczywiście o Wojciechowskim słyszałem. Trochę zajmujemy się jego osobą. Naturalnie nie w sensie inwigilacji, lecz po prostu ochrony jego prac i doświadczeń przed niepowołanymi oczyma. Zajmę się tą sprawą i bardzo jestem wdzięczny za zwrócenie nam na nią uwagi. Z tym zniknięciem żony może być różnie. Pilnowaliśmy wynalazcę w jego miejscu pracy, a zapomnieliśmy o domu. Niedawne małżeństwo i nagle zniknięcie żony... Ciekawe.

- Dziękuję wam, majorze - pułkownik chciał zakończyć rozmowę, ale Pałkowski szybko dorzucił:

- Wojciechowski jest w fabryce czy w domu?

- W domu.

- Za pół godziny będę u was i razem do niego pójdziemy. Muszę z nim

porozmawiać.

Minęła godzina. Inżynier Wojciechowski przesiedział ją przy swoim biurku pilnując ebonitowej skrzyneczki. Ta odezwała się wreszcie.

- Poznajesz mnie? - spytał pułkownik. - Są jakieś wiadomości?

- W dalszym ciągu nic.

- Zaraz przyjadę do ciebie z majorem Pałkowskim. Proszę czekaj na nas.

Tym razem nie upłynęło i dwadzieścia minut, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Kiedy Wojciechowski otworzył, za progiem stało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był pułkownik, drugim nie znany Adamowi cywil.

- Panowie nie znają się - Jarecki dopełnił formalności. - Inżynier Wojciechowski, major Pałkowski. Major jest z kontrwywiadu i zainteresował się twoją sprawą.;

- Bardzo dziękuję. Jestem naprawdę niespokojny i zdenerwowany.

- Pan pułkownik - rzekł major - opowiedział mi o pańskim zmartwieniu.

Pozwoli pan jednak, że zadam mu parę pytań?

- Proszę. Jestem na rozkazy pana majora. Oficer uśmiechnął się. Był to mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Średniego wzrostu, szczupły i wysportowany. Szczególnej urody dodawały mu srebrne nitki przetykające jego ciemne włosy. Opalona twarz o cienkim, prostym nosie, lekko zacięte usta i oczy o zimnym, niebieskim blasku dopełniały sylwetki przystojnego mężczyzny.

- O rozkazach nie ma mowy. Po prostu parę informacji, abym mógł lepiej zorientować się w całej sprawie. Pułkownik wspominał mi, że jest pan inżynierem, pracuje w Fabryce Maszyn Precyzyjnych, a poza tym jest pan autorem wielu cennych wynalazków. Czy można wiedzieć, nad czym pan pracuje obecnie?

- Przecież mówiłem majorowi - wtrącił pułkownik - nad nowym typem lasera. Major nadal pytająco spoglądał na Wojciechowskiego, nie zwracając pozornie uwagi na słowa wypowiedziane przez pułkownika.

- Jestem inżynierem elektrykiem. Studiowałem również fizykę - wyjaśnił gospodarz - to przesada o tych wielu cennych wynalazkach, ale parę rzeczy udało mi się zrobić. Obecnie pracuję nad pewnym, nowym typem lasera.

- Jak dawno?

- Od przeszło trzech lat. Oczywiście początkowo, jak to zwykle bywa z odkryciami, miałem tylko pewne mgliste projekty i hipotezy. Konkretnie cała rzecz zaczęła się precyzować mniej więcej półtora roku temu. W tej chwili najgorsze mam

za sobą. Teoretycznie nowy wynalazek jest już całkowicie przygotowany. Wszystkie obliczenia potwierdziły moje założenia. Pozostaje jeszcze dokonanie ostatnich doświadczeń i przystąpienie do budowy prototypu - inżynier odpowiadał na te pytania, zdziwiony, że mogą one mieć jakikolwiek związek z zaginięciem żony.

Majora nadal jednak interesowała przede wszystkim ta dziedzina.

- Czy pański wynalazek ma jakieś znaczenie dla wojskowości?

- Powiedziałbym, wyłącznie dla wojskowości. Dla obrony przeciwlotniczej, a nawet przeciwrakietowej.

- Kto wie o pańskich pracach?

- To jasne, że ministerstwo. Od razu, na początku, poinformowałem ministerstwo o moich koncepcjach i otrzymałem pomoc przy prowadzeniu badań.

Dzisiaj tego rodzaju wynalazku nie można zrealizować w pojedynkę. Trzeba dysponować odpowiednimi laboratoriami. Do obliczeń niezbędne są maszyny elektronowe. Poza tym wtajemniczony został naczelny dyrektor fabryki i paru kolegów. Niektórzy pomagali mi, a fabryka wykonywała część oprzyrządowania do doświadczeń.

- Czy ktoś ze wspomnianych ludzi orientuje się w całości, względnie zna podstawowe zasady pańskiego wynalazku?

- Nie przypuszczam. Naturalnie domyślają się albo nawet wiedzą, o co mi chodzi, ale od domysłów do konkretnego rozwiązania samego zagadnienia jeszcze bardzo daleka droga.

- A gdzie pan pracuje nad swoim wynalazkiem?

- W fabryce, w laboratoriach, oraz tutaj, przy tym biurku.

- Gdzie znajdują się dokumenty: wyliczenia, plany i tym podobne?

- Częściowo w fabryce, zdeponowane w kasie ogniotrwałej u naczelnego dyrektora. Część obliczeń mam u siebie. Zazwyczaj bywa tak, że pracuję w domu, a później, gdy pewien fragment zadania jest już rozwiązany, chowam go do sejfu fabrycznego.

- Czy obecnie ma pan te dokumenty w domu?

- Tak.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Proszę. - Inżynier nachylił się nad biurkiem, ale nie otworzył żadnej z szuflad, tylko wsunął rękę pod spód i pociągnął za szeroką nóżkę. - Dała się łatwo wysunąć, ukazując schowaną wewnątrz szufladkę.

- To bardzo sprytnie - zauważył major - doskonała skrytka. Nawet przy szczegółowej rewizji trudno wpaść na ten pomysł.

Właśnie Elżbieta, moja żona - poprawił się Wojciechowski - sprowadziła stolarza i w ten sposób kazała mu przerobić moje biurko. Powstały dwie szufladki po obu stronach blatu. Elżbieta chorobliwie bała się, że jacyś szpiegowie mogą zawładnąć tymi papierami. Nieraz ją wyśmiewałem.

- Dlaczego?

- No bo to śmieszne. Wywiad wykradający mi plany? Takie rzeczy dzieją się w różnych powieściach, ale nie u nas.

- Tak pan uważa?

- Oczywiście, na całym świecie istnieje szpiegostwo. Jeden drugiego podpatruje. Ale te rzeczy dotyczą wojska, jego rozmieszczenia, sposobu prowadzenia mobilizacji, założeń strategicznych ewentualnej wojny, nie zaś jakiegoś wynalazku którego znaczenie wykaże dopiero praktyka. Zresztą skąd by ten „szpieg” dowiedział się, że pracuję nad nowym typem lasera i że może on mieć zastosowanie w wojskowości? Ale Ela miała po prostu jakiś uraz na ten temat. W ogóle nie chciała, żebym pracował w domu, tak jak gdybym, w fabryce nie miał innej roboty. Później zrobiła te schowki, bo - twierdziła - do szuflad biurka można dostać się przy pomocy agrafki. Dla świętego spokoju, jak to powiadają, zgodziłem się i trzymałem papiery w skrytce. A poza tym miała jeszcze drugiego „konika”.

- Ciekawe...

- Wmawiała we mnie, że może grozić mi niebezpieczeństwo. Że ktoś mógłby dokonać na minie zamachu. Mam pozwolenie na broń, ale nigdy jej przy sobie nie nosiłem. Wymogła na mnie, abym stale taszczył ze sobą to żelazo - to mówiąc inżynier wyjął z kieszeni i pokazał niewielki pistolet.

- Czy jednak próbowano dokonać jakiegoś zamachu na pana?

- Oczywiście że nie. Ale Ela nigdy nie dała sobie tego wytłumaczyć. Gdy wychodziliśmy, zawsze rozglądała się wokoło, obserwując czy ktoś nas nie śledzi. Zwłaszcza ostatnio bardzo się wzmogło to jej „hobby”.

- Niech pan sprawdzi, inżynierze, czy dokumenty są w porządku?

Wojciechowski przeglądał wyjętą z szuflady teczkę.

- W porządku. Tak, jak je przedwczoraj zostawiłem.

- Jeszcze jedno pytanie: czy mając te plany i papiery w ręku ktoś mógłby wejść w posiadanie pańskiego odkrycia?

Inżynier chwilę się zastanowił.

- Niezupełnie. To tylko pewien fragment całości. Jednakże na podstawie tej części dokumentów można zrozumieć istotę mojego wynalazku. A to przecież sprawa najważniejsza.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, to dysponując tą teczką fachowiec lub grono fachowców mogłoby zrekonstruować całość pańskiego odkrycia?

- Jeżeli nawet nie zrekonstruować, to w każdym razie dojść do podobnych wyników, różniących się tylko szczegółami.

- No tak... Teraz, kiedy wyjaśniliśmy te sprawy, pozwoli pan, że zadam parę pytań dotyczących żony i pańskich spraw osobistych.

- Słucham. Ale z dotychczasowej rozmowy wysnuwam wniosek, że pan podejrzewa Elżbietę. To nonsens!

- Nie podejrzewam o nic pańskiej żony. Pragnę jedynie ustalić, czy zniknięcie pani Elżbiety może mieć związek z pańską pracą. Czy wynalazki przynoszą panu jakieś dochody?

- Tak i to dość poważne. Powiedziałbym nawet, że w stosunku do innych kolegów jestem człowiekiem zamożnym. Opłaty za eksploatację, premie, opłaty licencyjne, to wszystko tworzy dość wysokie sumy, przy których moja pensja w fabryce jest jedynie dodatkiem.

Major dyskretnie rozejrzał się po mieszkaniu. Inżynier mówił prawdę. Samo urządzenie tych dwóch pokoi, meble, obrazy i dywany, musiało kosztować sporo pieniędzy.

- A teraz proszę o personalia żony.

- Elżbieta Wojciechowska, z domu Kaczmarek, urodzona w Grudziądzu, lat 27.

- Wykształcenie?

- Zdawała w Grudziądzu maturę. Później skończyła kursy księgowości.

- Czy pan zna rodzinę żony?

- Nie. Wiem, że jej rodzice nie żyją. Zmarli parę lat temu. Ela mówiła, że nie posiada żadnej dalszej rodziny. Zresztą te sprawy nie interesowały mnie specjalnie.

- A przyjaciele i znajomi?

- Poznałem parę osób, jej kolegów i koleżanek z pracy, lecz po wyjściu za mąż Elżbieta nie podtrzymywała tych kontaktów. Po prostu weszła w moje kółko towarzyskie.

- Czy pan długo znał żonę przed ślubem?

- Nie. Za ledwie koło miesiąca.

- W jaki sposób poznaliście się?

- To bardzo romantyczna historia. Wraciałem kiedyś do domu dość późnym wieczorem. Około północy. Przechodząc przez park, przy Pałacu Kultury usłyszałem wołanie o ratunek. Jacyś dwaj chuligani napastowali kobietę. Pobiegłem w tamtą stronę. Napastnicy przestraszyli się i uciekli. Odprowadziłem ich niedoszłą ofiarę do taksówki. To właśnie była Elżbieta. Tak się zaczęło.

- A dalej?

- Czy to takie ważne? Na drugi czy trzeci dzień Ela zatelefonowała do mnie i powiedziała, że chciałaby się ze mną spotkać i jeszcze raz podziękować „za ocalenie życia albo uchronienie przed czymś jeszcze gorszym”.

- Odprowadzając ją do taksówki pan się oczywiście przedstawił i dał jej numer swojego telefonu?

- Nie pamiętam. Chyba tak, bo zadzwoniła.

- A dalej?

- Doprawdy, panie majorze, to są moje osobiste sprawy. Nie widzę potrzeby, aby opowiadać panu, jak się rozwijał romans z moją żoną.

- Jeśli pan chce, żebym panu pomógł, żebyśmy panu pomogli - major poprawił się - muszę żądać bezwzględnej szczerości. Dlatego proszę odpowiadać na wszystkie moje pytania, nawet jeśli wydadzą się one panu bez sensu czy też zbyt intymne.

- No dobrze... Spotkałem się z dziewczyną. Spędziliśmy miły wieczór. Zapropionowała następną randkę. Była bardzo ładna i miła. Zrobiła na mnie wrażenie. Przy naszym trzecim czy czwartym spotkaniu powiedziała mi wprost, że jest we mnie „beznadziejnie” zakochana. Pamiętam, starałem się obrócić wszystko w żart, tłumacząc, że mógłbym być jej ojcem, gdyż jestem o osiemnaście lat od niej starszy.

- Niech mi pan szczerze odpowie, czy odniósł pan wrażenie, że od chwili zawarcia znajomości młoda osoba, jak to się mówi, „polowała” na pana?

- Nie. Inicjatywa zawarcia małżeństwa wyszła ode mnie, Chociaż przyznaję, początkowo miałem duże opory. Bałem się różnicy wieku, ponadto dobrze pamiętałem nieprzyjemne doświadczenia z pierwszego małżeństwa. Ale Ela była tak inna od wszystkich, szczerza i bezpośrednia, a to mnie rozbrajało. Ciągle podkreślała,

że jeżeli nie chcę się z nią ożenić, żebym tego nie robił. Ona może po prostu zostać moją kochanką. Dotychczas nie mogę zrozumieć, co we mnie znalazła, że od razu się zakochała.

- A dalszy przebieg waszego małżeństwa?

- Od ślubu upłynęło dopiero niecałe osiem miesięcy. Byłem szczęśliwy. Nie było do tej pory między nami ani jednego nieporozumienia, ani jednej większej sprzeczki.

- To prawda - wtrącił pułkownik - stanowili najbardziej zakochaną parę w całej Warszawie. Z tego powodu nieraz trochę podkpiwałem z Adama.

- Gdzie pańska żona pracowała przed ślubem?

- W spółdzielni pracy „Orchemia”.

- W charakterze?

- W księgowości.

- Ile zarabiała?

- Około dwóch tysięcy.

- A gdzie mieszkała?

- Na Mokotowie. U” pewnej emerytki, wdowy, odnajmowała małe pokoiki.

- Zna pan adres?

- Helena Ruciakowa. Madalińskiego 31.

- Czy opuszczając mieszkanie żona zabrała ze sobą jakieś osobiste rzeczy?

- Nie wiem. Przecież nie robiłem rewizji. Chyba nie.

- Pozwoli pan, że to sprawdzimy. Oczywiście to nie rewizja, chciałbym się tylko rozejrzeć.

- Proszę.

Cała trójka przeszła do drugiego pokoju. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył major, była torebka leżąca na konsolce toaletki. Wziął torebkę do ręki i otworzył. Wyjął z wnętrza stary dowód osobisty, pęk kluczy, mały portfelik na pieniądze, chusteczkę, puderniczkę, pomadkę do ust, ołówek do brwi i inne podobne drobiazgi znajdujące się w każdej prawie damskiej torebce.

- Dowód jeszcze na panińskie nazwisko - zauważył major.

- Tak. Nieraz mówiłem Eli, żeby załatwiła sobie nowy. Tłumaczyła, że uczyni to jesienią, kiedy w biurach paszportowych znikną ogromne kolejki ludzi, poświadczających dokumenty na wyjazd za granicę.

- A państwo nie wybieraliście się za granicę?

- Nie. Proponowałem Jugosławię, lecz Elżbieta chciała, żebyśmy spędzili urlop w kraju. Za dwa tygodnie mieliśmy wyjechać.

- Dokąd?

- Powłóczyć się po Polsce samochodem.

Major nadal przyglądał się toaletce. W dużym krysztale leżały najrozmaitsze korale, jak również inne wyroby sztucznej biżuterii. W innym, nieco mniejszym, parę pierścionków i złota bransoletka z jakimiś kamykami. Druga też złota, tylko starej roboty, niewątpliwie dużej wartości. Jeden z pierścionków świecił brylantem przeszło karatowej wielkości. Inny ozdabiał spory szmaragd.

- Tę biżuterię pan kupił żonie?

- Jedyńie ten pierścionek z brylantem i tę nowoczesną bransoletkę. Tamte to po rodzicach Eli.

Major otworzył dużą szafę. Wisiała tu garderoba kobieca. Między innymi dwa futra, kilkanaście sukienek i garsonek. Na dole stała cała kolekcja pantofli.

- Dobrze zaopatrzona szafa - zauważył pułkownik.

- Tak. Elżbieta ma sporo szmatek. Lubi się ładnie ubrać. Za czasów narzeczeńskich nie widziałem jej dwa razy w tej samej sukience.

Major zamknął szafę. Panowie wrócili do gabinetu.

- Pozwoli pan, że na razie zatrzymam dowód żony - powiedział major - mam tylko ostatnie pytanie. Czy żona interesowała się pańską pracą?

- Nie. Nigdy. Nawet kiedy zaczynałem o tym mówić, odpowiadała, że ją te sprawy nie interesują, że fizykę uważała w szkole za najbardziej nudny przedmiot i nie chciała się jej uczyć. A przecież bez posiadania podstawowych wiadomości z fizyki, nie można rozmawiać o moim odkryciu.

- A innymi pańskimi zajęciami w fabryce małżonka interesowała się?

- Nie. Nigdy nie pytała, na czym polega moja praca w fabryce. Tylko kiedyś, jakieś dwa miesiące temu, prosiła mnie o wyjaśnienie działania elektronowej maszyny liczącej, tak zwanego popularnie „mózgu elektronowego”.

- Tłumaczyłem jej, lecz, jak sędzę, bez większego powodzenia, bo stale zadawała bardzo naiwne pytania. W końcu poprosiła o przyniesienie z fabryki taśmy z wynikami obliczeń dokonywanych przez maszynę. W naszej fabryce mamy taki mózg elektronowy. Oddaje nam ogromne usługi. Nawet akordy i zarobki oblicza się przy jego pomocy. Przyniosłem więc kawałek takiej taśmy. Elżbieta nie mogła się



nadziwić, że jest to tylko długi pasek papieru, pokryty różnymi kółeczkami. Wyjaśniłem jej, na czym polega programowanie maszyny matematycznej, nie wiem jednak, czy zrozumiała moje słowa. Była prawdziwym antytalentem technicznym. Nie mogła pojąć najprostszych rzeczy.

Major wziął do ręki stojącą na biurku w ramce fotografię młodej, przystojnej kobiety o ciemnych włosach i dużych oczach.

- To pańska żona?

- Tak, to właśnie Elżbieta.

- Chciałbym wziąć to zdjęcie.

- Dam panu inne, takie samo - inżynier otworzył biurko i wyjął stamtąd identyczną fotografię.

- Taśma z maszyny liczącej dotyczyła pańskiego wynalazku? - major wrócił do przerwanej wątku rozmowy.

- Nie. Po prostu była to kopia, a raczej drugi egzemplarz obliczeń statycznych fundamentu i wytrzymałości stropów pewnej fabryki, dla której wykonujemy kompletne oprzyrządowanie taśmy produkcyjnej.

- A co stało się z tymi obliczeniami?

- Po daremnym usiłowaniu wytłumaczenia żonie o co chodzi, chciałem ten pasek wyrzucić, ale żona prosiła, abym zostawił „na pamiątkę”. Pamiętam, że schowała go do swojej szafy. Jak zwykle kobiety, włożyła pod bieliznę.

- Ciekawe - stwierdził oficer kontrwywiadu - może pan nam pokaże te obliczenia?

Inżynier i dwaj panowie przeszli ponownie do pokoju Elżbiety. Tu Adam otworzył lewą część trójdrzwiowej szafy i włożył rękę pod stertę kolorowych jedwabi. Niczego jednak nie znalazł. Zaintrygowany przejrzał dokładnie cały stos damskiej bielizny, a później szukał i na innych półkach.

Bezskutecznie. Pasek papieru z obliczeniami maszyny elektronicznej znikł bez śladu.

**„Ona jest szpiegiem”**

Major Pałkowski żegnając inżyniera Adama Wojciechowskiego podał mu

numer swojego telefonu i prosił o natychmiastowe skomunikowanie się, gdyby zdarzyło się coś nowego. Ze swej strony oficer kontrwywiadu obiecał mężowi zaginionej, że postara się wyjaśnić tajemniczą historię nagłego zniknięcia Elżbiety i będzie informował o rezultatach poszukiwań.

- Może wstąpimy gdzieś na kawę - zaproponował pułkownik Jarecki, gdy opuścili mieszkanie przy ulicy Złotej - chciałbym z majorem zamienić jeszcze kilka słów i może będę mógł udzielić dodatkowych wyjaśnień. Są pewne sprawy, których nie chciałem poruszać w obecności Adama.

Obaj oficerowie skierowali się w stronę Alei Jerozolimskich i tam weszli do jednej z kawiarni. Pułkownik zaczął:

- Bardzo mi żal tego chłopca. To, jak już mówiłem majorowi, mój kolega ze szkoły. Zdolny wynalazca. Rokują mu dużą przyszłość. Ale nie ma facet szczęścia do kobiet. To już druga żona, z którą rozstaje się w tak dziwny sposób. Boję się, że to go wykończy.

- A co? Pierwsza żona też od niego zwała?

- Gorzej! Po prostu wspólnie z którymś z kolejnych kochanków wyrzuciła Adama z jego własnego mieszkania. Wpuściła go tak, jak stał. Nawet chyba swoich ubrań nie odzyskał. To był pierwszorzędny numer. Wszyscy przyjaciele i znajomi odradzali mu ten ożenek. Trudno, chłop zakochał się i nie chciał nikogo słuchać. Dostał za to dobrą szkołę. W dwa czy trzy miesiące po ślubie zaczęła Adama zdradzać. Najpierw po kryjomu, później jawnie. On zaś, ciągle zakochany, nie miał dość siły woli, żeby z tym skończyć. Ciągnęło się to prawie trzy lata, ukoronowane skandalem. Adam usiłował popełnić samobójstwo i ostatecznie spędził kilka miesięcy w sanatorium dla nerwowo chorych.

- Ale jakoś nie umiał wyciągnąć z tego odpowiedniej nauki.

- Wyciągnął! Przez dziesięć lat nie miał żadnego poważniejszego flirtu.

Dopiero kiedy poznał Elżbietę...

- Pan ją znał, pułkowniku?

- Oczywiście! Byłem świadkiem na ich ślubie. Powiem więcej. Sam namawiałem Adama, żeby zdecydował się na to małżeństwo. Elżbieta była zupełnym przeciwieństwem jego poprzedniej żony. Bardzo miła, sympatyczna, miała w sobie coś, co kazało ją lubić. A przy tym, mimo sporej różnicy lat, nieprzypadkowo wprost zakochana w Adamie. Było aż dziwne, że dziewczyna o takiej urodzie i mająca tyle zalet i niewątpliwie duże powodzenie u mężczyzn, z miejsca zwariowała dla mego

przyjaciela. Bardzo go lubię i cenię, lecz przyznaję, nie posiada on zbyt wielu cnót towarzyskich, odpowiadających kobietom. Był zgorzkniały, traktował osoby płci odmiennej z wyraźnym lekceważeniem, a poza tym, jak każdy naukowiec i wynalazca, nerwowy, chimeryczny, a jednocześnie bardzo apodyktyczny. Na pewno ani słowem, ani gestem nie zachęcał Elżbiety do miłości. A tymczasem ta dziewczyna świata poza nim nie widziała. Kiedy wczoraj Adam powiedział mi, że Elżbieta od niego odeszła, byłem tym tak wstrząśnięty, jak gdyby nagle spadł grom z jasnego nieba. Jest to dla mnie tak niezrozumiałe, że zwróciłem się do majora z prośbą o pomoc w tej sprawie.

- Niezmiernie jestem pułkownikowi za to wdzięczny. Być może dzięki temu będziemy mogli zapobiec jednej z bardzo skomplikowanych akcji obcego wywiadu.

- Pan myśli...?

- Od pierwszej chwili nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że mamy do czynienia ze sprytną przedstawicielką obcego wywiadu.

- Niemożliwe! Ta dziewczyna? Taka ładna i miła?

- Posiada właśnie wszystkie zalety dobrej agentki. Sam pułkownik wspominał, że jego przyjaciel nie posiada zbyt wielu zalet, które mogłyby się podobać kobietom. Wynagradza to fakt, że jest autorem sensacyjnych wynalazków. Oto tajemnica nagłej, „nieprzytomnej” miłości tej pani.

- Ale przecież wyszła za niego za mąż?

- Początkowo, jak nam wspominał Wojciechowski, była gotowa zostać jego kochanką. Rozumowała prawdopodobnie słusznie, że i w tej roli uda jej się uzyskać potrzebne wiadomości o nowej pracy inżyniera. Gdy ten, powodowany odruchem szlachetności czy też miłości odrzucił jej ofertę i lekkomyślnie zaproponował małżeństwo, zgodziła się bez wahania. Jaka doskonała rola dla szpiega - być żoną słynnego wynalazcy. Mieć informacje o wszystkich jego pracach wprost z pierwszej ręki. A poza tym wejść w koła towarzyskie rekrutujące się z uczonych, przedstawicieli przemysłu i wyższych wojskowych. To jest warte „świszka papieru”, którym dla szpiega jest świadectwo ślubu.

- Jednakże - bronił się pułkownik, którego uwaga majora o „wyższych wojskowych” musiała osobiście zaniepokoić - sam Adam mówił, że jego żona nie miała zielonego pojęcia o technice i fizyce.

- Mogła nie mieć. Wystarczyła umiejętność fotografowania. Czy to taka sztuka wyjąć w czasie nieobecności męża plany z biurka i pstryknąć nad nimi

aparatem fotograficznym? A potem rolkę z filmem oddać komu należy?

- Przecież pani Wojciechowska kazała zrobić w biurku tę przemyślną skrytkę?
- Właśnie ta skrytka wzbudziła moje największe podejrzenia.
- Dlaczego?
- Starzy majstrowie znali się na swojej robocie. To niedzisiejsze zameczki.

Biurko inżyniera jest właśnie takim antykiem. Przyjrzałem się zamkom w tym biurku. To nieprawda, jak mówiła pani Elżbieta, że te szufladki „można agrafką otworzyć”. Przeciwnie! Tego nie otworzy się żadnym, nawet skomplikowanym wytrychem. Chyba jedynie łomem, lub siekierą. Ale wtedy trzeba złamać zamek i uszkodzić obudowę. Zbyt duże ryzyko dla szpiega, który postanowił nadal tkwić na swoim stanowisku. A ta skrytka, przyznaję, doskonale pomyślana i dowcipnie zamaskowana, nie posiada żadnego zamknięcia. Pani inżynierowa, po przekonaniu męża, że tylko tam należy trzymać dokumenty dotyczące wynalazku, miała teraz swobodny dostęp do tych papierów w każdej chwili.

- To potworne, co pan mówi, majorze.

- To tylko życie. Codziennie stykamy się z takimi sprawami. Już królowie starej Asyrii i faraonowie egipscy organizowali walczące ze sobą wywiady. Ta walka trwa po dzisiejszy dzień. Jak wykazał słynny i głośny na cały świat przykład sfotografowania przez lotnictwo amerykańskie francuskich zakładów atomowych, w tamtym obozie szpieguje się nawet najlepszych przyjaciół. A cóż dopiero nas? Całe szczęście, że umiemy się bronić.

- No dobrze - pułkownik nie był jednak zupełnie przekonany - jeśli pańskie rozumowanie odpowiada prawdzie, to dlaczego Elżbieta nagle znika? Czuli się zupełnie pewnie na stanowisku żony wynalazcy. Zdobyła miłość i zaufanie męża, weszła w te koła towarzyskie, o których pan wspominał.

- Dlaczego znika? To bardzo proste. Przestraszyła się.

- Czego?

- Nie wiem. Może spotkała kogoś, kto znał jej prawdziwą rolę i bała się zdemaskowania? Może nerwy zawiodły? Ostatecznie szpieg również jest człowiekiem i ulega takim słabościom jak strach. Tym bardziej, że ci ludzie żyją cały czas w niesłychanym napięciu. Każdy, najmniejszy fałszywy krok, oznacza dla nich zgubę. Powiem panu więcej, pułkowniku. Już od dość dawna posiadamy poufne wiadomości, że obcy wywiad specjalnie interesuje się polskimi doświadczeniami nad laserami. Były, nieudane zresztą, próby dowiedzenia się czegoś na ten temat. O

wynalazku inżyniera Wojciechowskiego wiemy przecież nie od dziś i mieliśmy go pod dyskretną opieką. Przyznaję, że nasze podejrzania nie sięgały aż do żony pana Wojciechowskiego. Dlatego tak zainteresowałem się tą sprawą na pierwszą wiadomość, jakiej pułkownik nam udzielił.

- Co pan major teraz zrobi?

- Będziemy szukali pani Wojciechowskiej. Mam nadzieję, że odnajdziemy ją pod obecnym lub innym nazwiskiem, ze zgodnym z fotografią lub zmienionym wyglądem. Jestem przekonany, że w stosunkowo niedługim czasie spróbuje ona przekroczyć granicę.

Mówiąc te słowa major wyciągnął z kieszeni dowód osobisty, który otrzymał od inżyniera. Obejrzał go dokładnie.

- Dokument robi wrażenie autentycznego. Ciekaw jestem, dlaczego ta pani tak bała się wymienić go na nowy, z innym, mężowskim nazwiskiem. To również przeczy tezie o młodej żoneczce zakochanej w swoim mężusiu. Młode mężatki starają się jak najprędzej otrzymać dowód ze zmianą nazwiska. A tymczasem upływa już ósmy miesiąc i pani Wojciechowska, ryzykując nawet karą, nie dopełnia tego podstawowego obowiązku. Pułkownik milczał zgnębiony.

- Panna Kaczmarek - ciągnął dalej Pałkowski - urodzona w Grudziądzu. Nazwisko bardzo popularne na Pomorzu. W samym Grudziądzu jest na pewno parę setek Kaczmarków. Tak jak Tomaszewskich w Płocku, Dobrzyńskich w Dobrzyniu i Łapińskich w Łapach.

- A Dmowskich w Siedlcach - wtrącił pułkownik.

- Właśnie. Wszystko szlachta zaściankowa. Aż do dwudziestego roku życia Elżbieta Kaczmarek mieszka w Grudziądzu - major nadal uważnie przeglądał dowód osobisty i studiował rubrykę „meldunki”. Przez następne dwa lata pobyt w Toruniu. Tam jest uniwersytet. Czyżby studia wyższe?

- Pani Elżbieta nigdy nie wspominała o wyższej uczelni i studenckich latach. Wiem, że skończyła kursy kreślarskie i księgowości.

- Takie kursy są na pewno i w Grudziądzu. Nie trzeba wyjeżdżać do Torunia... Później prawie dwa lata pobyt w Zakopanem. To ciekawe. Czyżby chorowała na płuca?

- Wyglądała na okaz zdrowia. Doskonale pływała. Grała w tenisa.

- Sprawdzimy. Wszystko sprawdzimy. Po Zakopanem rok meldunku w Radomiu, a następnie Warszawa. Dziwne, że od razu otrzymała stałe zameldowanie

w stolicy. To nie takie proste. Meldunek w Warszawie zaledwie trzy miesiące przed ślubem. Można powiedzieć, że specjalnie przyjechała po to, żeby wyjść za mąż za inżyniera Wojciechowskiego.

- Mimo wszystko w pańskim rozumowaniu nie zgadza się jeden szczegół.

- Jaki? - zdziwił się major.

- Taśma! Ten pasek papieru z obliczeniami maszyny elektronicznej. Dlaczego zniknął z szafy? Wygląda na to, że uciekając Elżbieta zabrała go ze sobą.

- Niekoniecznie. Mogła po prostu już wcześniej wyrzucić go do kosza na śmieci.

- Przecież Adam chciał go od razu wyrzucić, a ona sprzeciwiła się temu i schowała do szafy.

- Może nie uwierzyła mężowi, że ten pasek papieru, pokryty tajemniczymi kółeczkami, nie ma nic wspólnego z wynalazkiem nowego lasera? A później, skoro przekonała się, że Wojciechowski mówił prawdę, wyrzuciła papier jako rzeczywiście niepotrzebny.

- Nie mogła się przekonać, bo ta dziedzina nauki była jej obca.

- Może pokazała bardziej fachowemu współpracownikowi?

- Wystarczyło sfotografować, to przecież pańskie twierdzenie, tak jak to robiła z innymi dokumentami. Fachowiec z miejsca by się zorientował, jaki charakter mają te obliczenia.

- Nie wiem, czy to takie proste.

- Jeśli nawet nie proste, to każda centrala szpiegowska bez trudności rozszyfruje taki tekst.

- Niewątpliwie - zgodził się major - ale centrala jest za granicą. Bez wielkiego pudła mogą powiedzieć gdzie, w Niemieckiej Republice Federalnej. To mi pachnie właśnie ich robotą. Natomiast siatka szpiegowska w Polsce mogła mieć trudności z takim tekstem. Dlatego zabrała go ze sobą.

- Nadal twierdzą, że wystarczyłaby fotografia.

- Zniknięcie tego paska papieru można również inaczej wytłumaczyć. Elżbieta celowo zabrała go ze sobą. Jako asekurację. Przekraczając granicę, na pewno nie będzie miała przy sobie filmów szpiegowskich. Zadanie przewiezienia ich otrzyma ktoś inny. Ona będzie jechała „czysta”. Gdyby mimo to wpadła, pokaże posiadany papier z bezwartościowymi obliczeniami. Natomiast nie przyzna się do dokonywania zdjęć właściwych dokumentów. Na procesie wykaże się

„okolicznościami łagodzącymi” - nieudolnym usiłowaniem szpiegostwa. Przy zręcznym adwokacie i pobłażliwości sądu taki drobiazg powinien wpłynąć na złagodzenie wyroku. A to nie wszystko jedno, czy dostanie się dożywocie, czy piętnaście lat, albo też tylko, na przykład, siedem. Proszę nie zapominać, że to młoda, piękna kobieta, która nie chce reszty życia spędzić w celi więziennej.

- To jest zbyt skomplikowane, żebym mógł uwierzyć.

- A jednak my bardzo często spotykamy się z takimi specjalnie prokurowanymi „okolicznościami łagodzącymi”. Jeden ze szpiegów zachodniemieckich Georg Griebel tłumaczył się w sądzie, że zdjęcia portów i naszego Wybrzeża, których dokonywał w czasie swych rajdów do Polski jako „pilot bałtycki” wprowadzający do portów statki różnych bander, nie mają żadnej wartości dla wywiadu NRF. Twierdził, że po prostu oszukiwał swoich szefów, dostarczając im nic nie znaczące fotki, chociaż Georg Griebel ujęty został na gorącym uczynku z całym arsenałem najbardziej wymyślnych szpiegowskich aparatów fotograficznych. A także z kolekcją wykonanych przez siebie zdjęć.

- A jednak ta taśma nie daje mi spokoju.

- Taśma to głupstwo, pułkowniku. Głupstwo nie mające żadnego znaczenia w całej sprawie. Zaginęła, została zniszczona lub służy jako ewentualny pas ratunkowy. Nie zmienia jednak w niczym aspektu zagadnienia.

- A więc? - zapytał pułkownik.

- A więc wracam do biura i puszczam całą naszą maszynę w ruch. Za parę godzin wszystkie punkty graniczne, wszystkie posterunki WOP-u, jak i wszystkie placówki milicji otrzymają ostrzeżenie i zdjęcia Elżbiety Wojciechowskiej. Dołączymy do tego i jej odfitki daktyloskopijne. Jeżeli dowód osobisty jest prawdziwy, odciski palców powinny być w Centralnym Biurze Daktyloskopii. Jestem pewien, że uciekając za granicę, Elżbieta spróbuje zmienić swój wygląd. Nasi technicy zastanowią się, w jaki sposób mogłaby to zrobić i do aktualnej fotografii żony inżyniera Wojciechowskiego, dołączymy również kilka wersji ewentualnego wyglądu szpiega. Może zmienić kolor włosów, zrobić sztuczne zmarszczki postarzające ją o dobre dwadzieścia lat i tym podobne sztuczki, ale nie zmieni długości i grubości nosa, kości policzkowych czy koloru oczu. A propos, jakie ona ma oczy?

- Prześliczne. Duże, zielone.

- To świetnie. Zielonych jest znacznie mniej niż niebieskich, czarnych czy

piwnych. A poza tym będziemy szukali tej pani innymi, nam znanymi sposobami, nie czekając na zjawienie się jej na punkcie granicznym. Mimo wszystko mogłoby dopisać jej szczęście i udałoby się jej przekroczyć granicę. Spróbujemy złapać ją jeszcze przed tym. Pójdziemy jej śladami nie tylko od chwili wyjścia z domu inżyniera Wojciechowskiego, lecz również cofniemy się w przeszłość.

- Po śladach w przeszłość?

- Tak. Sprawdzimy, co panna Elżbieta Kaczmarek robiła od dnia urodzenia aż do swojego tak szczęśliwego zamążpójścia. Jakie miała przyjaźnie, gdzie się uczyła, jaką ma rodzinę, gdzie pracowała i mieszkała. Po co wyjechała do Torunia, a następnie do Zakopanego? Dużo ludzi będzie głowiło się przy rozwiązywaniu tych zagadek. Mam jednak nadzieję, że z dobrym skutkiem.

- Pan major jest pewien swojej hipotezy. Muszę przyznać, że pańskie argumenty częściowo mnie przekonały, chociaż nie w stu procentach.

- Daję głowę pułkownikowi, że ona jest szpiegiem.

### **Grób Elżbiety Kaczmarek**

Na przedmieściu Grudziądza, w małym, własnym domku, dorobku całego życia, żyje dwoje emerytów, państwo Maria i Edward Kaczmarkowie. Razem z rodzicami mieszka tylko jeden z synów. Jest to człowiek mający już około trzydziestu pięciu lat, żonaty. Jak to zwykle bywa, dwojgiem wnuków więcej zajmują się dziadkowie niż pracujący rodzice.

Państwo Kaczmarkowie są ludźmi ogólnie poważanymi. On przez całe życie z krótką przerwą w latach okupacji, kiedy rodzina została wysiedlona i przebywała z dala od rodzinnego Grudziądza, przepracował w miejscowym sądzie. Pani Kaczmarkową wychowała czworo dzieci na dzielnych, uczciwych ludzi. Dzisiaj, poza jednym z synów, gromadka ta „poszła na swoje”. Koło domku znajduje się mały ogródek, chluba i duma pana Kaczmarka. Emeryt spędza tu całe dnie. Kwiaty, warzywa i owoce z działki państwa Kaczmarków słyną na okolicę, przysparzając nawet pewnego, niewielkiego zresztą dochodu uzupełniającego skromną rentę.

Pewnego sierpniowego dnia, a było to nazajutrz po bytności majora Pałkowskiego w mieszkaniu inżyniera Wojciechowskiego, przed domkiem państwa Kaczmarków zatrzymał się samochód. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden w mundurze milicyjnym, drugi ubrany w garnitur. Po ruchach cywila było jednak



poznać, że człowiek ten częściej chodzi w mundurze, niż w jasnym, popielatym ubraniu. Obydwaj skierowali się do mieszkania emerytów.

Drzwi otworzyła pani Maria. Jeden z mężczyzn, ten w mundurze MO, wyjaśnił:

- Jesteśmy z milicji. Chciałbym widzieć się z obywatelem Edwardem Kaczmarkiem.

Kobieta wyraźnie zdziwiła się. Odwiedziny milicji nie należały do zwyczajów tego domu. Czasem zajrzał tylko dzielnicowy i to raczej na pogawędkę, niż w sprawach służbowych. Ale dzielnicowego pani Kaczmarkowa doskonale знаła i gdy jeszcze był chłopcem, mówiła do niego po imieniu, po prostu „Józek”, zaś tych przedstawicieli władzy widziała pierwszy raz w życiu.

- Zaraz poproszę męża.

Było to niepotrzebne. Pan Edward jak zwykle krzątał się od rana w swoim ogródku. Ujrawszy samochód i obcych wchodzących do mieszkania, pośpieszył na ich spotkanie.

- Eda, ci panowie chcą z tobą rozmawiać - poinformowała żona.

- My obywatelu, w sprawie waszej córki Elżbiety. Pani Maria wyraźnie zbladła.

- Kogo? - Kaczmarek zadał to pytanie bardzo zdziwionym i nieco drżącym głosem.

- W sprawie waszej córki, obywatelki Elżbiety Kaczmarek. Co się z nią dzieje? Czy jest w domu? A jeśli nie, gdzie obecnie przebywa? Proszę mówić prawdę - słowa te wypowiadał mężczyzna w cywilnym ubraniu - my i tak wszystko sprawdzimy, a w razie próby wprowadzenia władz w błąd, zostaniecie surowo ukarani. Gdzie jest córka?

- Ależ panowie, to jakieś straszne nieporozumienie - pani Kaczmarkowa zaczęła nagle płakać.

- Córka? Elżbieta? Moja córka? - wyglądało na to, że i starszy pan za chwilę przestanie panować nad sobą i przyłączy się do płaczu żony.

- Tak. Mówię przecież wyraźnie - w głosie cywila znać było zniecierpliwienie - Elżbieta Kaczmarek, urodzona 3 marca 1938 roku w Grudziądzu. Córka Marii z domu Leśniewskiej i Edwarda Kaczmarka, urzędnika Sądu Grodzkiego w Grudziądzu. Z domu przy ulicy Kwiatowej 18 wymeldowana do Torunia 3 października 1959 roku. Potem wymeldowana z Torunia do Zakopanego w dniu 21

lutego 1962 roku. Z kolei wymeldowana z Zakopanego w dniu 14 listopada 1963 roku. Wyszła za mąż 5 lutego 1965 roku za inżyniera Adama Wojciechowskiego, zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Złotej.

Mężczyzna operował tymi wszystkimi datami bez posługiwania się jakimkolwiek zapisem. Widocznie nauczył się na pamięć dokładnego życiorysu zaginionej.

Oboje małżonkowie spoglądali na przedstawicieli władz w osłupieniu.

- Personalia się zgadzają? - zapytał milicjant. Kaczmarek odzyskał panowanie nad sobą.

- To jakaś tragiczna pomyłka. Daty się zgadzają. Rzeczywiście mieliśmy córkę, Elżbietę. Urodziła się w 1938 roku. Nasze najmłodsze dziecko było wątłe i słabowite. W czasie okupacji wysiedlono nas do Generalnej Guberni. W Sandomierskie. Całą okupację spędziliśmy w bardzo ciężkich warunkach. Odbiło się to na zdrowiu Elżbiety. Zgadza się jej data urodzenia, ale... córka po skończeniu szkoły uparła się studiować na uniwersytecie imienia Kopernika w Toruniu. Na próżno ją namawialiśmy, żeby co najmniej rok, dwa posiedziała w domu, odpoczęła i wzmocniła się. Wreszcie ustąpiliśmy. Nie wiem, czy wyjechała do Torunia w dniu, który pan podał, ale rzeczywiście było to jesienią 1959 roku. Ela uczyła się doskonale. Miała stypendium i mieszkała w domu akademickim. My, niestety, nie mogliśmy jej zbyt wiele pomagać. W 1962 roku zachorowała na gruźlicę. Leczone ją w Zakopanem prawie dwa lata. Wszystko na próżno. Osłabiony organizm nie wytrzymał walki z chorobą. Zmarła w Zakopanem 14 listopada 1963 roku. Tak jak pan to podał.

Cywil był kompletnie zaskoczony słowami emeryta. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą, w ciemnozielonej oprawie książeczkę - dowód osobisty. Podał go Kaczmarek mówiąc:

- Proszę obejrzeć, czy to dokument waszej córki? Kaczmarekowie pochyłili się nad dowodem.

- Tak, to legitymacja Elżbiety - potwierdziła pani Maria - doskonale przypominam sobie tę plamę z atramentu przy podpisie córki pod fotografią. Fotografia też ta sama, ale chyba nieco zmieniona. Elżbieta była przystojną dziewczyną, lecz nie tak ładną jak tutaj. Twarz miała bardziej owalną, szczuplejszą. I włosy jaśniejsze. Była blondynką.

- Macie państwo fotografię córki?

- Zaraz panu pokażę.

Kobieta wyszła do sąsiedniego pokoju i po chwili wróciła, niosąc w rękę portrecik przepasany krepą i kilka fotografii. Przybysze obejrżeli je dokładnie. Przedstawiały młodą dziewczynę, podobną nieco do tej, która figurowała w dowodzie osobistym, ale przecież nie tę samą. Jedno ze zdjęć zrobiono na cmentarzu. Nad usypaną mogiłą, obłożoną kamieniami, stał drewniany krzyżyk z tabliczką: „Elżbieta Kaczmarek ur. 3 marca 1938 r. zm. 14 listopada 1963. Prosi o westchnienie do Boga”. Nie ulegało wątpliwości, że państwo Kaczmarkowie mówili prawdę. Ich córka nie żyła już od prawie dwóch lat.

Obu przedstawicielom władzy nie pozostało nic innego, jak wypowiedzieć parę konwencjonalnych słów o nieporozumieniu, przeprosić i opuścić domek emerytów.

Samochód odwiózł sierżanta milicji do komendy powiatowej MO, po czym skierował się na szosę warszawską. Widocznie kierowca miał polecenie jechać jak najszybciej, bo setka nie schodziła z licznika. Po upływie niespełna trzech godzin pewien porucznik z kontrwywiadu meldował się w gabinecie majora Pałkowskiego i opowiadał o niezwykłym zdarzeniu. Kobieta, która dnia 22 sierpnia 1965 roku wyszła z domu w Warszawie w niewiadomym kierunku, zmarła... 14 listopada. 1963 roku.

Młody oficer był bardzo ciekawy reakcji swojego szefa na ten niecodzienny meldunek. Jednakże jego słowa nie zrobiły na majorze żadnego wrażenia, ani jeden mięsień nie drgnął na jego gładko wygolonej twarzy. Wysłuchał raportu i zadecydował:

- Dziękuję wam, poruczniku. Proszę sporządzić raport na piśmie i dołączyć do niego dowód osobisty Elżbiety Kaczmarek. Dowód prześlecie do analizy. Niech zwrócą specjalną uwagę na sposób przerobienia fotografii. To coś nowego. Dotychczas mieliśmy do czynienia z zamianą zdjęcia, a nie z jego retuszem. To może przydać się w innych przypadkach.

Porucznik podziwiając „żelazne nerwy” zwierzchnika nie wiedział, że w czasie gdy on jechał do Grudziądza, do Zakopanego poszedł obszerny telefonogram, żądający zbadania, co robiła w tej miejscowości Elżbieta Kaczmarek w okresie od dnia 21 lutego 1962 roku do 14 listopada następnego roku. W zakopiańskim biurze ewidencji ludności sprawdzono szybko, że osoba, o którą zapytuje Warszawa, była mieszkanką jednego z sanatoriów przeciwgruźliczych, a zmarła w listopadzie i została pochowana na miejscowym cmentarzu. Gdyby młody oficer mógł widzieć

twarz szefa, gdy ten odczytywał nadesłaną spod Giewontu odpowiedź, nie podziwiałby teraz tak olimpijskiego spokoju majora.

Wiadomości z Radomia, bo i tam udał się specjalny wysłannik majora Pałkowskiego, były raczej nieciekawe. Elżbieta Kaczmarek przybyła tam w dwa tygodnie po „swojej śmierci”, wynajęła pokój „przy rodzinie” przy ulicy Żeromskiego i pracowała w jednym z zakładów przemysłu skórzanego. Była zwykłą urzędniczką. Niczym specjalnie się nie wyróżniała. Ani pracowitością, ani lenistwem. Ubierała się dość skromnie i co zdumiewające - ani koledzy ani koleżanki z miejsca pracy nie uważali jej za zbyt przystojną. Gdy pokazywano im fotografię obecnej pani Elżbiety Wojciechowskiej, wszyscy stwierdzali, że to ta sama osoba, tylko inaczej uczesana i znacznie piękniejsza.

Również właściciele mieszkania, którzy odnajmowali pokój Elżbiecie Kaczmarek, nie mogli powiedzieć niczego interesującego o swojej sublokatorce, chociaż ta mieszkała u nich prawie rok. Spokojna, cicha, płaciła regularnie, nikt jej nie odwiedzał. Czasami otrzymywała listy z Warszawy, nieraz też wyjeżdżała do stolicy, gdzie rzekomo miała krewnych. O sobie i swojej pracy nie lubiła mówić. W ogóle nie była rozmowna i zbyt towarzyska. Także i ci ludzie twierdzili, że na okazanej im fotografii Elżbieta jest przystojniejsza i bardziej zadbana.

Jeszcze jeden ciekawy szczegół. Zwrócił na to uwagę jeden z pracowników garbarni, gdzie panna Kaczmarek pracowała. Ten młody człowiek miał upodobania artystyczne. Należał do miejscowego amatorskiego teatryku, trochę śpiewał i deklamował na okolicznościowych akademiach. Do swojego teatryku wciągał kogo się tylko dało spośród kolegów i koleżanek biurowych. Miał też zamiar zaproponować współpracę świeżo przyjętej urzędniczce, ale powstrzymała go od tego jej dykcja. Mówiła po polsku z twardym akcentem, co zresztą sama tłumaczyła tym, że jest Pomorzanką i pochodzi z Grudziądza.

Po kilku miesiącach pobytu w Radomiu ten twardy akcent zniknął, lecz panna Elżbieta nie była widocznie entuzjastką amatorskiej sceny, i odmówiła udziału w tej pracy. W ogóle starała się nie zwracać na siebie uwagi.

Major Pałkowski, gdy mu młodszy kolega relacjonował zdobycze podróży radomskiej, pokiwał głową komentując tę wiadomość.

- Przyczaiła się na rok w Radomiu, żeby lepiej opanować język polski i przygotować się do nowej roli, jaką miała w przyszłości odegrać. Nie ma potrzeby bardziej szczegółowego studiowania tego wycinka życia szpiega.

Natomiast pani Helena Ruciakowa, wdowa po urzędniku pocztowym, zamieszkała przy ulicy Madalińskiego w Warszawie, mówiła o swojej sublokatorce zupełnie co innego. Jej zdaniem była to bogata panna, która przyjechała do Warszawy raczej dla poznania stolicy i nawiązania jakichś ciekawych znajomości, niż dla pracy. Ta piękna dziewczyna miała tyle sukien i innych strojów, że to aż nie mieściło się w małej szafie niewielkiego pokoiku, który Elżbieta Kaczmarek wynajmowała u wdowy. Część tych rzeczy pani Helena musiała przyjąć do swojej szafy w drugim pokoju. Sublokatorka zaraz kupiła sobie lodówkę. Stała ona w kuchni, gdyż w pokoiku nawet by się nie zmieściła. Z tej lodówki korzystała, zresztą za wiedzą i zgodą Elżbiety, również pani Helena. Szafka zawsze była obficie zaopatrzona w zagraniczne trunki i wyszukane przysmaki. Elżbietę odwiedzało dużo osób. Lubiła się bawić, bywała w lokalach. Ten tryb życia trwał kilka miesięcy i ustał całkowicie, gdy na horyzoncie zjawił się inżynier Wojciechowski. Dziewczyna, która ze swoją gospodynią zdążyła się zaprzyjaźnić, mówiła do niej, że inżynier bardzo jej się podoba, a nawet że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia.

Już po ślubie młoda pani Wojciechowska od czasu do czasu odwiedzała starszą przyjaciółkę oraz zapraszała ją do swojego nowego domu. Nie kryła przed nią, że w małżeństwie jest bardzo szczęśliwa.

Pani Ruciakowa umiała wymienić kilka nazwisk osób odwiedzających Elżbietę w jej sublokatorskich czasach, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Gdy dziewczyna nawiązała flirt ze swoim przyszłym mężem, wizyty te ustały całkowicie, z dwoma tylko wyjątkami - dwóch mężczyzn, którzy przychodzili dość często aż do jej zamążpójścia. Panna Kaczmarek, tak zwykle rozmowna i skora do zwierzeń, nigdy nie chciała rozmawiać ze swoją gospodynią o tych panach. Nie wymieniała też ich nazwisk. Pytania ciekawej pani Heleny zbyła informacją, że są to jej zwierzchnicy, dyrektorzy ze spółdzielni. Obydwaj żonaci, a chcieliby nawiązać bliższą znajomość z podległą im służbowo urzędniczką. Wdowie po pocztowcu nie bardzo trafiało do przekonania to tłumaczenie, gdyż panowie jakoś nie wyglądali na zbyt zainteresowanych urodą pięknej panny. Żaden nigdy nie przyniósł ani kwiatka, ani pudełka czekoladek.

Natomiast Elżbieta traktowała ich z dużym respektem.

Co do swoich środków finansowych, to sublokatorka wdowy nie kryła, że pensja ze spółdzielni stanowi tylko ich drobną część. Miała, jak twierdziła, ojca w Anglii. Był to lotnik, który po wojnie nie wrócił do Polski, założył w drugiej

ojczyźnie nową rodzinę, ale pamiętał o najstarszej córce i regularnie przysyłał jej paczki i pieniądze na PKO.

Pani Helena pamiętała, że dwa razy nadeszła do Elżbiety przesyłka zagraniczna. Czasem też nadchodziły listy z PKO.

Ten ślad został natychmiast sprawdzony. Stwierdzono, że nadawcą pieniędzy był pan Edward Kaczmarek, a przekazy przychodziły z Londynu. Były to kwoty wahające się w granicach od stu do dwustu dolarów, a więc usprawiedliwiały poziom życia bogatej panny. Przesyłki te ustały z dniem ślubu.

Co do dwóch tajemniczych znajomych, pani Ruciakowa przypomniała sobie jeszcze pewien szczegół; jeden z nich raz lub dwa razy podjechał pod dom samochodem „syrena”. Jaki to był wóz? Nowy czy też już dość zużyty i jakiego koloru, tego wdowa nie umiała powiedzieć. Wydawało jej się, że właściciel wozu mieszka gdzieś na Mokotowie, bo parę razy widziała go w tej dzielnicy.

Pułkownik Jarecki musiał przyznać, że major Pałkowski energicznie wziął się do dzieła i w ciągu zaledwie jednego dnia osiągnął zdumiewające rezultaty. Potwierdzały one w zupełności hipotezę oficera kontrwywiadu. W świetle zebranych wiadomości nie ulegało wątpliwości, że rzekoma Elżbieta Wojciechowska jest po prostu agentem obcego wywiadu.

- Wszystko zrobione koronkowo - powiedział major Pałkowski rozmawiając z pułkownikiem. - Wywiad zdobywa taką czy inną drogą prawdziwy dowód osobisty po zmarłej studentce. Musiano pomachlować coś z meldunkami, sprawdzimy to później. Na razie zostawmy płotki w spokoju i polujmy na rekiny. Pod osobę zmarłej podstawia się podobną do niej agentkę. Czy już wtenczas planowano rozpracowanie wynalazku inżyniera Wojciechowskiego, trudno powiedzieć. Raczej sędzę, że sprawa wynikła później, bo wówczas nikt jeszcze nie wiedział o tym odkryciu i było ono dopiero w stadium początkowych badań. Po prostu wykombinowano, że warto mieć w Polsce przystojną agentkę, którą można będzie użyć przy nadarzającej się okazji. Dlatego dziewczynę posłano do Radomia, umieszczono w fabryce, która nie ma nic wspólnego z wojskowością i nie interesuje wywiadu. Po to tylko, żeby przeczekała i podciągnęła się w języku polskim.

- A żeby nie budziła zbyt wielkiej sensacji, stuszowano jej nieprzeciętną urodę i kazano niczym nie wyróżniać się od otoczenia.

- Trzymano ją tak cały rok?

- Nieraz trzyma się szpiega na obcym terenie całymi latami lub nawet

dziesiątkami lat, tak na wszelki wypadek, że może się przydać. Druga wojna światowa dostarczyła nam pod tym względem wielu pouczających przykładów, zwłaszcza jeśli chodzi o wywiad japoński w Stanach Zjednoczonych, na Hawajach i w Singapurze. Tutaj natomiast szkolono i trzymano w rezerwie naszą Elżbietę - będę ją tak nazywał aż do chwili ustalenia jej prawdziwego nazwiska i imienia - zaledwie przez rok. Potem posłano ją do stolicy już jako światową, bogatą pannę, lubiącą się zabawić i chętnie nawiązującą znajomości w towarzyskich kołach Warszawy. Chyba dopiero w ostatnim momencie wypłynęła sprawa inżyniera Wojciechowskiego i jego wynalazku. Dla poznania pana Adama i uwiedzenia go, ten cały ruch robiony wokół przystojnej panny nie był w ogóle potrzebny. Toteż wówczas od razu zlikwidowano te wszystkie nie mające już znaczenia znajomości.

- Ci dwaj, to oczywiście szefowie Elżbiety.

- Raczej jej kontakt z centralą, znajdującą się za granicą. Zapewne przekazywali jej polecenia centrali i pomagali w całej akcji. Oto dwóch chuliganów napada na samotną, piękną kobietę idącą przez park. Dzieje się to wtedy, gdy akurat przechodzi tamtędy inżynier Wojciechowski. Bohatersko staje on w jej obronie, a chuligani, mimo że jest ich dwóch, natychmiast posłusznie uciekają. Szyję dają, że miła pani Helena Ruciakowa rozpoznałaby w tych „łobuzach” obu czcigodnych dyrektorów swojej sublokatorki.

- Teraz, po odkryciach pana majora, jest zupełnie jasne.

- Inżynier odprowadził dziewczynę do najbliższej taksówki. A ona na drugi dzień już wie, kim jest jej zbawca i nawet zna jego numer telefonu. Następnie sprytnie wzięła sprawę w swoje łapki i doprowadziła ją dalej, niż to było pierwotnie zamierzone, bo aż do Urzędu Stanu Cywilnego.

- To wszystko razem jest wprost przerażające. Obawiam się, że te wiadomości zupełnie wykończyły Adama.

- Nie wykończyły - odrzekł Pałkowski - bo po prostu nic o nich nie wie i nieprędko się dowie. Biedny chłop dzwoni do mnie parę razy dziennie. Niezmiennie mu odpowiadam „niestety, nie ma nic nowego, ciągle szukamy”. Będę mu mógł powiedzieć całą prawdę dopiero wtedy, gdy piękna Elżbieta znajdzie się w naszych rękach. Dlatego też zaginionej Elżbiety Wojciechowskiej oficjalnie szuka milicja i ukazał się odpowiedni komunikat w radio. Niech szpiegom się zdaje, że nikt nie odgadł ich tajemnicy. Będą czuli się bardziej bezpieczni, a o to jedynie mi chodzi.

- Major powiedział, że będzie pan nazywał szpiega Elżbietą do czasu ustalenia

jej prawdziwego nazwiska. To znaczy do jej ujęcia?

- Niekoniecznie. Przypuszczam, że bardzo szybko dowiemy się nie tyle prawdziwego nazwiska Elżbiety, ale pod jakim przekroczyła polską granicę państwową. Obce wywiady nieraz próbują przerzucać szpiegów drogą nielegalną, ale zazwyczaj dotyczy to mężczyzn. Wymaga bowiem siły, zręczności i odwagi. Szpieg skacze na spadochronie z samolotu, dopływa wpław do brzegu lub też posługuje się specjalnym, małym balonem. Nie przypuszczam, żeby ryzykowali takie sposoby z kobietą. Sądzę, że Elżbieta przyjechała do Polski półlegalnie, jako turystka albo w odwiedziny do rzekomych krewnych, za prawdziwym lub sfalszowanym paszportem zagranicznym. To będzie już łatwe do ustalenia.

- W jaki sposób?

- Bardzo prosty! Żeby umarły mógł zmartwychwstać, żywy musi umrzeć.

## **List**

Pułkownik Jarecki i major Pałkowski prowadzili rozmowę w pokoju pułkownika, gdy nagle zadzwieczał telefon. Jarecki podniósł słuchawkę, i zwrócił się do swojego gościa.

- To do was, majorze.

- Tak. Tu Pałkowski. Poznaję pana po głosie. Niestety przykro mi, ale na razie nie mam dla pana żadnych dobrych nowin. Proszę jednak nie tracić nadziei. Prowadzimy poszukiwania pańskiej żony bardzo energicznie i chociaż niczego nowego jeszcze nie wiemy, zarysowują się pewne możliwości. Być może, już za parę dni powiem panu coś konkretnego...

Major przerwał. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Co? Otrzymał pan list od żony? Chciałbym go zobaczyć. Skąd pan dzwoni? Dobrze, zaraz tam przyjadę.

Pałkowski odłożył słuchawkę.

- Inżynier Wojciechowski - powiedział zwracając się do pułkownika - dostał list od żony. Mówi, że to strasznie nim wstrząsnęło i jest kompletnie załamany. Dzwonił z domu. Muszę zaraz do niego pojechać. Chciałby pań mi towarzyszyć?

W kilka minut później obaj panowie znaleźli się przed drzwiami mieszkania inżyniera. Otworzył im gospodarz. Był nie ogolony i przez te dwa dni zmienił się na twarzy nie do poznania. Policzki mu zapadły, postarzał się, nerwowo zacięte usta



świadczyły o wyraźnym zdenerwowaniu, zaś czerwona obwódka powiek o bezsenności.

- Adam, chłopie, jak ty wyglądasz? Weź się w garść! - zawołał pułkownik na widok przyjaciela.

Wojciechowski uśmiechnął się gorzko.

- Teraz już na pewno spróbuję to zrobić. Dotychczas obawiałem się nieszczęścia. Teraz mam pewność, że byłem tylko starym durniem, któremu zachciało się młodej, przystojnej żony.

Weszli w głąb mieszkania. Pokoje tak czyste i schludne jeszcze dwa dni temu, dzisiaj wyglądały inaczej. Tapczan był nie zasłany, wszędzie wałały się niedopałki papierosów, a ciężki kwaśny odór dymu tytoniowego unosił się w powietrzu. Pomimo ładnego, sierpniowego dnia wszystkie okna były szczelnie zamknięte, a rolety zapuszczone tak, że w pokojach panował prawie półmrok.

Pułkownik bez słowa podszedł do drzwi balkonowych, rozsunął story i otworzył możliwie najszerzej drzwi.

- Udusić się można w tej wędzarni - zauważył. Adam wzruszył ramionami.

- Pan mówił o liście - zagaił Pałkowski - można go zobaczyć?

- Leży na biurku.

Major podszedł do biurka. Na stercie różnych druków i innej korespondencji leżała niewielka kartka papieru pokryta odręcznym niebieskim pismem. Widać było, że piszący używał długopisu.

„*Adamie!*

*Odeszłam i więcej nie wrócę. Biedna dziewczyna chciała sobie znaleźć bogatego męża i w ten sposób urządzić spokojne życie. Niestety, przeliczyłam się z siłami. Nie mogę już dłużej grać roli kochającej żony. Każde twoje dotknięcie, a nawet spojrzenie, przejmowało mnie od samego początku niewypowiedzianym wstrętem. Brzydzę się nawet tych rzeczy, których dotykałeś lub na które patrzyłeś, dlatego opuszczając Ciebie nie wzięłam niczego, najmniejszego drobiazgu. Wyrzuć je albo oddaj biednym. Swoją drogą podziwiam Twoją pierwszą żonę, że zdołała wytrzymać z Tobą aż trzy lata. Mnie wystarczyło siedem miesięcy, najbardziej koszmarnych miesięcy w moim życiu. Mam nadzieję, że będziesz przynajmniej na tyle dżentelmenem, aby mnie nie szukać i nie prześladować nadal swoją osobą. Tylko o to jedno Cię proszę.*

*Elżbieta”*

- Potworny list - zauważył pułkownik.

- Psiakrew! Ale mam szczęście do kobiet. Prawda, Zygmunt? Co następna, to lepsza. - Mówiąc to inżynier usiłował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko jakiś nieudolny grymas. Gdy wyciągał z kieszeni papierosy i zapalał maszynkę, palce całkiem wyraźnie mu drżały.

- Dawno pan dostał ten list? - głos majora był jak zwykle spokojny i rzeczowy. Nie było w nim nawet śladu współczucia. Po prostu oficer kontrwywiadu nadal prowadził śledztwo.

- Przyszedł dzisiejszą, poranną pocztą.

- A gdzie jest koperta? Nigdzie jej nie widzę.

- Koperta? Nie wiem. Pewnie w koszu na śmieci.

Major bez słowa pochylił się nad stojącą obok biurka śmietniczką, wypełnioną do połowy różnymi zmiętymi i podartymi papierami. Uważnie je przeglądał, wreszcie wyjął zieloną kulkę i ostrożnie rozwinął.

- Jest - powiedział - nadane trzy dni temu. Wrzucona do skrzynki w śródmieściu. Dziwne, że tak długo szła. Powinna znaleźć się u pana jeszcze tego samego dnia, kiedy pani Elżbieta wyszła z domu.

- Przez dwa dni nie dostałem żadnej poczty. Dopiero dzisiaj znalazłem w skrzynce cały plik korespondencji. Normalnie otrzymuję dużo listów i czasopism i nie ma dnia, żeby listonosz czegoś nie przyniósł.

- Z naszą pocztą dzieją się czasem dziwne rzeczy. Mój list do żony, wrzucony w Sopocie w lipcu, do tej pory jeszcze nie przyszedł - zauważył pułkownik.

- Czy pan ma takie koperty i taki papier? Inżynier otworzył środkową szufladę biurka. Leżały tu różnej wielkości koperty i cała ryza papieru oraz elegancki komplet listowy, ale zielonych kopert nie było.

- W każdym razie - powiedział major - przynajmniej koperta nie z tego zapasu. Muszę zabrać i list i kopertę.

To mówiąc major starannie złożył oba papiery i schował je do teczki.

- Po co to panu? - zauważył inżynier. - Chciałbym podziękować za dotychczasowe starania i prosić o wstrzymanie dalszych poszukiwań. Sam pan widzi z tego listu, że to już niepotrzebne. Dzwoniłem do milicji w tej sprawie.

- Pan się myli - sucho odpowiedział major. Dopiero teraz widzę, że trzeba możliwie jak najenergiczniej prowadzić poszukiwania pańskiej żony.

- Ten list...

T- en list zawiera kłamstwa. Nie wiem, w jakich okolicznościach został napisany, ale wiem jedno, nie mówi prawdy. Autor specjalnie sili się, żeby pana dotknąć i upokorzyć. Stąd te górnolotne słowa o wstręcie, biednej dziewczynie i darowaniu futer oraz biżuterii ubogim. Jedynym celem napisania tej kartki jest spowodowanie, żeby pan nie poszukiwał żony. Dlatego właśnie będziemy jej szukali.

Nie mam wątpliwości, że to pisała Elżbieta. Doskonale poznaję jej charakter pisma.

O tym, że pisała to pani Elżbieta własną ręką, nigdy nie wątpiłem. Ale zapewniam pana, nie takie pisma wymuszano na ludziach.

- Pan myśli, że Elę zmuszono do tego? - w głosie inżyniera zadźwięczał inny akcent. Przerżenia, ale zarazem i nadziei.

- Jeszcze tego nie wiem, lecz jestem przekonany, że list nie mówi prawdy.

- Jak to?

- To przecież proste. Żona odchodzi od męża i zostawia wszystko, nawet swój dowód osobisty, całą biżuterię i przedmioty stanowiące pamiątkę po zmarłej matce. Pisze, że robi to, ponieważ czuje wstręt do pana. A jednocześnie zabiera ze sobą obrączkę. Symbol tego małżeństwa, którego już dłużej nie mogła ścierpieć. Zabrałaby raczej wszystko, a obrączkę rzuciła na biurko.

- Rzeczywiście - zauważył inżynier - wśród pierścionków brakuje obrączki. Po powrocie do domu Ela miała zwyczaj zdejmowania całej biżuterii i noszenia jedynie obrączki.

- Mogła o niej zapomnieć - wtrącił pułkownik.

- Na pewno nie! O wszystkim by zapomniała, ale nie o symbolu małżeńskich kajdan tak ją uciskających. A poza tym młoda, piękna kobieta nie wyjdzie z domu nie zabierając ze sobą przynajmniej kosmetyczki z pudrem i szminką. To dziwnie jedno drugiemu przeczy. Dlatego nie wierzę w ten list.

- No tak - samopoczucie inżyniera zaczęło się poprawiać po słowach majora - pan sądzi, że Ela naprawdę napisała te słowa wbrew swojej woli?

- Jestem tego absolutnie pewien!

- Och! Budzi pan we mnie nadzieję. A jednocześnie przerażenie, że z Elżbietą dzieje się coś niedobrego.

- Niech pan się nie martwi. Na razie nic jej nie grozi. Właśnie dlatego, że napisała ten list i ktoś, kto ją do tego zmusił, jest przekonany, że pismo wywarło skutek. W każdym razie niech pan przed znajomymi udaje, że wierzy w treść tego

listu. Tak będzie lepiej. Swoją drogą dziwny traf, że z takim listem poczta musiała nawalić i przyszedł o dwa dni za późno, już po naszej pierwszej rozmowie.

- Przecież - dodał pułkownik - Elżbieta mogła w ogóle nie wysyłać tego listu pocztą, a po prostu zostawić go w domu przed wyjściem.

- Oczywiście. To jeszcze jeden argument przemawiający za tezą, że pisała go wbrew własnej woli.

- Kiedy obaj oficerowie opuścili mieszkanie przy ulicy Złotej, pułkownik zauważył:

- Ten list podważa pańską pierwotną teorię.

- Nie podważa, ale raczej zmusza do jej rozbudowania i uzupełnienia. Obecnie nie ulega żadnej wątpliwości, że Elżbieta jest agentem obcego wywiadu. Na to mamy niczym nie odparte dowody. Natomiast zakładaliśmy, że uciekła, gdyż bała się zdemaskowania, że zdarzyły się jakieś nieznane nam fakty, które kazały szpiegowi przypuszczać, iż jedynym ratunkiem jest natychmiastowa ucieczka. Jej charakter - pozostawienie wszystkich rzeczy, nawet najbardziej osobistych, i wyjście z domu bez grosza wskazuje na panikę. Widocznie później szpieg zorientował się, że bezpośrednio niebezpieczeństwo mu nie grozi, natomiast przy poszukiwaniu zaginionej może się ujawnić fałszywe pochodzenie. Dlatego pisze list, który ma urazić miłość własną inżyniera i skłonić go do rezygnacji z poszukiwań.

- To mogło wyglądać tak, jak pan major mówi, ale w takim razie dlaczego wysłała list pocztą? Mogła przecież wrócić do domu i opowiedzieć Adamowi jakąś bajeczkę. Zakochany inżynier uwierzyłby w najbardziej nieprawdopodobną bujdzę. Zaś nazajutrz agentka spokojnie zapakowałaby swoje rzeczy, wywiozła je, a na biurku zostawiła list.

- Pułkownik ma rację, że sprawa nie jest jasna. Ten list niewątpliwie ją zaciemnia. Niemniej nie był napisany bez kozery. Coś w tym musi być. W tak doskonale przygotowanej aferze, opracowywanej przez całe lata i związanej na ostatni guzik, bo nawet pieniądze przychodziły z Anglii i nadawcą był rzekomy ojciec lotnik, nie robi się niczego bez namysłu i bez celu. Wszystko dotychczas było znakomicie przemyślane. Sumy też były nie za wysokie, wystarczające na życie o dość wysokiej stopie, ale i nie tak duże, aby wzbudzały podejrzenie. A potem nagle szybkie zwinięcie żagli w momencie murowanego sukcesu.

- Może właśnie zdobyła plany wynalazku i uznano, że to wystarczy, aby agenta wycofać?

- Wywiad nie wycofuje agenta. Zazwyczaj nie troszczy się zbyt o jego bezpieczeństwo. Przeciwnie, eksploatuje go aż do granic możliwości i nie cofa się nieraz przed wykończeniem niepotrzebnego już człowieka. Wszystko wskazuje, że Elżbieta była agentem przysłanym z zewnątrz. Taki ma oczywiście większe prawa i bardziej się o niego dba, niż o różne miejscowe kanale, zwerbowane do tej roboty za małą sumę dolarów i za dużą ilość obietnic, których nikt nigdy nie miał zamiaru dotrzymać. Ale nawet agentki w tym charakterze co Elżbieta, nie wycofuje się po jednym udanym skoku. Zresztą po co? Mogła nadal grać rolę pięknej pani inżynierowej i zdobywać w ten sposób cenne wiadomości. Może i cenniejsze, niż ten wynalazek Wojciechowskiego - jak on sam mówi - który dopiero w praktyce wykaże swoją wartość.

- Gdyby to chodziło o jakiś wynalazek mający znaczenie dla przemysłu, mógłbym powiedzieć, zakładając z góry nieprawdopodobieństwo takiej sytuacji w Polsce, że walczą o niego dwie konkurencyjne bandy. Wtedy byłoby zrozumiałe, że jeden z gangów uprowadził żonę inżyniera, aby wymusić zdobycie planów.

- Gdyby tak było, przysłano by list żądający dokumentu jako ceny wykupu.

- A może banda orientuje się, że Elżbieta jest członkiem innej szajki i ma już tajemnicę wynalazku w swoim ręku? Dlatego porywa dziewczynę i wysyła list, aby mąż jej nie szukał?

Major roześmiał się.

- Fantazjujemy jak w amerykańskim sensacyjnym filmie. Moglibyśmy, widzę, napisać świetny scenariusz na ten temat. Jedyne błędne rozumowanie polega na tym, że w niczym nie rozwiązuje ono sprawy i w niczym nie pasuje do naszej rzeczywistości.

- Ma pan rację - zgodził się pułkownik - niemniej to interesujące, co pan mówił Adamowi o presji, jaką wywarło na Elżbietę, żeby zmusić ją do napisania tego pisma. Jakie ma pan uzasadnienie tej hipotezy?

- Żadnej. Po prostu z zimną krwią oszukiwałem tego chłopca. Po co ma się gryźć? I tak czeka go dobry wstrząs, kiedy pozna prawdziwą rolę swojej żony. Obecnie jest tak załamany, że uważałem za słuszne go pocieszyć. Dlatego mówiłem te wszystkie historyjki o obrączce, pudrze i szminkach. Inżynier musi być silny, musi nadal pracować nad swoim wynalazkiem i pomagać nam w prowadzeniu śledztwa. Niech mu się zdaje, że żona nadal go kocha i tylko z niewiadomych względów, pod jakimś naciskiem napisała fałszywy list. Niech wierzy, że ona do niego wróci. Nam

to nic nie szkodzi, a jemu pomoże. Powiedziałbym, maleńkie, niewinne kłamstwo. Biorę je na swoje sumienie. Pułkownik roześmiał się.

- Major jest dobrym psychologiem. Jak ten chłop od razu się ożywił! Każde pańskie słowo działało jak eliksir. Założę się, że Adam sprząta teraz mieszkanie i goli się.

- To mu się przyda, bo miał zarost sprzed trzech dni. Mam nadzieję, że jutro wróci do pracy. Strach o żonę będzie jednak mniejszy niż strach, że przestała go kochać i uciekła z innym. Tak już zawsze jest w miłości.

- Klucz do rozwiązania zagadki stanowić będzie odnalezienie tych dwóch facetów, którzy odwiedzali Elżbietę w jej panińskim mieszkaniu. Bywałem często u Adama w domu, spotykałem się z nim na mieście, widywałem też i jego żonę w różnych lokalach, kawiarniach, klubach czy restauracjach, nigdy jednak nie przebywała w towarzystwie takich dwóch mężczyzn. Kobieta wychodząca z domu bez grosza musiała mieć współników, którzy udzielili jej schronienia, zaopiekowali się nią, a następnie pomogą jej opuścić granice Polski. Jakby nie było, Elżbieta jako szpieg jest już spalona.

- To pewne. Dlatego też położyliśmy ogromny nacisk na kontrolę graniczną. Myślę jednak, że ludzie, którzy udzielili Elżbiecie schronienia, dobrze się w tym orientują i postarają się odczekać możliwie długo, zanim podejmą próbę przerzutu swojej agentki do centrali. Chyba, że ich coś spłoszyło i muszą się likwidować równie szybko, jak to zrobiła rzekoma pani Wojciechowska.

- No, nie rzekoma. Wzięli ślub.

- Tak, ale zachodzi tu klasyczny „error in persona”, omyłka co do osoby. W każdym ustawodawstwie taki związek podlega unieważnieniu. Mniejsza zresztą o to. Teraz najważniejsze, żeby tę panią i jej współników jak najprędzej odszukać i ulokować w bezpiecznym miejscu i przeszkodzić wywiezieniu planów wynalazku inżyniera za granicę. Boję się, że ta druga sprawa jest znacznie trudniejsza, jeżeli wręcz nie beznadziejna. Agentka miała aż siedem miesięcy, żeby spokojnie, bez pośpiechu, przekazywać za granicę wszystko to, co wyjmowała z dostępnej sobie skrytki.

- Może jednak nie przekazała całości do centrali? Przecież sam Adam przyznaje, że jego wynalazek jest niezupełnie skończony.

- Tak, ale również stwierdza, że te dokumenty, które były w mieszkaniu w dniu zniknięcia Elżbiety, wystarczają dla poznania koncepcji jego pracy. A tylko o to

szpiegom chodziło. Ich biura konstrukcyjne potrafią rozwiązać najrozmaitsze drugorzędne szczegóły może lepiej niż Wojciechowski. Grunt to znać zasadę, o jaką oparł nowe odkrycie.

- Jeśli nawet sprawa z wynalazkiem przedstawia się źle, musimy i tak ująć sprawców przestępstwa.

- Oczywiście - zgodził się major - dlatego przede wszystkim trzeba zidentyfikować tajemniczych nieznajomych.

Obaj oficerowie wchodzili właśnie do gmachu swojego biura. Tu ich drogi rozchodziły się. Przed powrotem do swojego gabinetu pułkownik powiedział ni to do majora, ni to do siebie:

- A jednak to intrygujące, dlaczego Elżbieta zabrała ze sobą obrączkę. Właśnie tylko obrączkę.

### **W pogoni za syreną**

Gdy ktoś nagle zaginie, milicja rozsyła komunikaty do wszystkich swoich placówek na terenie całego kraju. Komunikaty te publikuje się również przez radio i w telewizji, telewizja oczywiście zamieszcza zazwyczaj także portret osoby zaginionej.

Toteż zaginięcie młodej, pięknej kobiety wywołało dużą sensację. Do komendy MO napłynęły dziesiątki rozmaitych listów-anonimów i pism podpisanych pełnym imieniem i nazwiskiem. Autorzy podawali swoje hipotezy na temat powodów i sposobu zaginięcia młodej żony inżyniera. Wiele pism zawierało informacje, gdzie widziano Elżbietę Wojciechowską, a nawet gdzie się ona ukrywa.

Milicja miała dużo bezproduktywnej pracy. Każdą wiadomość trzeba było sprawdzić, a informacje w listach nie potwierdzały się. Widziano osoby nieco podobne bądź tylko przystojne brunetki i kojarzono je z komunikatem. Mnóstwo osób telefonowało do komendy MO z zapytaniem, czy zaginiona już się odnalazła.

Natomiast jeden telefon wywołał zainteresowanie władz, zarówno milicji jak kontrwywiadu. Początkowo milicja, wskutek meldunku inżyniera Wojciechowskiego, wszczęła poszukiwania „na własną rękę”, szybko jednak obie instytucje porozumiały się i działały wspólnie. Oto do komendy dzielnicowej MO zadzwoniła jakaś dziewczyna, która przedstawiła się jako Anna Barska, ekspedientka pracująca w

jednym ze sklepów przy ulicy Złotej. Widziała w telewizji zdjęcie zaginionej pani Wojciechowskiej i przypomina sobie, że zauważyła tę osobę w dniu zaginięcia.

Dyżurny oficer odbierający telefon zanotował wszystkie dane i wyjaśnił panie Barskiej, że albo zostanie wezwana na przesłuchanie do komendy, albo władze skomunikują się z nią w jakiś inny sposób. O przekazanej mu wiadomości natychmiast zawiadomił majora Pałkowskiego.

- Dziękuję. To może być dobry ślad - stwierdził major - nie wzywajcie jej do komendy. Takie zaproszenie działa na ludzi wręcz negatywnie. Związuje im języki. Zawsze to przesłuchanie przez władze, podpisywanie protokołu i czekanie na przepustkę przy wejściu. Lepiej będzie, jeżeli wezmę samochód i pojedę rozmówić się z dziewczyną na miejscu. A najlepiej chyba zaprosić ją na kawę lub lody.

Panna Anna Barska była młodą, rezolutną osobą. Dowiedziawszy się od majora o celu jego przybycia, przede wszystkim zażądała okazania legitymacji służbowej.

- Ja pana nie znam - oświadczyła - jedna młoda kobieta już zaginęła. Może ja mam być właśnie drugą? Tamta też wsiadła do samochodu.

Major uśmiechnął się, lecz przyznał w duchu, że rozumowanie młodej dziewczyny, choć oparte o wzory widziane na gangsterskich filmach, nie jest pozbawione słuszności. Wyjął legitymację służbową, którą dziewczyna uważnie przestudiowała zanim zwróciła się do kierownika sklepu.

- Muszę wyjść w ważnej sprawie z panem majorem Pałkowskim. Niech pan kierownik zapamięta: major Pałkowski - powtórzyła z naciskiem. - Wrócę jak tylko będę mogła najwcześniej.

Oficer polecił kierowcy, aby ten skierował wóz w stronę Placu Zwycięstwa. Tam zaproponował panie Barskiej wstąpienie do kawiarni hotelu „Europejskiego” na kawę lub lody. Dziewczyna wolała lody. Major zrujnował się nawet na melbę. Gdy kelnerka przyniosła dla panny Anny wyszukaną piramidę z kunsztownie tkwiącym w jej szczycie jakimś przedziwnym obwarzankiem, a przed oficerem postawiła filiżankę czarnej kawy, ten zaczął:

- A teraz może pani opowie mi o swoim spostrzeżeniu.

Dziewczyna nie dała się prosić. Imponowało jej, że oficer osobiście fatyguje się, aby przeprowadzić z nią wywiad, a na dodatek funduje drogą melbę. Toteż od razu przystąpiła do sprawy.

- Jak pan wie, pracuję w sklepie spożywczym. Parę domów dalej mieszkała ta



zaginiona. Oczywiście nic o niej nie wiedziałam aż do dnia, kiedy zobaczyłam jej zdjęcie w telewizji. Natomiast często widywałam ją w sklepie, jako swoją klientkę. Nie trudno zresztą było spostrzec, bo wyróżniała się urodą i eleganckim ubiorem. Poza tym nie znałam jej, nie wiedziałam kim jest. Ona również nie interesowała się moją osobą. Nie zamieniłyśmy nigdy ani słowa na temat zakupów. Ot, normalnie. Klientka wchodząca do sklepu i prosząca o towar i ekspedientka podająca go oraz informująca, ile trzeba zapłacić. To wszystko. Nie mogłam na nią narzekać. Była grzeczna, nie tak jak inne panie, które jeżeli mogą się lepiej ubrać i mają więcej pieniędzy, to tak zadzierają nosa, że bez kija nie przystąpię.

- Czy pani Wojciechowska zawsze sama dokonywała zakupów?

- Czasami przychodziła z mężczyzną. Wysokim i starszym od niej. Chyba mąż?

- Może ten? - major pokazał fotografię inżyniera.

- Ten sam. Poznaje go doskonale. Nawet dzisiaj rano był u nas w sklepie.

Kupował kawę, chleb i masło.

- Kiedy pani ostatni raz widziała Wojciechowską?

- To było w dniu jej zaginięcia. Doskonale pamiętam datę, bo właśnie wtedy wypadały imieniny mojej przyjaciółki i za zgodą kierownika wzięłam sobie „angielskie godziny”. Wyszłam ze sklepu dwie godziny wcześniej.

- Pani widziała Elżbietę Wojciechowską wieczorem? Przy wyjściu ze sklepu?

- Nie. To było dużo wcześniej. Chyba około godziny jedenastej lub dwunastej w południe. Dokładnie nie pamiętam, ale w każdym razie w godzinach małego ruchu. W sklepie spożywczym, panie majorze, ruch płynie falami. Nasila się i opada. Według tego można regulować zegarek. Rano, kiedy tylko otworzymy o godzinie szóstej, przychodzi pierwsza fala kobiet, których mężowie idą do pracy na siódmą. Potem robią zakupy te następne, wyprawiające dzieci do szkoły. Do jedenastej kupują osoby nie pracujące zawodowo, lecz prowadzące gospodarstwo domowe. To są zakupy na obiad. Później, aż do godziny drugiej, znowu mały ruch i z kolei zjawiają się klienci wracający z pracy.

- Więc według pani musiało być około południa?

- Na pewno. W sklepie było pusto, słońko świeciło, stałam w drzwiach i grzałam się. Właśnie wtedy zobaczyłam, że idzie pani Wojciechowska. Ukloniła mi się i powiedziała: „Dzień dobry panno Irko. Jaki ładny dzień mamy dzisiaj”. Gdyby się nie odezwała, nie zapamiętałabym tego momentu. Przecież ja nie mam na imię

„Irka”, tylko Anna, a wszyscy, którzy mnie znają, mówią „Hanka” lub „Haneczka”.

- Może pomyliła się?

- Jak można się pomylić nie wiedząc. Ta pani nigdy przedtem ze mną nie rozmawiała. Przecież już to panu majorowi wyjaśniłam.

- Sama szła?

- Nie. Jakiś pan prowadził ją pod rękę. Ale nie mąż, nie ten z fotografii.

- Pani odpowiedziała coś na to powitanie?

- Nie. Tak byłam zdziwiona, że zanim zdobyłam się na odpowiedź, oni już przeszli. Zauważyłem jedynie, że kiedy ona odezwała się, mężczyzna prowadzący ją pod rękę przyspieszył kroku i powiedział cicho: „Chodźmy prędzej, nie ma czasu”. Ten drugi również przyspieszył kroku.

Major tylko westchnął. Przesłuchiwanie panny Haneczki wymagało niezwyklej cierpliwości i samozaparcia.

- To było ich kilku? - zapytał niewinnym głosem.

- Tylko dwóch. Jeden prowadził ją pod rękę, drugi szedł obok. Nieco z tyłu.

- Czy Wojciechowska wyglądała tak, jak gdyby nie chciała iść?

- Nie rozumiem?

- No, jak gdyby prowadzono ją siłą?

- Nie. Szła normalnie. Ten pan z tyłu, pamiętam, głośno się roześmiał. Potem wsiadła do samochodu, nikt jej nie pomagał.

Major zagryzł usta.

- Wsiadli do samochodu i pojechali?

- Właśnie. Wóz stał przy sąsiednim domu.

- Bliżej mieszkania Wojciechowskiej? Ona mieszkała pod 51 numerem - przypomniał major.

- Nie! Co też pan opowiada? Szli tak, jak gdyby od jej mieszkania, przeszli koło naszego sklepu i wsiadli do samochodu, który stał jeszcze dalej.

- Znakomicie to wszystko pani Haneczka zauważyła.

Dziewczyna napuszyła się.

- Nie jeden raz mi mówiono, że jestem bardzo spostrzegawcza. Może bym przydała się wam na stałe?

- Nie miałby pan dla mnie jakiejś pracy? Chętnie bym zamieniła. Co to za przyszłość taki sklep spożywczy?

- W tej chwili nic odpowiedniego dla pani nie widzę, ale może...? - Major nie

chciał zrażać dziewczyny dopóki nie wyciągnie od niej wszystkich informacji. - Będę o tym pamiętał.

- Bardzo dziękuję. - Hanka była zachwycona swoimi sukcesami. Od razu sięgnęła po torebkę i upudrowała się oraz „poprawiła” usta. Uznała widać, że podobanie się przystojnemu zresztą oficerowi również jej nie zaszkodzi.

- Elżbieta Wojciechowska posiadała samochód. Właściwie nie ona, lecz jej mąż. Nowy, elegancki opel rekord. Miała prawo jazdy.

- To nie ten. Opla nieraz widywałam na naszej ulicy. Ciemnozielonego koloru. Nigdy jednak nie zauważyłam, żeby ona prowadziła ten samochód. Zawsze jej mąż. Nawet nie widziałam jej w opelu.

Wiem, że ich znajomi i przyjaciele również mają samochody. Widocznie ktoś po nią przyjechał. Nie zwróciła pani uwagi, jak wyglądał ten wóz?

- To była syrena. Takiego koloru jak kawa z mlekiem. O właśnie taka, jak ta warszawa, która stoi na parkingu.

- Stary czy nowy wóz?

- Raczej stary. Gdyby był nowy, zauważyłabym, że lakier bardziej się błyszczy. Ale i nie za bardzo stary, bo gdyby był jakiś grat, też by mi się rzucił w oczy.

- Niech pani spróbuje opisać wygląd tych mężczyzn.

- Ten prowadzący ją pod rękę był krępy męczyzną średniego wzrostu. Miał niego zadarty nos i dość okrągłą twarz. Czoło raczej niskie. Usta dość szerokie. Oczy chyba szare. Miał na sobie płaszcz. Zwykły, jasny prochowiec. On otworzył samochód i on usiadł za kierownicą. Pani Wojciechowska przy nim, a ten drugi z tyłu. To było nawet dość zabawne, bo nie mógł tam się przedostać. Zamiast wejść do wozu pierwszy, najpierw przepuścił panią, która zajęła miejsce koło kierowcy. Dopiero wtedy on się przeciskał. Syrena ma jedne drzwi i tak wsiadać, jak on to zrobił, jest bardzo niewygodnie.

- A jak wyglądał ten drugi?

- Wysoki co najmniej metr osiemdziesiąt, szczupły. Jasny blondyn o łysiejącej głowie i włosach jak gdyby wypłowiałych na słońcu. Miał wysokie czoło, a oczy bardzo jasnoniebieskie, jak u ryby, zimne. Nos prosty, usta wąskie, zacięte. Twarz pociągła. Jak gdyby lekko utykał na jedną nogę, ale prawie niewidocznie. Nosił płaszcz ortalionowy koloru oliwkowego. Płaszcz był rozpięty. Pod płaszczem sportowa wiatrówka zielonkawa i popielate spodnie. Obie ręce trzymał w kieszeniach

płaszcz.

Major musiał przyznać, że panna Haneczka jest rzeczywiście osobą bardzo spostrzegawczą. Kto wie? Może ma tak poszukiwany w służbie śledczej talent „fizjonomisty” - zdolność zapamiętywania raz obejrzonej twarzy i poznawania jej później, nawet po latach? Gdyby tak naprawdę było, przyszłość Anny Barskiej rysowałaby się znacznie ciekawiej niż monotonne załatwianie klientów w sklepie spożywczym. Major obiecał sobie w duchu zanotować tę cenną zaletę dziewczyny i później, gdy sprawa tajemniczego szpiega zostanie wyjaśniona, zająć się nią bliżej. Oczywiście tylko jako ewentualną kandydatką do pracy w charakterze fizjonomistki. Natomiast słodkie oczy i inne awanse, jakich mu ekspedientka nie szczędziła, łącznie z bardzo obiecującymi spojrzzeniami, oficera nie interesowały w ogóle.

- Czy pani poznałaby tych ludzi, gdyby jej pokazać ich fotografie?

- Na pewno! - panna Haneczka była pewna siebie. - Jak kogo zobaczę i przyjrzę mu się, pamiętam nawet po latach. Nieraz poznaję na ulicy koleżanki, z którymi przed piętnastu laty chodziłam do przedszkola. Czy ma pan te zdjęcia?

- Jeszcze nie mam, ale kto wie, może będę miał.

- To proszę koniecznie mi je pokazać.

- A samochód poznałaby pani?

- Nie. Samochód o wiele trudniej poznać niż człowieka. Samochody jednej marki są wszystkie jednakowe. Różnią się jedynie kolorem.

Major nie dyskutował. Widząc, że z niej już nic więcej nie „wycisnie”, zapłacił dość słony rachunek za melbę i dużą kawę, a następnie odwiózł dziewczynę na ulicę Złotą. Wysiadając, jeszcze mu przypominała:

- A co do tej posady, będzie pan pamiętał?

- Oczywiście, panno Haneczko - zapewniał major. A tymczasem panią Helenę Ruciakową odwiedził artysta plastyk. Gospodyni odnajmująca pokój rzekomej Elżbiecie Kaczmarek aż do dnia jej zamążpójścia, widziała kilkakrotnie tajemniczych mężczyzn odwiedzających sublokatorkę. Były to jednak spotkania przypadkowe. Albo przy otwieraniu drzwi, albo na korytarzu. Wdowa po pocztowcu nie zamieniła z tymi ludźmi ani słowa, chociaż dość dobrze zapamiętała ich wygląd. Nie miała wprawdzie takich zdolności „fizjonomisty”, jakie ujawniła młoda ekspedientka, niemniej pracując pod kierunkiem pani Heleny artysta malarz wykonał dwa całkiem udane portrety. Gdy je pokazał majorowi ten pod świeżym wrażeniem rozmowy z dzielną panną Haneczką uznał, że towarzysze Elżbiety Wojciechowskiej i jej ostatniej

przechadzki po ulicy Złotej są bardzo podobni do leżących przed oficerem szkiców.

Musi pan zaraz pojechać na ulicę Złotą - zdecydował major - do sklepu spożywczego. Niech pan pokaże obydwu rysunki ekspedientce, Annie Barskiej. Proszę powołać się na to, że przychodzi pan z mojego polecenia. Inaczej, obawiam się, nie będzie z panem chciała rozmawiać. Jeżeli ta dziewczyna uzna, że portreciki są podobne do dwóch facetów, których widziała w towarzystwie Elżbiety Wojciechowskiej, uzupełni pan swoje szkice uwagami ekspedientki. Przypuszczam, że lepiej zapamiętała tych mężczyzn niż nasza zacna wdowa, chociaż dziewczyna widziała ich tylko przez kilkadziesiąt sekund.

Tak nieraz bywa - potwierdził malarz - są ludzie nie umiejący opisać wyglądu własnego zegarka, chociaż spoglądają nań kilkadziesiąt razy dziennie przez długie lata. Inni odwrotnie, raz widziany szczegół pamiętać będą całe życie.

Panna Barska, jak to major przewidywał, zidentyfikowała towarzyszy Elżbiety z tajemniczymi nieznajomymi. Dzięki uwagom spostrzegawczej dziewczyny artysta malarz sporządził już nie szkice, lecz prawdziwe portrety obydwóch. Narysował nawet całe ich sylwetki. Z tych portretów zrobiono fotografie, a odbitki przesłano wszystkim placówkom milicji.

Jednocześnie z polecenia majora kilku wywiadowców odwiedziło mieszkańców domu, przed którym stała syrena, i obu gmachów sąsiednich, dopytując, czy w krytycznym dniu ktoś nie zauważył takiego wozu parkującego przy ulicy Złotej. Ten ślad okazał się równie ważny. Kilka osób przypomniało sobie, że jakiś wóz znajdował się wówczas przed ich domem. Inni zapamiętali nawet taki szczegół, że była to syrena, chociaż prowadzący te badania ani słowem nie wspominali ani o marce samochodu, ani o jego kolorze, aby nie sugerować tych danych swoim rozmówcom.

Prawdziwym skarbem okazał się tu pewien dwunastoletni chłopiec, Wojtek Wawer. Jego zeznania były tak interesujące, że wywiadowca po prostu wsadził chłopaka do samochodu i przywiózł do majora Pałkowskiego.

Młodzieńca, ucznia pobliskiej szkoły mieszczącej się przy rogu Siennej, bynajmniej nie speszyła niespodziewana wizyta w gmachu urzędu. Grzecznie uklonił się majorowi, podając rękę wymienił swoje nazwisko i usiadł na wskazanym, mu krześle. Na stawiane pytania odpowiadał śmiało i z rozwagą.

- Nazywam się Wojciech Wawer - powiedział - mój ojciec pracuje u „Kasprzaka”. Niedawno otrzymaliśmy mieszkanie na Złotej. Przedtem gnieździliśmy

się w starej ruderze przy Skierniewickiej. Kiedy skończę szkołę, pójdę na politechnikę. Na budowę maszyn. A jeżeli nie, to do samochodówki.

Oficer nie przerywał chłopcu. Niech się wygada.

- Ja, panie majorze, każdą markę, każdy typ samochodu potrafię odróżnić nawet z daleka. Raz założyłem się z Fabisiakiem, to mój najlepszy kolega, o tabliczkę czekolady. Przez godzinę stałem na rogu Marszałkowskiej i wszystkie jadące wozy klasyfikowałem nie tylko według marek, ale i według typów. Musiał kupić. W domu mam rozmaite katalogi samochodowe. Piszę za granicę i przysyłają mi. Nawet Ford i Cadillac też przysłali. Chce pan zobaczyć?

- Może innym razem. Teraz interesuje mnie ten samochód, który stał przed waszym domem w ubiegły wtorek o godzinie dwunastej. Pamiętasz go?

- Doskonale.

- Opowiedz, jak to było.

- Umówiłem się z Fabisiakiem i jeszcze dwoma chłopakami, że pójdziemy nad Wisłę. Mieli przyjść do mnie o jedenastej. Więc wyszedłem przed bramę i stoję. Słońko grzeje, pogoda ładna, a chłopaki nie przychodzą. Nawet Fabisiak. Dopiero później wyjaśnił, że matka kazała mu iść do sklepu i jeszcze obrać kartofle.

Major kiwał głową, że rozumie sytuację.

- Stoję więc w bramie i stoję. Widzę, że przed nasz dom zajeżdża syrena. Kombinuję do kogo. U nas kilku sąsiadów ma wozy, ale to nie był żadnego z nich.

- Z samochodu wysiadło dwóch panów, lecz nie weszli do naszej bramy, a poszli dalej, w stronę ulicy Żelaznej. Wcale bym się nie interesował tym wozem, bo zwykła syrena i stara. Nic ciekawego. Ale że chłopaków nie było, stałem przed domem i gapiłem się na wóz. Od razu poznałem, że miał kraksę. Musiał otrzeć się o inny wóz albo o coś podobnego. Zgiął wtedy zderzak. Błotnik też poszedł. Latarnię również musieli zmienić.

- Skąd wiesz?

- Przecież widać było, że latarnia zmieniona. Ta z prawej strony starsza, bo oprawka niklowa mniej świeciła w słońcu. Zdążyła z wiekiem zmatowieć. Natomiast ta druga jak świeżo wypolerowana.

- No tak - przyznał major - niewątpliwie latarnię zmieniali.

- A po kraksie oddali wóz do jakiegoś partacza. Zderzak tak źle wyprostował, że od razu widać, w którym miejscu był zgięty. To nie robota. Błotnik wyklepali, ale aby zbyć. Pewnie właściciel warsztatu dał tę robotę jakiemuś uczniowi, później nie

sprawdził i nie poprawił po nim. Zostały małe wklęsnięcia. Lakier ich nie wyrównał. Jak się uważnie spojrzy, widać gdzie reperowali.

Oficer pilnie notował spostrzeżenia małego znawcy.

- Lakierowali albo sami, albo też dali do złego fachowca. Zwykły kawowy kolor. Lakier krajowy. Warsztat nie umiał dobrać koloru, tak że między starym malunkiem a partacką robotą została wyraźna ciemna smuga. Jak zaciek na suficie. I to jest lakierowanie?

- A jak myślisz, dawno zdarzyła się ta kraksa?

- Nie. Nie dalej, jak rok temu. A może i mniej? W przeciwnym razie ta latarnia nie różniłaby się tak od drugiej. A i smuga na lakierze była dość świeża. Z czasem, kiedy wszystko się przybrudzi i nieco szernieje, nie będzie tak się odznaczać.

- Poza tym co jeszcze zauważyłeś?

- Właściciel tego wozu, to taki „niedzielny kierowca”. Ma samochód już parę lat i na niczym się nie zna. Kiedy później odjechali, na jezdni zostało kilka kropel, kilka tłustych plamek, a stali nie dłużej niż dwadzieścia minut. Wozu nie czyścił chyba ze dwa miesiące i pasty wcale nie używa. Na karoserii palcem można pisać.

- Czy nie przesadzasz? Gdyby samochód był taki zakurzony czy zabłocony, to nie zauważyłbyś tego sknoconego lakierowania.

- Z przodu wóz zawsze jest czystszy - bronił się chłopiec - za to z tyłu rozpacz brała patrzeć. Klamkę z prawej. strony miał urwaną. Pewnie zgubił, bo gdyby urwał, to i drzwi musiałby zarysować.

- Urwana klamka, to ciekawe.

- Ech, nie! To często się zdarza. W środku są dwie śrubki. Kiedy jedna puści, klamka zaczyna się kiwać. - Chłopiec przypuszczał, że oficerowi nie chodzi o znaki szczególne samochodu, lecz o fakt powstania uszkodzenia. - Jeżeli nie naprawi się tego w porę, w krótkim czasie puszcza i ta śrubka. Wtedy klamka wylatuje.

- To jak otwiera się drzwi?

- Od wewnątrz - chłopiec wyjaśniał z całą powagą, nie zdając sobie sprawy, że zadawane mu pytania mają na celu odświeżenie jego pamięci i ustalenie możliwie jak największej ilości cech wyróżniających wóz, którym odjechała Elżbieta Wojciechowska. Wyjaśniał więc te wszystkie sprawy majorowi, tak jak wyjaśnia się kompletnemu laikowi. Oficer świadomie nie wyprowadzał go z błędu.

Kiedy wrócili do wozu, to również kierowca otworzył najpierw drzwi z lewej

strony, zwolnił bezpiecznik, taki czarny guziczek przy szybie. Jeżeli jest naciśnięty, wtedy drzwi w ogóle nie można otworzyć. Po zwolnieniu bezpiecznika kierowca otworzył drzwi wewnętrzną klamką. Dopiero wtedy tamtych dwoje wsiadło.

- Pamiętasz, kto wsiadał?

- Jakaś kobieta i mężczyzna. Ona pchała się pierwsza, tak że ten drugi pan musiał się przeciskać, aby dostać się na tylne siedzenie.

- A jak wyglądali? Jak byli ubrani?

- Nie przyglądałem się. Ludzie mnie nie interesują.

- Poznałbyś ich z fotografii? - major pokazał zdjęcie Elżbiety Wojciechowskiej i portreciki dwóch tajemniczych dżentelmenów.

Chłopiec rzucił okiem na położone przed nim zdjęcia.

- Nie przypominam sobie. Ludzie mnie nie interesują, tylko wozy - powtórzył uparcie.

### **„Trzeba umrzeć, aby żyć”**

Jeden z podkomendnych majora Pałkowskiego, porucznik Lewandowski, nie krył swojego zdziwienia otrzymawszy od szefa rozkaz:

- Przystudiujcie, poruczniku, spisy cudzoziemców, którzy w 1963 roku otrzymali polską wizę wjazdową i przyjechali do nas. Obchodzą mnie tylko te przypadki, kiedy zagraniczny gość przekroczył granicę państwową i nie wyjechał z Polski.

- Otrzymał przedłużenie pobytu w naszym kraju? - Ewentualnie, ale przede wszystkim wszelkie zgony.

- To ogromna robota, panie majorze. Co roku przybywa do Polski ponad osiemset tysięcy osób. Przejrzenie list, sprawdzenie kto wyjechał, a kto nie, potrwa parę tygodni. Może bym otrzymał jeszcze paru ludzi do pomocy? Choćby żołnierzy odbywających czynną służbę? Takich po maturze. W każdej jednostce wojskowej, w kancelarii, pęta się takich sporo.

- Nie trzeba. Powinny wam wystarczyć trzy dni. Przecież tylko rzucacie okiem na arkusz papieru i sprawdzacie rubrykę „wyjechał”. A zgony odnotowujecie. Zgony są bardzo rzadkie. Na ogół ludzie chorzy nie opuszczają swojej ojczyzny. Dodam jeszcze, że bardziej obchodzą mnie kobiety niż mężczyźni, chociaż kto wie? Może właśnie ten ktoś, kim się interesuję, przyjechał do Polski w męskim przebraniu.



To byłyby bardzo oryginalne zagranie.

Czy mogę wiedzieć, panie majorze, w jakim celu otrzymuję to zadanie?

Przyszło mi na myśl, poruczniku, że jeżeli zmarły zmartwychwstaje, żywy musi umrzeć. Jeżeli chcecie, możecie swoje zajęcie określić kryptonimem „trzeba umrzeć, aby żyć.”

Trzeba umrzeć, aby żyć - powtórzył porucznik - ależ to paradoks!

- W naszej pracy spotykamy się nieraz z większymi paradoksami. No, do roboty, poruczniku. Za trzy dni chciałbym mieć gotową listę wszystkich zgonów i wypadków.

Jednakże dopiero piątego dnia porucznik mógł się zameldować u szefa. Praca nie była tak ciężka, jak zdawało się młodemu oficerowi, lecz zabrała więcej czasu, niż to przypuszczał jego szef. Lista sporządzona przez porucznika zawierała kilkaset nazwisk. W rubryce zgonów najczęściej figurowała krótka notatka „wypadek samochodowy”. Cudzoziemcy zmyleni małym ruchem na polskich szosach, rozwijali najczęściej zbyt wielką szybkość. Kończyło się to czasem tragicznie.

Major uważnie studiował podane mu arkusze papieru.

- Świetnie - pochwalił swojego współpracownika - mamy już punkt wyjścia. Teraz sprawdzicie kolejno te wszystkie zgony. Trzeba zapytać poszczególne prokuratury, czy zmarły był z rodziną, czy ciało zostało tak uszkodzone, że nie można było zidentyfikować twarzy, i czy pogrzeb odbył się w Polsce. Interesują mnie jedynie takie wypadki, kiedy denat nie miał ze sobą bliższej rodziny, zwłaszcza dzieci, i kiedy identyfikacja zwłok była utrudniona. Pogrzeb raczej w Polsce, chociaż to nie jest nieodzownym warunkiem. Powiem wam więcej, przypuszczam, że wypadek, o który mi chodzi, zdarzył się w listopadzie 1963 roku. A jeszcze ściślej: między 14 listopada a 29 tego miesiąca.

Po powrocie do swojego pokoju, podporucznik sporządził kwestionariusz z rubrykami uwzględniającymi pytania majora, a następnie przesłał go wszystkim prokuraturom powiatowym, na których terenie nastąpiły zgony cudzoziemców. W każdym bowiem wypadku miejscowa prokuratura prowadziła dochodzenie dla wyjaśnienia przyczyn zgonu. Zwłaszcza, jeżeli cudzoziemiec zmarł wskutek katastrofy samochodowej. Wielkie miasta dostały tych kwestionariuszy sporo. Warszawa i Kraków, główne punkty tradycyjnej marszruty obcokrajowców w naszym państwie, oczywiście najwięcej.

Wiele gromów musiało spaść na głowę Bogu ducha winnego porucznika.

„Jeszcze jedna ankieta” - klęli pracownicy prokuratur, grzebiąc się w archiwach akt podręcznych. Każdy z nich, oderwany od swojej bieżącej roboty, uważał kwestionariusz, który trzeba było pracowicie wypełniać, za typowy objaw rozrastającej się biurokracji.

„Na co to komu potrzebne?” - dziwili się ci naprawdę bardzo zajęci ludzie. A na kwestionariuszach widniał duży stempel „ściśle tajne” i adnotacja: „zwrócić następnego dnia po otrzymaniu”. Nic dziwnego, że ten papierek zepsuł humor wielu ludziom.

Niemniej, dziwaczne na pozór żądanie, wykonane zostało w terminie. Znowu porucznik zgłosił się do szefa z pytaniem, co dalej?

Major Pałkowski uważnie przejrzał otrzymany meldunek.

- Zbadamy bliżej wypadek obywatelki szwajcarskiej Monique Leclerc - zdecydował. - Data najbardziej pasuje do naszej koncepcji. Dwudziesty dziewiąty listopada 1963 roku. Miejscem wypadku była szosa łącząca Wrocław z punktem granicznym w Kudowie. To także potwierdza przypuszczenia. Pochowana na najbliższym cmentarzu. Nikt z rodziny nie przyjechał na pogrzeb... Zajmijcie się tą sprawą, poruczniku. Chcę wiedzieć, kim była Monique Leclerc. Kiedy i po co przyjechała do Polski. Co tu robiła, gdzie mieszkała i w jaki sposób zginęła. Trzeba odnaleźć jakieś próbki jej pisma. Może pozostały po niej dokumenty? Co się stało z jej paszportem? W razie czego jedźcie do Wrocławia i na miejsce katastrofy. Jeżeli trzeba, zażądajmy ekshumacji zwłok, chociaż wątpię, żeby doszło do takiej ostateczności.

Znowu upłynęły dwa dni.

Gdy trzeciego porucznik Lewandowski wszedł do gabinetu majora, ten musiał przyznać, że jego współpracownik wykazał dużą pracowitość i operatywność. Zaledwie w ciągu tygodnia odwalić taki kawał roboty, to nie żarty.

A oto historia nieszczęśliwej Monique Leclerc. Młody oficer tak relacjonował:

Szwajcarka, zamieszkała w Genewie. Profesor muzykolog Monique Leclerc poprosiła o polską wizę wjazdową gdzieś w połowie września. Powód zrozumiała - „Warszawska Jesień” pasjonuje kompozytorów i amatorów współczesnej muzyki. Pani profesor chciała być obecna na tej imprezie.

- Ustaliliście w kołach muzycznych, czy znają tam nazwisko Monique Leclerc?

- Nie pytałem. Nie uważałem tego za konieczne, bo Szwajcarka nie przyjechała na „Warszawską Jesień”.

- Nie zjawiła się? Dlaczego?

- Nie wiem. Granicę państwową przekroczyła dopiero w listopadzie. A mówiąc ściślej - 19 listopada 1963 roku. Przyjechała samochodem przez Włochy, Jugosławię, Węgry i Czechosłowację.

- Piękna wycieczka. Ale dlaczego jechała naokoło, najdłuższą drogą?

- Co dziwniejsze, opierając się na adnotacjach granicznych, Monique Leclerc przebyła tę trasę prawie bez zatrzymania. Jugosławia zaledwie jeden dzień, Węgry wjazd i wyjazd tego samego dnia, Czechosłowacja jeden dzień. Punkt graniczny włosko-jugosłowiański Monique przekroczyła 16 listopada 1963 roku. A już 20 listopada zameldowała się w Warszawie, w „Grand Hotelu”, gdzie czekał zarezerwowany dla niej apartament.

- Kto rezerwował?

- Jakieś szwajcarskie biuro podróży. Rezerwo wali od 19 listopada, zaznaczając, żeby trzymać apartament aż do przyjazdu ich klientki, która zapłaci za cały czas rezerwacji bez względu na termin zjawienia się.

- Bogata kobieta. Przyjechała samochodem?

- Tak jest.

- Jakiej marki?

- Renault.

- Najnowszy wówczas model?

- Nie, z tego co ustaliłem, był to już dość zużyty wóz.

Major uśmiechnął się.

- Ciekawe. Bogata kobieta odbywa wielki rajd przez pół Europy. Gna jak wariatka, nigdzie się nie zatrzymując, rezerwuje apartament w najelegantszym hotelu, a jednocześnie ma stary samochód. Czyżby przysłowiowa niemiecka oszczędność i niechęć do wydawania zbyt dużo pieniędzy na rzecz, która i tak padnie pastwą ognia?

Porucznik bardzo się zdziwił.

- Pan major zna tę sprawę?

- Nie.

- Ale pan major wiedział, że samochód rzeczywiście spłonął całkowicie?

- Nie wiedziałem, ale tego bardzo łatwo się domyślić. Słucham was nadal, poruczniku. Co działo się z Monique po przyjeździe do Polski? Jak jej

zainteresowania muzyczne?

- Takich nie stwierdziłem. Sądząc z tego, co ustaliłem, Szwajcarka znacznie więcej interesowała się naszymi lokalami gastronomicznymi niż muzycznymi. Jak również mężczyznami.

- Co robiła?

- Szybko zawarła rozmaite znajomości. Była to kobieta w wieku ponad czterdziestkę, ale jeszcze przystojna i elegancka, a przede wszystkim majątna i nie licząca się z pieniędzmi. Szybko więc zawarła odpowiednie znajomości nawet w hollu „Grand Hotelu”, nie mówiąc o przyległej kawiarni czy osławionym barku kawowym naprzeciwko.

- No tak, różnych żigolaków tam nie brakuje.

- Już na drugi dzień po przyjeździe Monique Leclerc otoczona była całym rojem mężczyzn i kobiet. Zwiedzała Warszawę i to właśnie od strony życia nocnego i gastronomii. Była hojna. Płaciła za całe towarzystwo. A piła jak smok. Portierzy hotelowi pamiętają do dziś dnia, że zabawy kończyły się późno w nocy, zaś Monique wracała do swojego apartamentu zawsze przy pomocy windziarza. Inaczej nie doszłaby i nie trafiła kluczem do dziurki w zamku.

- Wesoła babka.

- Właśnie - potwierdził Lewandowski. - Te zabawy trwały jednak zaledwie parę dni. Raptem Szwajcarka opuściła Warszawę i przeniosła się do Wrocławia, do tamtejszego „Monopolu”. We Wrocławiu mieszkała znowu cztery dni. Znowu dzień w dzień zabawa aż do zamknięcia ostatnich lokali. Dwudziestego ósmego listopada Szwajcarka oznajmiła swoim przyjaciółom, że nazajutrz rano opuszcza Polskę. Zabawa pożegnalna trwała przez całą noc, Monique zapłaciła majątek za rachunki w miejscowych knajpach. Do hotelu wróciła

Otrzeciej nad ranem kompletnie pijaniuteńka. A już w dwie godziny później uregulowała rachunek i swoim renault opuściła miasto. Prokuratura powiatowa dla powiatu wrocławskiego przeprowadziła w tej sprawie bardzo dokładne dochodzenie. Portier i funkcjonariusz hotelu, którzy żegnali Szwajcarce i wynosili jej rzeczy do auta, zeznali zgodnie, że Monique była wyraźnie pod wpływem alkoholu. Portier odradzał jej wyjazd, proponując odpoczynek i podróż dopiero za parę godzin, ponieważ była mgła i bardzo śliska szosa.

- Mimo to pojechała?

- Jeszcze brawurowała, że i w taką pogodę potrafi jechać co najmniej setką.

Niedaleko jednak ujechała, bo zaledwie kilkanaście kilometrów za Wrocław. W pewnym miejscu szosa idzie tam dość wysokim nasypem

I zakręca. Nic groźnego w normalnych warunkach, ale przy mgle, mokrym asfalcie i pijanym kierowcy tak to musiało się skończyć. Wóz zarzucił na szosie, wyłamał dwa słupki i przekoziółkował z nasypu w dół i w czasie katastrofy zapalił się. Monique widocznie straciła przytomność lub nie umiała wydobyć się z wnętrza samochodu, dość że spłonęła razem z autem. Dopiero po dwóch godzinach przejeżdżał tamtędy jakiś samochód ciężarowy. Kierowca znalazł dopalające się szczątki. On pierwszy zawiadomił władze o wypadku i on też znalazł torebkę Monique.

- Torebkę? Jakim sposobem?

- Widocznie szyby w samochodzie były otwarte i torebka wypadła wtedy, gdy wóz koziółkował. A upadła na szczęście dość daleko od ognia, dzięki czemu zdołano zidentyfikować zwłoki i samochód. Auto spłonęło doszczętnie. Za kierownicą znaleziono zwęglone ciało kobiece.

- No tak - stwierdził major - wszystko się zgadza. Co było dalej?;

- W torebce znajdowały się dokumenty Monique Leclerc, jej drobiazgi osobiste i pokaźna suma dolarów. Trochę złotych. To, czego nie zdążyła wydać we Wrocławiu.

- Dolarzy a nie franki szwajcarskie?

- Cudzoziemcy, nawet z krajów o „twardej walucie”, wolą zabierać w podróż do Polski dolary. Łatwiej je wymienić, a przede wszystkim - uśmiechnął się porucznik - sprzedać na czarnej giełdzie. Pani Monique Leclerc deklарowała na granicy przeszło dwa tysiące dolarów. Część tej kwoty znaleziono w jej torebce.

- A dalsza historia?

- Wrocław natychmiast zawiadomił ambasadę. Na miejsce przyjechał przedstawiciel ambasady czy też konsulatu szwajcarskiego. Nadano również depezę do Genewy na adres, jaki figurował w paszporcie Monique Leclerc. Do polskich władz i do przedstawicielstwa szwajcarskiego nadeszły dwie identyczne odpowiedzi. Proszono o zajęcie się pogrzebem i pokrycie wydatków z nim związanych z pieniędzy zmarłej. Na pogrzeb nikt z rodziny nie przyjechał. Był tylko przedstawiciel konsulatu. Biedną kobietę pochowano na najbliższym wiejskim cmentarzu. Resztę pieniędzy i drobiazgi osobiste przekazano konsulатовi szwajcarskiemu. Przypuszczam, że odesłano je rodzinie.

Czy macie jakieś próbki pisma Monique Leclerc? Choćby meldunki hotelowe?

Nie brałem. Mam coś lepszego. Paszport zagraniczny Monique Leclerc.

- Jakim cudem?

- Zwykle niedopatrzenie. Kiedy prokuratura we Wrocławiu prowadziła dochodzenie w sprawie katastrofy, zatrzymała ten paszport, bo chodziło przecież o urzędowe stwierdzenie powodów śmierci obywatela obcego państwa. Mógł to być nie wypadek, lecz na przykład napad bandycki połączony z zamordowaniem kobiety i podpaleniem wozu. Sprawa wyjaśniła się stosunkowo szybko, ale paszport potrzebny był prokuraturze przez kilka czy kilkanaście dni. Inne drobiazgi i pieniądze od razu oddano wysłannikowi konsulatu. Natomiast paszport miano odesłać po zamknięciu dochodzenia.

- Nie odesłano?

- Nie odesłano. Władze szwajcarskie nigdy się o to nie upominały, a nawet nie zażądały oficjanego świadectwa zgonu. Widocznie nikt z rodziny nie interesował się zbytnio nieszczęśliwą kobietą. Dołączony do akt sprawy paszport powędrował do archiwum i spokojnie przeleżał aż do dnia, kiedy odnalazłem go we Wrocławiu i zabrałem ze sobą. Proszę, oto on.

To mówiąc porucznik Lewandowski położył na stole małą książeczkę w twardej oprawie. Major wyciągnął po nią rękę i zaczął studiować zagraniczny dokument.

Z nieco wyblakłej fotografii spojrzały na niego oczy Elżbiety Wojciechowskiej. Na tym zdjęciu była starsza i miała twarz bardziej zniszczoną niż na portreciku stojącym na biurku jej męża. Nie ulegało jednak wątpliwości że to ta sama osoba..

Major otworzył biurko i wyjął portret Elżbiety, ten sam, który zabrał z mieszkania przy ulicy Złotej

w Warszawie.

- Przyjrzyjcie się tym dwom zdjęciom, poruczniku.

Lewandowski uważnie obejrzał fotografie.

- To była piękna kobieta za młodu. Chociaż jeszcze tutaj, na tym drugim zdjęciu w paszporcie widać, że mimo swoich czterdziestu dziewięciu lat zachowała dużo z dawnej urody. A ten portrecik, to chyba zdjęcie Monique sprzed co najmniej lat dwudziestu, prawda? Dla takiej babki można było stracić i głowę, i serce, i portfel.

- A czasem nawet coś jeszcze cenniejszego - dodał major.

- Pan major ma na myśli...?

- Honor, wolność lub życie.

- Rozumiem. Ona była agentem wywiadu.

- Dlatego tak interesujemy się jej osobą.

- Czy będziemy przeprowadzali ekshumację? Widziałem w aktach sprawy zdjęcia zarówno auta, jak Monique. Bezkształtna, zwęglona bryłka. Tylko to zostało z tej kobiety, która dwadzieścia lat temu była piękna, a przed trzema, dobiegając pięćdziesiątki, dużo zachowała ze swojej dawnej urody. Widać to na tym zdjęciu w dowodzie.

- Mylicie się, poruczniku. Ona jest agentem wywiadu - zaakcentował major. - Zdjęcie portretowe jest zrobione prawie dwa lata później niż to w paszporcie.

- Niemożliwe! - zdumienie odmalowało się w oczach Lewandowskiego. - Niemożliwe - powtórzył. - Przecież ona wtedy już nie żyła.

- Mówiłem wam, poruczniku, że trzeba umrzeć, aby żyć. Uznaliście to za paradoks. A teraz sami widzicie: umarła, zginęła w katastrofie samochodowej starsza, zniszczona już życiem kobieta, zmartwychwstała młoda dziewczyna. I to taka, jak zauważyliście, dla której mężczyzna gotów stracić wszystko. Znam jednego z nich. Stracił rzeczywiście bardzo dużo.

Porucznik milczał. Słowa majora były dla niego zaskakujące. W swojej praktyce nie zetknął się z podobną historią.

- Oddajcie ten paszport do zbadania. Ciekaw jestem czy cały fałszywy, czy też tylko sprano poprzednie zapisy. To zresztą nie ma dla nas wielkiego znaczenia, ale nie zaszkodzi sprawdzić, jakimi metodami pracują nasi przyjaciele.

Po wyjściu porucznika major zadzwonił do pułkownika Jareckiego.

- Ustaliłem już, jak się nazywała nasza Ela, zanim wcieliła się w zmarłą Elżbietę Kaczmarek. Monique Leclerc. Ładne nazwisko, prawda? Rzekoma obywatelka szwajcarska. To było robione sprytniej niż pierwotnie przypuszczaliśmy. Przyjechała do Polski w listopadzie 1963 roku, w parę dni po śmierci tej biednej dziewczyny w Zakopanem. A po tygodniu upozorowano katastrofę samochodową pod Wrocławiem. Spłonęła razem ze swoim wozem.

- Kiedy? - zapytał pułkownik.

- 29 listopada 1963 roku. Tego samego dnia była już w Radomiu jako Elżbieta Kaczmarek.

- A kiedy wyjechała ze Szwajcarii?

- Tego nie można było ustalić. Sądząc po wizach, stemplach granicznych i z tempa, w jakim śpieszyła do Polski, musiała wyjechać ze Szwajcarii 15 listopada, a zatem natychmiast po otrzymaniu wiadomości o zgonie Elżbiety Kaczmarek. Między Szwajcarią a Włochami nie obowiązują ani paszporty zagraniczne, ani wizy. Nie da się więc ustalić, kiedy opuściła Genewę. Ponieważ w paszporcie, nie ulega wątpliwości że artystycznie sfalszowanym, jako miejsce zamieszkania figuruje Genewa, nasza piękna agentka zaczęła podróż na pewno z tego miasta. Przejazd przez Włochy zajął jej jeden dzień, bo już następnego przekroczyła granicę jugosłowiańską. Później w dwa dni przelatuje przez Węgry i Czechosłowację. Tak się do nas śpieszyła.

- Dlaczego tak okreżną drogą?

- Przypuszczam, że właśnie ze względu na fałszywy paszport. Wołała nie pokazywać go Szwajcarom. Natomiast na punkcie granicznym włosko-jugosłowiańskim już nie mogli dopatrzeć się w tym dokumencie takich nieścisłości, jakie byłyby oczywiste dla szwajcarskiej kontroli granicznej przy przejeździe do Austrii czy Niemieckiej Republiki Federalnej.

- Niemiecka Republika Federalna była w tej podróży raczej wykluczona, żeby nie budzić najmniejszych nawet podejrzeń.

- Dlatego też wybrano najdłuższą, ale stosunkowo najpewniejszą trasę.

- A więc zrobiliśmy nowy krok naprzód - zauważył pułkownik. - Wiemy już że Elżbieta Wojciechowska jest Moniką Leclerc. Tym gorzej dla Adama. Strasznie się chłop zamartwia, codziennie mnie bombarduje telefonami. Już nie wiem, co mam mu odpowiadać.

- Monique Leclerc - to też nazwisko fałszywe. Ciekawe, ile jeszcze twarzy pokaże nam ta pani? A co do Wojciechowskiego, niech go pułkownik jakoś splewia. Im później dowie się prawdy, tym lepiej dla niego.

- Może pan ma rację. Trudno, będę go nadal oszukiwać, najlepiej jak tylko potrafię. Chociaż przyznaję, nieraz mam ochotę przeciąć ten węzeł po męsku, kto wie, czy taka operacja, choć bolesna, nie byłaby dla niego najlepsza.

- Sam pułkownik jeszcze bardzo niedawno był innego zdania.

- Przyznaję. Ale już sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć i co robić. Przecież, proszę to wziąć pod uwagę, Wojciechowski jest moim kolegą szkolnym i bodaj najlepszym przyjacielem. Znalazłem się w trudnej sytuacji.



- Jak pan widzi, pułkowniku, robimy może nie wielkie, ale stałe postępy. Pilnujemy granicy, że myśz się nie prześliznie. Wierzę, że przyjdzie niedługo czas, kiedy będziemy mieli szpiegów w swoim ręku. Wtedy i Wojciechowski dowie się całej prawdy o swojej ślicznej żoneczce. A do tego czasu niechaj się ludzi lub nawet niepokoi. Na to nie ma rady.

- Ciągle chodzi mi po głowie myśl o tej obrączce.

- Dlaczego ona ją zabrała?

- Obrączka może nam się przydać. Dowiedziałem się od Wojciechowskiego, że na wewnętrznej stronie złotego kółka były wygrawerowane litery „A.W.” i data „5. II. 1965 r.” Uzupełniłem list gończy tymi informacjami. W razie jakiegokolwiek podejrzenia funkcjonariusz milicji czy też WOP może kazać zatrzymanej zdjęć obrączkę i zajrzeć do wnętrza. Nie ulega wątpliwości, że piękna pani gruntownie zmieni swój wygląd, zanim podejmie próbę przekroczenia granicy. Mam błogą nadzieję, że zapomni zdjęć obrączkę, jeśli jej nie zdjęła opuszczając mieszkanie na Złotej.

- Ja jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ona umyślnie zabrała tę obrączkę.

### **Willa na Radiowej**

W tym czasie, kiedy porucznik Lewandowski zagłębiał się w skomplikowane dzieje śmierci Monique Leclerc i zmartwychwstania Elżbiety Kaczmarek, nie ustawały poszukiwania samochodu syrena koloru kawy z mlekiem. Według spostrzeżeń młodocianego znawcy automobilizmu, Wojtka Wawra, wóz miał urwaną klamkę i przeszedł niedawno poważniejszą krakę, wskutek czego zmieniono latarnię i zalakierowano wgnieciony błotnik.

Tego koloru syren jest w Warszawie ładnych kilka tysięcy. Można oczywiście sprawdzać każdą kolejno, ale i to nie dałoby zbyt pewnych rezultatów. Takie uszkodzenia zdarzają się naszym kierowcom bardzo często, a już szczególnie tej specyficznej kategorii „kierowców niedzielnych” - właścicieli aut, którzy korzystają ze swoich wozów stosunkowo rzadko, a więc praktycznie biorąc nigdy nie nauczą się poprawnie je prowadzić.

Wobec tego major Pałkowski postanowił najpierw spróbować szczęścia w warsztatach naprawczych. Może pracownicy któregoś z nich zapamiętali nie tyle syrenę, bo te przechodzą przez ich ręce masami, co sylwetkę i wygląd właściciela wozu. Była to łatwiejsza metoda śledztwa, ponieważ warsztatów jest znacznie mniej niż wozów tej marki.

Jednakże ten system pracy śledczej nie uwieńczył dzieła. Nie udało się odnaleźć warsztatu, w którym właściciel syreny, odpowiadający wskazanemu rysopisowi, naprawiał swój wóz. Jedyne pracownicy stacji obsługi przy ulicy Nowogrodzkiej przypomnieli sobie, że ktoś podobny do mężczyzny na okazanym im zdjęciu prosił o naprawienie klamki. Naprawę wykonano odręcznie. Przy okazji wymyto wóz i zatankowano mieszankę. Wszystko razem nie trwało nawet kwadransa. Nikt specjalnie nie przyglądał się ani numerowi rejestracyjnemu wozu, ani jego posiadaczowi. Gdy wykonano małe zabieg, samochód natychmiast odjechał.

- Trzeba jednak przejrzeć wszystkie warszawskie syreny tego koloru - zdecydował major na naradzie ze swoimi współpracownikami.

- To od razu wystraszy naszego faceta - zaproponował jeden z oficerów - natychmiast domyśli się, że mamy opis jego samochodu i że poszukiwania Elżbiety Wojciechowskiej prowadzone są nadal.

- A więc? Co proponujecie? - zapytał major.

- Myślę, żeby posłużyć się panią Ruciakową. Widziała obu facetów i na pewno ich rozpozna.

- Nie chodzi o zidentyfikowanie towarzyszy Wojciechowskiej, lecz o ich odnalezienie. To jest znacznie trudniejsze.

- Warszawa ma parę punktów, które jej mieszkańcom trudno ominąć. Tutaj najczęściej spotykają się przypadkowo ludzie nie widujący się latami. Takim punktem jest skrzyżowanie Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi lub Marszałkowska. Proponowałbym na jednym z rogów umieścić panią Ruciakową. Będą jej dyskretnie towarzyszyli nasi ludzie i w razie czego pójda śladem wskazanej osoby.

- Pomysł może i niezły, ale nie mamy nieograniczonego czasu. Musimy znaleźć Elżbietę możliwie szybko. W przeciwnym razie całej trójce uda się wymknąć za granicę. A takie czatowanie na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, może trwać tygodniami, jeżeli nie miesiącami.

- Trzeba sprawdzać samochody - zauważył inny oficer. - A żeby nie spłoszyć

naszych ptaszków, można to robić pod pozorem kontroli technicznej pojazdu lub sprawdzania ubezpieczenia. Względnie nasi ludzie mogą udawać agentów, namawiających właścicieli na ubezpieczenie „auto-casco”.

- Ja bym się nie wyrzekał i pomocy Ruciakowej. Może nie w takiej formie, jak to proponował kapitan, bo zabierze to sporo czasu, lecz niech nasza wdowa pokręci się w swojej dzielnicy. Wspominała przecież, że jeden z tych typów mieszka na Mokotowie, a więc w pobliżu niej. Na pewno szpieg gdzieś pracuje, choćby dla lepszego kamuflażu i w określonych godzinach jeździ do pracy i z niej powraca do domu. Kręcąc się po Mokotowie, Ruciakową prędzej natknie się na tego typu, niż stojąc w samym centrum Marszałkowskiej.

- Jestem zdania - rzekł major - że trzeba spróbować wszystkich sposobów. Zwrócimy uwagę milicji, aby obserwowała syreny kawowego koloru i w razie dostrzeżenia auta budzącego podejrzenia notowała jego numer bądź nawet zapisywała personalia właściciela. Te ślady będziemy następnie szczegółowo badali. Pomysł z agentami ubezpieczenia też niezły. Wyślemy ludzi na miasto, niech odwiedzają właścicieli syren. Panią Ruciakową poprosimy, by nam dopomogła w odnalezieniu tajemniczych nieznajomych. Wydaje mi się, że ta kobieta szczerze zaprzyjaźniła się z Elżbietą Wojciechowską. Musi wiedzieć o zaginięciu dziewczyny. Nie wtajemniczając przeto Ruciakowej w podwójne życie młodej mężatki, trzeba wdowie zasugerować, że odnalezienie mężczyzn odwiedzających Elżbietę jest jedynym sposobem odszukania zaginionej. Emerytka ma wiele czasu. Niech spaceruje po Mokotowie. Nic nie ryzykujemy.

Już na drugi dzień rozpoczęto regularne przeczesywanie miasta. Kierowcy i właściciele syren kawowego koloru dziwili się, że milicja drogowa tak często zatrzymuje ich wozy i ze szczególnym zainteresowaniem ogląda przód maski, zwłaszcza latarnie i zderzaki. Inni denerwowali się, że mając wszelkie ubezpieczenia w należyтым porządku, nachodzeni są nawet w domu przez natrętnych agentów proponujących im to, co już dawno załatwili. A pewna rencistka z Mokotowa cały swój czas spędzała na spacerach po ulicach swojej dzielnicy, przyglądając się zarówno pieszym, jak pasażerom tramwajów i autobusów.

Ta metoda, tak początkowo lekceważona przez majora Pałkowskiego, okazała się najskuteczniejsza. Warszawa wprawdzie niemałe miasto, bo liczy sobie ten milion trzysta tysięcy mieszkańców, ale zabudowane wzdłuż wyciągniętych nitek - głównych arterii, od których rozchodzą się wiązki ulic. A pani Ruciakową operowała

przede wszystkim na jednej z takich arterii, ulicy Puławskiej. I właśnie któregoś dnia po południu spostrzegła w autobusie „117” osobę, której szukała. Udało się jej, mimo dużego tłoku, wsiąść do tego wozu i dojechać nim aż do ulicy Wołoskiej, gdzie śledzony przez nią mężczyzna wysiadł przy rogu Raławickiej. Pani Ruciakową, bojąc się zwrócić na siebie jego uwagi, chcąc nie chcąc, pojechała dalej, by przesiąść się następnie w autobus idący w przeciwnym kierunku i zjawić się w gabinecie majora Pałkowskiego.

Oficer kontrwywiadu z zainteresowaniem wysłuchał opowiadania podnieconej swoim sukcesem kobiety. „Wprawdzie miał do niej trochę żalu, że nie wysiadła przy Raławickiej i nie poszła dalej za tajemniczym nieznajomym, lecz trudno było robić z tego powodu Ruciakowej jakieś wyrzuty, bo jak na „amatora” spisała się świetnie.

Emerytka kategorycznie twierdziła, że śledzony przez nią był niższym z tych dwóch odwiedzających swego czasu Elżbietę. A więc tym, który pamiętnego dnia prowadził Wojciechowską pod rękę, a potem usiadł przy kierownicy syreny. Właśnie o nim wdowa mówiła już w swoich pierwszych zeznaniach, że z pewnością mieszka gdzieś w pobliżu, na Mokotowie. Teraz ten punkt był z grubsza umiejscowiony.

Dom szpiega musiał znajdować się mniej więcej w promieniu kilometra od miejsca opuszczenia przez niego autobusu „117”. Miał aktówkę pod pachą. Jechał na Mokotów w godzinach, kiedy urzędnicy powracają ze swoich biur, a więc mieszka w pobliżu. W przeciwnym razie wsiadłby na innym przystanku, najbliższym położonym jego domu. Emerytka kategorycznie stwierdzała, że śledzony przez nią mężczyzna nie mógł jej zauważyć; trzymała się bowiem końca autobusu i stamtąd uważnie obserwowała, kto i kiedy wysiada.

Na ten wycinek miasta major postanowił posłać swoich najlepszych ludzi. Niech od rana wypatrują wśród mieszkańców tej części Mokotowa osobnika, z którego portretem mieli możliwość zapoznać się, i niech szukają syreny ze zgiętym zderzakiem, złym zalakierowaniem uszkodzonego błotnika i jedną latarnią nowszą od drugiej.

Ale nawet to zadanie nie było łatwe. W tym kącie Warszawy wybudowano wiele domów. Zarówno wielkich bloków spółdzielczych, jak całych kolonii domków jednorodzinnych. Wszędzie, zarówno w „punktowcach”, jak „osobniakach” mieszkało sporo właścicieli aut. Garaży było również dużo. Wiele małych domków miało na jednej posesji aż dwa pomieszczenia na samochody. Właściciel takiego domku dochodem uzyskiwanym z wynajmu garaży amortyzował własny dach nad

głową. Było więc w czym przebierać i gdzie szukać.

Antoni Deptuła upatrzył na teren swoich obserwacji ulicę Radiową. Jest to uliczka zabudowana samymi domkami spółdzielczymi. Przy każdym domu przynajmniej jeden garaż. Dużą zaletą tej ulicy jest to, że wychodzi na Wołoską akurat w pobliżu przystanku autobusowego, gdzie wysiadł poszukiwany mężczyzna. Ponadto, że jej druga strona kończy się zagrodzonymi terenami sportowymi. Każdy mieszkaniec Radiowej lub też wjeżdżający i wyjeżdżający z tej ulicy, musiał przedefilować przed Antonim Deptułą, który zaopatrzony w wybór różnych drobiazgów, udawał handlarza-domokrądcę i usadowił się na rogu Wołoskiej.

Żadna interesująca wywiadowcę syrena nie wjechała i nie wyjechała z ulicy Radiowej. Dopiero gdzieś około godziny czwartej po południu w ten zaułek skręcił mężczyzna, natychmiast przez Deptułę rozpoznany. To był nikt inny, jak tylko oryginał portretu i opisu ekspedientki. Ten sam wzrost, ta sama okrągła twarz i ciemne włosy. Nawet jasny prochowiec zgadzał się z podanym opisem.

Mężczyzna przeszedł nie zwracając żadnej uwagi na sprzedawcę grzebyków, lusterek i sznurowadeł i skierował się w głąb Radiowej. Agent nie mógł naturalnie pójść za nim, jedynie pilnie śledził kroki nieznanego. Ten przemaszerał przez całą długość uliczki i zniknął w jednym z ostatnich domów. W którym? Tego Deptuła nie mógł już zauważyć, lecz obiecywał sobie, że łatwo to sprawdzi.

Zwinął szybko cały swój majdan i pozostawił go w znajdującej się w pobliżu budce milicyjnej. Milicjant wprawdzie nieco się zdziwił, gdy uliczny handlarz wylegitymował mu się jako „kolega” i poprosił o zaopiekowanie się kolekcją grzebieni, lecz nie odmówił swojej pomocy. A Deptuła uwolniony od bagażu ruszył śladem poszukiwanego. Przeszedł całą Radiową i niczego, a właściwie nikogo nie znalazł. Ulica zabudowana była piętrowymi, dwurodzinnymi domkami. Jeden podobny do drugiego jak dwie krople wody. Do którego z tych „dwojaków” wszedł szpieg? Do trzeciego od końca? A może do czwartego? Jak tu poznać, kiedy nawet małe ogródki przed domkami były prawie jednakowe.

Każdy z „bliźniaków” miał garaż. Ale garaże były zamknięte. Jakie auta kryły się w ich wnętrzu? Wprawdzie Antoni Deptuła zaopatrzony był w zaświadczenie, że jest przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeń, ale doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że nie może nagle przedzierzgnąć się z ulicznego handlarza w agenta ubezpieczeniowego. Spłoszyłoby to tylko śledzonego, a do tego nie powinien dopuścić.

Toteż Antoni szedł wolno wzdłuż ulicy rozglądając się po numerach i odczytując na granatowych tabliczkach nazwiska właścicieli domków. Tak jak to robią ludzie, którzy w nieznanym sobie dzielnicy szukają jakiegoś adresu. To mu jednak nic nie dało. Doszedł aż do końca uliczki. Tutaj, za wąskim niezabudowanym pasem, zarośniętym trawą i chwastami, ciągnęła się wysoka siatka. Za nią widać było sterty desek, kamieni, jakieś uszkodzone prefabrykaty i drewniane, prowizoryczne zabudowania. Nie trzeba było nawet sprawdzać, że jest to jakaś z licznych baz budowlanych któregoś z przedsiębiorstw. Nieco dalej widniały zabudowania stadionu WKS „Gwardia”.

Po rozejrzeniu się i krótkim namyśle Deptuła skręcił w lewo i poszedł wzdłuż siatki bazy budowlanej. W ten sposób okrążył ostatni z domków spółdzielni i znalazł się na jego tyłach. Okazało się, że każdy z „bliźniaków” ma na swoim zapleczu dość spory ogródek. Dopiero tutaj widać było, jak różni ludzie zamieszkują te zgrabne białe pudełeczka. Każdy z ogródków świadczył o swoim właścicielu. Niektórzy założyli prawdziwe, miniaturowe sady owocowe pełne najrozmaitszych drzewek, z morelami i brzoskwiniami włącznie. Nawet winna latorośl pięła się po murze domku.

Inni znowu skopali swoją posiadłość w wąziutkie grządki, z których wychylały się główki kapusty, kalafiorów lub czerwieniły buraczane liście. U tych „badylarzy” nie brakło okien inspektowych, a jeden z nich zbudował nawet malutką szklarnię.

Trzecia kategoria mieszkańców Radiowej potraktowała swój ogródek jako miejsce przyjemnego odpoczynku po pracy. Warzywa zastąpiono krótko strzyżonym trawnikiem, drzewa owocowe zredukowano do minimum, uprzywilejowano jedynie rośliny dekoracyjne, wśród nich przede wszystkim wiele gatunków róż. W sierpniu te ogródki wyglądały jak jeden różnobarwny bukiet.

Wreszcie, jak w każdym środowisku, tak i tu znaleźli się ludzie nie przywiązujący żadnego znaczenia do otoczenia. Tacy, którzy umieliby mieszkać na śmietniku. Ich ogródki przedstawiały żalosny widok zaniedbania. Trawy nikt tam nie kosił, zielska nie wrywał. Nawet drzewa rosły tu gorzej i owoce nie wychylały się spośród liści.

Pomiędzy siatką biegnącą wzdłuż całego terenu spółdzielni domków jednorodzinnych a takimi samymi, lecz dużo wcześniej wybudowanymi willami sąsiedniej ulicy, znajdował się wolny pas szerokości około trzech metrów, tak zwana

„droga gospodarcza”, służąca do wywożenia śmieci z ciągnących się po obu stronach drogi parcel. Ten szlak prowadzący między dwoma rzędami słupów obciążonych siatką nie był wybrukowany i nie sprawiał wrażenia często używanego. Osty i rozmaite chwasty sięgały Deptule niemal do ramienia. Każdy ogródek miał swoją własną bramę wjazdową, zamkniętą przeważnie na zardzewiały łańcuch równie zardzewiałą kłódką.

Antoni ostrożnie posuwał się wzdłuż siatki. Zdawał sobie sprawę, że jego widok na ulicy Radiowej był czymś zupełnie naturalnym. Ot, zwykły przechodzień. Natomiast ten sam człowiek, wędrujący polnym traktem pomiędzy ogródkami musiał budzić co najmniej zdziwienie, jeśli już nie wręcz podejrzenia. Rad więc był, że zielsko tak bujnie tu się rozkrzewiło i pochwałał tych właścicieli działek, którzy już przy płocie posadzili krzewy porzeczek agrestu i malin. Pozwalały mu bowiem obserwować wnętrza ogródków, a nawet mieszkań, bez zwracania uwagi na siebie.

W pierwszym domku okna były szeroko otwarte. Jakaś dziewczynka odrabiała w swoim pokoju lekcje. Prawdopodobnie pan domu, tylko w spodniach i koszulce, siedział na leżaku, na małym tarasie przed domem i coś czytał.

- To nie ten - skonstatował Deptuła i pochylając się przemknął pod ochroną wysokich burzanów do następnej działki.

Tutaj dwoje starszych już ludzi krzątało się wśród grządek z warzywami. On, uzbrojony w mały spulchniacz ogrodniczy, wruszał ziemię między rzędami równiutko pod sznurek zasadzonych kalafiorów, czasem pochylając się niżej, żeby wyrwać jakiś chwast i odrzucić go na kupkę. Pani „operowała” wśród krzaków pomidorów. Każdy z nich podparty był jedną lub kilkoma tyczkami, a jakieś kolorowe szmatki podtrzymywały gałązki. Kobieta oglądała dokładnie każdy krzaczek, wrywała dzikie odnogi, usuwała liście nad owoców tak, aby promienie słońca mogły bez przeszkód padać na duże, zielone kule. Dojrzałe pomidory były zrywane i wędrowały do plecionego koszyka. W całym ogródku panował wzorowy porządek.

Antoni chwilę patrzył na parę „ogrodników”. Starał się też zaobserwować, co się dzieje za oknami domku. Tam widać było młodszą kobietę, sądząc z podobieństwa córkę starszych państwa, zajętą trójką dzieci w wieku od lat pięciu do ośmiu.

Również i następny segment „bliźniaków” nie budził podejrzeń Deptuły. Tutaj między drzewami kręciło się aż dwóch mężczyzn, prawdopodobnie syn i ojciec.

Oglądali dojrzewające na drzewach owoce i zbierali strącone przez wiatr. W mieszkaniu krzątały się kobiety. Widać było też młodsze pokolenie. Domek był solidnie zagęszczony.

Kolejny ogródek nie przypominał poprzednich. Można było poznać, że jego właściciel niezbyt troszczy się o swoją posiadłość, chociaż i tu rosły drzewa owocowe, a także całą przestrzeń zasiano trawą. Przed laty zapewne sadzono kwiaty, bo ukryty za rosnącą tuż przy parkanie rozłożystą jabłonią Antoni widział koło domu liście konwalii, alejkę wysadzoną irysami, a pod płotem nie brakowało malin i krzaków porzeczek. Ale wszystko to było zaniedbane. Pnie drzewek dawno nie bielone wapnem, irysy i maliny rosły dziko, nie strzyżony bez rozrósł się bujnie. Wśród trawy strzelały w górę głowy ostów i pokrzyw.

Ale nie to najbardziej zdziwiło uważnego obserwatora. Co innego rzuciło mu się w oczy. Oto tuż za drzewem, które dawało Deptule możliwość bezpiecznej obserwacji bez zwracania uwagi na swoją osobę, wykopany był duży rów, podobny do takiego, jaki zwykle robią grabarze. Miał dwa metry długości, metr szerokości, a półtora metra głęboki. Świeżutki, żółty piasek okalał wieńcem otwór rowu, świadcząc, że tę dziurę w ziemi wykopano bardzo niedawno.

Co oni tu chcieli zakopać? - zastanawiał się. Deptuła. - Ani śmieci, ani niczego podobnego nie widać.

Druga, charakterystyczna rzecz: wszystkie okna na parterze miały kraty, podobnie zresztą jak w pozostałych domkach, tylko w tamtych trzech, które Antoni już dokładnie obejrzał, kraty były rozsunięte. Tutaj przeciwnie, okratowanie „zdobiło” wszystkie otwory okienne. Bystry wzrok pozwalał mu dostrzec, że ponadto kraty zamknięto na kłódki. A poza tym, pomimo pełni dnia, zapuszczono stopy w oknach. Gdyby nie to, że okna na piętrze pozbawione były zasłon, a nawet otwarte, można by było domyślać się nieobecności właścicieli tego „bliźniaka”. Ale wyjeżdżając na wczasy nie zostawia się otwartych okien. Tym bardziej więc zaintrygowało to wywiadowcę.

Deptuła przypomniał sobie, że przechodząc koło frontu tej parceli, to jest od ulicy Radiowej, zauważył jedynie przymknięte drzwi garażu, co jeszcze bardziej wzmogło jego podejrzenia. Wywiadowca doskonale pamiętał, że na próżno usiłował dojrzeć przez istniejącą szparę, jaki samochód stoi wewnątrz. Niestety, garaż był ciemny i nie udało się dostrzec czegokolwiek.

Ten dom cichy, jakby wymarły, bardzo zainteresował Antoniego. Mógłby



przysiąc, że tajemniczy nieznajomy wszedł do tego budynku. Ale jak to zbadać?

Deptuła rozejrzał się wokoło. W sąsiednich ogródkach ludzie zajęci byli swoją pracą i nikt nie interesował się ani cieniem, który przemknął po drodze gospodarczej, ani tym, co dzieje się u najbliższych sąsiadów. Zaś tutaj, na tej dziwnej posesji, nadal panowała martwa cisza. Nawet w otwartych oknach na piętrze nie widać było żywego ducha.

W tych warunkach współpracownik majora Pałkowskiego powziął ryzykancki pomysł. Podeszedł do pobliskiego słupka podtrzymującego siatkę, wypróbował jej wytrzymałość i zasłonięty ciągle rozłożystą jabłonią, dwoma susami przeskoczył niezbyt wysokie ogrodzenie. Chwilę leżał na trawie, obserwując, czy nikt w tym domku lub w pobliskich „bliźniakach” nie zauważył tego skoku. Ale w dalszym ciągu panowała cisza i spokój.

Antoni zastanawiał się, co robić dalej. Miał dwie drogi do wyboru. Pierwsza, to obejść budynek, znaleźć się na jego froncie i korzystając z tego, że garaż nie był zamknięty, wśliznąć się do środka, aby zbadać stojące tam auto. Czy to przypadkiem nie ta syrena, której tylu ludzi szuka od paru dni?

Inny plan, to podejść do samego domku i spróbować zajrzeć do wnętrza przez któreś okno. Wprawdzie z daleka widać, że story we wszystkich oknach na parterze są zaciągnięte, ale może uda się znaleźć jakąś szparę i zobaczyć, co dzieje się w tajemniczym wnętrzu?

Deptuła wybrał drugą koncepcję. Obserwując bacznie ludzi w sąsiednich ogródkach i zwracając uwagę na stojący przed nim budynek, ostrożnie, przy maksymalnym wykorzystaniu rosnących w ogródku drzewek, posuwał się naprzód. Gdy był już pod samym murem, odetchnął spokojniej. Teraz przynajmniej z wnętrza budynku nikt go nie mógł zobaczyć.

Wszedł na niewielki taras, przedzielony murkiem odgradzającym go od drugiej połowy „bliźniaka”. Na taras wychodziły dwuskrzydłowe drzwi i jedno okno, tak zwane weneckie. Antoni zbliżył się do drzwi. Usiłował zajrzeć do środka, lecz zasłona zakrywała cały otwór. Była tak gęsta, że nie widziało się przez nią nawet cienia, jaki rzucałaby na szybę sylwetka człowieka poruszającego się w mieszkaniu. Również i okno nie pozwalało zajrzeć do wnętrza. Deptuła wycofał się więc z tarasu i podeszedł do następnego okna. Tu zajrzeć było jeszcze trudniej, bo znajdowało się ono dość wysoko nad ziemią. Wywiadowca, wspinając się na palce i przytrzymując framugi, z trudem zdołał dosięgnąć głową dolnej szyby, chociaż nie był człowiekiem

specjalnie niskiego wzrostu.

Zasłona w tym pokoju była trochę krótsza. Pomiedzy nią a dolną krawędzią okna zostawał wąski, nie zakryty pasek. Nie więcej niż trzy centymetry. Ale i to dobre. Jeszcze ostatni wysiłek i oczy Antoniego znalazły się na wysokości tej szpary. Przysunął do niej twarz jak najbliżej. Powoli zaczął rozróżniać urządzenie pokoju.

Pod ścianą stał tapczan. Ściany zdobiły obrazy. Środek podłogi zaścielał jasny dywan, żółtoceglastego koloru. Nieco dalej znajdował się niski stół, a przy nim trzy wygodne fotele-leniwce. Na najbliższym od okna siedział jakiś mężczyzna, zwrócony tyłem do Deptuły, tak że wywiadowca mógł zobaczyć wyłącznie jego plecy i ciemne włosy. Człowiek ten trzymał w ręku papierosa, smuzka niebieskiego dymu szła w górę.

Po drugiej stronie stołu, na takim samym fotelu, siedziała młoda kobieta. Kruczoczarne włosy i regularne rysy twarzy składały się na obraz bardzo przystojnej dziewczyny. Ale w tej twarzy przede wszystkim wyróżniały się oczy, jak gdyby nienaturalnie wielkie.

- Ona jest chyba pijana - pomyślał Antoni.

Nie miał wątpliwości co do tożsamości siedzącej w pokoju kobiety. Była podobna jak dwie krople wody do osoby na zdjęciu, której rysów twarzy i wyglądu sylwetki nauczył się na pamięć. Nieistotne w tej chwili było nawet, czy siedzący plecami do okna mężczyzna jest osobnikiem tak zapamiętane szukany po całej Warszawie. W tej chwili najważniejszy był fakt obecności w tym pokoju Elżbiety Wojciechowskiej.

Kobieta coś mówiła. Deptuła widział ruchy jej ust. Zrobił dodatkowy wysiłek, aby unieść się nieco wyżej i przyłożyć ucho do szyby. Może zrozumie o czym mówią. Jednakże kobieta mówiła bardzo cicho. Wywiadowca słyszał jej głos, lecz mimo starań nie rozumiał ani słowa.

Za to w pewnym momencie posłyszał za sobą cichy szelest. Chciał zeskoczyć na ziemię i odwrócić się, lecz na to było za późno. Uczuł potworny ból w tyle głowy, z oczu zniknął widok pokoju, zastąpiła go nieprzenikniona ciemność. Tracąc przytomność, Antoni Deptuła runął na ziemię pod oknem.

Już nie widział wysokiego mężczyzny, który pochylił się nad nim, obszukał, czy nie ma broni, a następnie opróżnił mu kieszenie z dokumentów i pieniędzy, po czym przerzucił sobie przez ramię ciało nieprzytomnego i uginając się pod jego ciężarem znikł we wnętrzu willi.

## **Trzeba natychmiast uciekać**

Do pokoju, w którym przy niskim stole siedziało dwoje ludzi, wszedł jeszcze jeden mężczyzna.

- Dobrze wam się powodzi - zauważył ironicznym tonem - wypoczywacie tu sobie i rozmawiacie. Może nawet flirtujecie? I na nic nie zwracacie uwagi.

- A na co mielibyśmy zwracać uwagę? - odpowiedział siedzący mężczyzna. - Przecież wszystko w porządku.

- W jak najlepszym - wysoki mężczyzna nie krył już rozdrażnienia. - Trzeba było tylko te story podnieść do góry! Żeby biedny agent tak się nie męczył stojąc na palcach i podglądając was.

- Jaki agent? Co ty pleciesz?

- Jaki agent? Dobrzy sobie! Ten, który teraz leży w sąsiednim pokoju. Agent ubezpieczeń. Chciał ci zaproponować „auto-casco” i dlatego wlaź przez parkan i zaglądał przez szparę między framugą i zasłoną do wnętrza pokoju.

Mężczyzna, dotychczas rozparty wygodnie w fotelu, zerwał się z wyrazem przerażenia na twarzy. Kobieta, rozpoznana niedawno przez Deptułę jako Elżbieta Wojciechowska, podniosła się również, chociaż jej ruchy były zupełnie spokojne. Niski i krępy jej towarzysz szybko przeszedł przez pokój i otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Tu na podłodze leżał jakiś człowiek.

Tymczasem wyższy ciągnął dalej. Ogarniała go coraz większa wściekłość.

- Ty durniu! - syczał przez zęby. - Niczego nie potrafisz załatwić. Mówiłem, stale uważać, bo oni na pewno węszą. Radziłem zachorować i nie wychodzić z domu, a nieustannie zwracać uwagę na to, co dzieje się w okolicy. Ale ty nic. „Jesteśmy zupełnie bezpieczni” - powtarzałeś. Masz teraz swoje bezpieczeństwo. Dobrze, że wchodząc do domu obszedłem budynek z drugiej strony. Nie chciałem wchodzić drzwiami od frontu, żeby nie rzucać się w oczy sąsiadom. Patrzą, a przyklejony do ściany ktoś zagląda do okna. Gdybym nie przyszedł lub zjawił się nieco później, już byśmy ich mieli na karku.

- Nie żyje? - zapytał niski.

- Żyje. W jak najlepszym zdrowiu. Trochę go tylko uśpiłem. Najdalej za godzinę przyjdzie do siebie.

- Kto to taki?

- Nie miałem przyjemności znać tego pana i nie kwapię się do bliższej z nim konfidencji. W jego kieszeni znalazłem zaświadczenie, że jest agentem ubezpieczeń. Jeżeli chcesz, możesz w to uwierzyć.

Właściciel domu pochylił się nad nieprzytomnym.

- Gdzieś go już widziałem - zauważył. - Ale gdzie? Chyba niedawno.

- Chodził za tobą?

- Nie. Jestem tego pewien... Wiem! Przecież ten facet sprzedawał na rogu Wołoskiej grzebyki i lusterka.

- Kiedy? Dawno?

- Dzisiaj zauważyłem go po raz pierwszy. Nawet trochę się zdziwiłem, że wybrał taki martwy punkt. Tam nie ma wielkiego ruchu i odkąd tu mieszkam, nikt nigdy nic nie sprzedawał.

- Coraz lepiej! Agent ubezpieczeń, który w chwilach wolnych od zajęć zajmuje się sprzedażą lusterek na odludnej uliczce. Sprawa prosta. Śledził cię, aż wyśledził.

- Trzeba go zlikwidować!

- Ale powiedziałeś!

- Nie będziemy go wykańczać. Po prostu wystarczy zanieść tak jak jest do dołu i zakopać. Już się nie obudzi.

- Coraz lepsze pomysły. Masz rację. Zrób to. Tylko przedtem oświadczysz mi na piśmie, że to był twój pomysł łącznie z wykonaniem.

- Po co?

- Po to, żebym mógł, jak cię będą wieszać, stać koło szubienicy i przyglądać się temu. Ja jeszcze nie śpieszę się na hak. Wolę pożyć.

- Kiedy go zlikwidujemy, nikt nic nie znajdzie i będziemy bezpieczni.

- Ty durniu! Myślisz, że taki facet działał w pojedynkę? Sam wymyślił ten pomysł z grzebykami? Że jego władze nie wiedzą gdzie stał i dlaczego? Niech nie wróci w porę ze służby i nie złoży meldunku, za godzinę będziemy mieć na Radiowej ładny bal. A za dwie już by go wykopywali z dołu. Co ja mówię „wykopywali”. Ty sam byś ziemię odwał. Tylko by łopata furczała. A za morderstwo, tym bardziej ich człowieka, sam dobrze wiesz, jak by się z tobą porachowali.

- Jeżeli wpadniemy, i tak się porachują.

- Pewnie. Nie będą się z nami pieścili. Ale nie powiesz. A najdłuższy wyrok można zawsze odsiedzieć. Nie mówiąc już o tym, że w tym czasie wiele może się

zdarzyć. Natomiast kiedy powieszą, już nie ma powrotu na ziemię.

- Dobrze ci tak mówić. A co ja mam robić?

- Teraz się martwisz? Kiedy brałeś pieniądze, głowa cię o to nie bolała. Wtedy wszystko było dobre.

- Kto mnie do tego namówił? Tacy jak ty!

- Ale nikt cię nie zmuszał.

- Nie kłóćcie się - wtrąciła Elżbieta.

- Więc co z nim robić, kiedyś taki mądry? - zapytał niższy mężczyzna.

- Przede wszystkim wziąć mocny sznur i dobrze związać. Przydałby się też kawał plastra do zaklejenia ust, żeby nie mógł krzyczeć, kiedy się obudzi. Czyba masz coś takiego w domu?

- Znajdzie się. - Pan domu wyszedł z pokoju.

Wrócił niosąc pęk sznura. Takiego, jakiego zazwyczaj używa się do wieszania bielizny, w drugim ręku miał rolkę leukoplastu. Obaj mężczyźni z wprawą zawodowych zbirów szybko związali ciągle nieprzytomnego Deptułę, zaklejając mu usta różowym paskiem.

- Nie tak mocno - zauważyła Elżbieta, która nie brała udziału ani w rozmowie, ani w „preparowaniu” wywiadowcy - bo się udusi. A wtedy już nie unikniemy szubienicy wszyscy troje.

Wysoki, łysawy blondyn sprawdził więzy na rękach i nogach ogłuszonego i nieco je rozluźnił.

- To wszystko przez ciebie - wyrwało się z gardła niskiemu.

- Nie przeze mnie, tylko przez waszą piramidalną głupotę - odcięła się kobieta. - To był mój plan z tą całą ucieczką? Kto to wymyślił i zorganizował? Tak wam było pilno, nie mogliście poczekać parę dni. A teraz się martwicie. Poczekajcie, jeżeli uda nam się stąd wyrwać, to tam, na miejscu, pochwalą was dobrze za genialny pomysł!

- Uważaj, żeby ciebie nie pochwalili tak, że nie będziesz mogła się pozbierać.

- Mnie na pewno pochwalą. Ja swoje zadanie spełniłam. A że wy uznaliście za słuszne wtrącić się do akcji i spalić mnie w Polsce, wasza sprawa i z tego będziecie się tłumaczyli wy, a nie ja.

- Przestań krakać! - Warknął wysoki.

- A ty też nie gadaj. Wymyśl lepiej, co robić.

- Co robić? Bardzo proste. Uciekać.

- A ten? - zapytał niski.

- Jego ze sobą nie zabierzemy. Trzeba go tu zostawić. Niech go przyjaciele znajdą. Zanim to nastąpi, nas już nie będzie.

- A co ze mną? Przecież to mój dom.

- Wcale nie chcę ci go zabierać. Jeżeli uważasz za stosowne, to czekaj tutaj, obok tego faceta, na jego kumpli.

- Nie żartuj - zauważyła Elżbieta. - Stefan musi zniknąć razem z nami.

- Przypuszczam, że mamy godzinę, a najwyżej dwie, aby opuścić to gniazdko

- wysoki mówił tym razem poważnie - przed upływem tego czasu nie zrobią alarmu. Wyprowadzimy samochód i nim pojedziemy do śródmieścia. Tam się go gdzieś podrzuci.

- Jak to podrzuci?

- Przecież nie uciekniemy z samochodem, którego numer i wygląd są albo już znane, albo będą znane najdalej za kilka godzin. Trzeba go się pozbyć.

- Ten samochód jeszcze dziś wart jest pięćdziesiąt tysięcy. Mam go zostawić na ulicy?

- Do niczego cię nie zmuszam - głos wysokiego nabrał znowu twardych, gniewnych akcentów - rób co chcesz. Idź do diabła albo od razu wprost do nich. Może zlitują się i dostaniesz nie więcej niż dziesięć lat. Po wyjściu będziesz mógł nadal jeździć swoją syreną.

- Wszystko stracone - biadał niski - dom, meble, wszystko. Nawet ten samochód. Ładnie mnie urządziliście.

- Przestań nudzić. Wszystko, to mieszkanie i nawet te łachy, które masz na sobie, kupiłeś nie z tej głupiej pensji, a z pieniędzy otrzymanych od nas. Za co je dostałeś? Jakby przyszło się liczyć, nie wiadomo kto - zrobił lepszy interes.

- Służyłem wam wiernie. Robiłem to, co kazaliście.

- Dlatego nie zostawiamy cię własnemu losowi, lecz zabieramy ze sobą. Chociaż za te wszystkie głupstwa, których narobiłeś, należałoby przestać martwić się o twoją osobę. Gdybyś mnie słuchał, nie doszłoby do tego. Trzeba było siedzieć cicho i nie wychylać nosa z mieszkania.

- Wszystko stracone, taka strata - mały nie umiał pogodzić się z losem.

- Przestań się wygłupiać. Jak dobrze pójdzie, jutro będziemy za granicą. Tam będziesz mógł wystawić rachunek za to co ci tu przepadło. Nie możesz narzekać, żebyśmy kiedykolwiek byli skąpi. Nie bój się. Dostaniesz dobrą posadę. Będziesz

zarabiał prawdziwe pieniądze. Wiernych nam ludzi nie opuszczamy i nie zostawiamy w nędzy. No, głowa do góry.

Te słowa podziałały na niskiego. Uspokoił się.

- Więc co teraz robić?

- Pakować się. Tylko jedna walizka. Rzeczy osobiste. Te najlepsze. Wyłącznie zagraniczne. Pamiętaj, że będziesz udawał cudzoziemca wracającego z wycieczki po Polsce. Żadnych trefnych przedmiotów, żeby na granicy celnik nie mógł się przyczepić. Elżbieta niech też zapakuje to, co tu ma. Później przejrzymy jej rzeczy i ewentualnie przygotuje się odpowiednie stroje, przystosowane do wieku starszej pani.

- Starszej?

- Przecież z tymi charakterystycznymi czarnymi włosami daleko byś nie zajechała. Trzeba będzie odpowiednio cię spreparować. Bardziej jeszcze niż wtedy, przy przyjeździe.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Aleście narobili bigosu - powiedziała.

- Nie ma o czym teraz gadać. Na miejscu okaże się, kto narobił bigosu i kto nawarzył piwa. Ten też je wypije.

- A co z tym? - niski znowu pokazał na nieprzytomnego mężczyznę, leżącego na podłodze.

- Przecież już ci mówiłem, że go ze sobą nie weźmiemy.

- Zostanie tak tutaj w pokoju? Wysoki zastanowił się chwilę.

- Masz rację - powiedział - stąd zbyt łatwo by się wyrwał. Po prostu dotarłby do okna i narobił alarmu tłukąc szyby. Choćby głową.

- Przecież jest związany.

Bądź spokojny. Będzie umiał wypłatać się z tego. Niech tylko odzyska przytomność i nabierze trochę więcej sił. Wolałbym, żeby go znaleziono jak najpóźniej.

Zaniesiemy go do piwnicy, tam gdzie jest kocioł centralnego ogrzewania.

Tam są okna i nawet dość spore i, jak się orientuję, od ulicy.

- Do garażu?

- Rzeczywiście. Garaż będzie najlepszy. Po wyprowadzeniu samochodu zamkniemy go w garażu. Stamtąd tak łatwo nie wyfrunie. Im później go znajdą, tym lepiej dla nas.

Idę wyprowadzić samochód.

Ale nie na ulicę. Niech stoi przed garażem.

Po powrocie niskiego obaj mężczyźni pochylili się nad leżącym na ziemi. Jeden wziął Deptułę za nogi, drugi za ramiona i tak wywlekli wywiadowcę z pokoju. Kiedy wrócili, wysoki zakomenderował:

- A teraz pakować się i znikamy. Tym razem niski już nie protestował.
- Pomogę ci - wysoki zwrócił się do Elżbiety i razem z nią wyszedł z pokoju.

Wrócili za piętnaście minut. Dziewczyna miała na sobie jasny płaszcz, jej towarzysz dźwigał niewielką walizkę. Deptuła obserwując Wojciechowską przez szparę w oknie zauważył, że kobieta robi wrażenie nieco „wstawionej”. Jej ruchy przypominały film na zwolnionych obrotach. Chociaż mówiła logicznie, to jednak wymawiała słowa bardzo powoli. Obaj mężczyźni byli podnieceni i zdenerwowani. Elżbieta miała minę i zachowywała się tak, jak gdyby tym wszystkim wypadkom przyglądała się z pozycji widza oglądającego spektakl w teatrze lub na ekranie telewizji. Teraz znowu wygodnie rozsiała się w fotelu na którym siedziała uprzednio, i spokojnie spoglądała przed siebie, nie troszcząc się o dalsze losy własnej osoby i swoich współników.

Wysoki mężczyzna nie był zbyt skory do rozmowy. Zajął drugi fotel i nerwowo palił papierosa. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swojego położenia. W duchu przyznał, że większość zarzutów, jakie robił swojemu współpracownikowi, była niesłuszna. Gdyby tamten nagle zmienił tryb życia, przestał pokazywać się w miejscu pracy i nawet nie wychylał się z domu, taki sposób postępowania mógłby jeszcze więcej wzbudzić podejrzeń. Trzeba pogodzić się z losem. Po prostu szukali ich i wreszcie znaleźli. Dobrze, że chociaż tak się skończyło. Pozostała szansa ucieczki. Trzeba ją wykorzystać. Może początkowo nikt nie zaniepokoi się przeciągającą się nieobecnością tego agenta, na pewno niewielkiej płotki wśród „łapaczy”, który leży teraz związany jak tłumok w garażu. Może narobią alarmu nie za godzinę, tylko, na przykład, za pięć lub osiem? Zanim znajdą willę, zanim zdecydują się na wkroczenie do pustego budynku, znowu upłynie nieco czasu. Kiedy w końcu wyłamią mocne drzwi garażu i odnajdą więźnia, wtedy oni, cała trójka, będą daleko. Trzeba tylko wygrać wyścig z czasem.

Elżbieta nadal siedziała bez ruchu i nie odzywała się.

- Niestety - myślał dalej mężczyzna - trzeba zabrać ze sobą i tego Polaczka. Zbyt dużo wie, żeby zostawiać go w kraju. Choćby dostarczyło mu się jak najlepszych papierów - o tym wysoki nie wątpił ani chwili - kontrwywiad, skoro już



wpadł na trop, pójdzie tym śladem) już do końca i wcześniej czy później nakryje faceta. Nie ma rady, trzeba z nim się ciągnąć. Wprawdzie w drodze to nawet i lepiej, że jedzie z nami, bo może się przydać, ale na miejscu przysporzy kłopotów. Tym bardziej, że ten człowiek rzeczywiście pracował całkiem nieźle i nagle traci wszystko, czego się dorobił.

- Chyba go wynagrodzą za to, co traci? - Mężczyzna zwrócił się do Elżbiety. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Niewiele mnie to obchodzi. Ale sam wiesz, że nie lubią na próżno wydawać pieniędzy.

- Będą z nim kłopoty. Wystąpi z pretensjami i żalami. A bądź co bądź przez te parę lat sporo rzeczy się dowiedział. Myślę, że jednak będą woleli zatkać mu buzię, aby nie było krzyku.

- Pieniędzmi czy na zawsze? - zauważyła dziewczyna.

Mężczyzna roześmiał się.

- Dobry kawał. Wracasz do formy.

- Dziękuję. Na ich miejscu zlikwidowałabym takiego typu jakoś po cichu.

- Niech się o to na miejscu martwią. Przysyłali takie instrukcje, to niech ich o to głowa nie boli. Ja swoje zrobiłem.

- Ja też - dodała Elżbieta.

Otworzyły się drzwi i wszedł drugi z mężczyzn. Był podniecony i zasapany. W rękach dźwigał dwie wielkie walizy. Postawił je na podłodze.

- Jestem gotów. Jedziemy?

- Zwariowałeś? Z takimi kuframi? Już te pakunki zwrócą na ciebie uwagę. Co tam masz?

- Tylko ubrania i bieliznę.

- Takie dwie walizy? Nie wierzę. Otwieraj.

- Kiedy naprawdę...

- Otwieraj! - głos wysokiego zabrzmiał znowu groźnie.

Drugi mężczyzna wahał się przez chwilę. W końcu uległ. Posłusznie zaczął otwierać zamki w obu walizkach. Jego towarzysz pochylił się nad kuframi. Ręce sprawnie poruszały się pomiędzy materiałami i bielizną.

- Jeden, dwa, trzy, pięć garniturów - zauważył wysoki - to za dużo. Żaden turysta nie przywozi ze sobą tylu rzeczy. Wystarczą trzy. Dwa w walizce, trzeci na sobie. To i tak aż nadto.

To mówiąc wyciągnął z walizy trzy ubrania i wyrzucił je na podłogę.

- A to co? - zapytał.

- To - niski zmieszał się nieco - kupon materiału. Prawdziwy angielski.

Kupiłem w PKO dopiero parę dni temu. Płaciłem po dziesięć dolarów za metr - usprawiedliwiał się - nie zajmuje wiele miejsca i jest lekkie.

Wysoki bez słowa cisnął kupon materiału na stertę wyjętych garniturów i znowu zagłębił ręce wewnątrz walizy.

- Koszule - mruczał - chyba ze dwadzieścia. Na diabła to wlec. Trzy białe zagraniczne i dwie kolorowe. Reszta won. Krawaty też do wyrzucenia. Nawet amanci filmowi nie ciągną się z taką ilością ciuchów.

Kupka rzeczy wyrzucanych z walizy rosła gwałtownie.

No - zdecydował blondyn - reszta może zostać. A co jest w drugim kufrze? Otwieraj.

Otwarte - mruknął ciemnowłosa mężczyzna. Był całkowicie załamany.

- Futro - roześmiał się ironicznie wysoki - ten idiota nie ma lepszych pomysłów, jak tylko w lecie wozić futro.

Futro podzieliło los kuponu i garniturów.

- A tu jeszcze jesionka. Cztery swetry. Wystarczy jeden. Który wolisz?

- Niech będzie ten - niski wskazał na popielaty, gruby pulower.

Prowadzący rewizję przełożył sweter do pierwszej walizki. Trzy pozostałe znalazły się na stercie rzeczy odrzuconych.

W ten sposób, metodycznie przeglądając każdą sztukę po kolei, wysoki mężczyzna doszedł aż do dna drugiego kufra i wyciągnął stamtąd sporych rozmiarów pakunek ciemnego koloru.

- A to co? - zapytał zdziwiony.

- To „pers”. Niewielki i lekki. Prawdziwy „tebrys” z siedemnastego wieku.

- Nawet trudno na ciebie się gniewać. Jesteś za głupi.

- Ten dywanik jest niewielki i ma ogromną wartość. Każde muzeum na Zachodzie zapłaci za niego więcej niż tysiąc dolarów. Proszę, zostaw go.

- Niech weźmie - wtrąciła się Elżbieta. - Ostatecznie trzeba przyznać, że sporo traci. Przynajmniej pocieszy się tym dywanikiem.

- Bardzo mu pilno do polskiego więzienia. Przecież nie przewiezie tego przez granicę. Każdy celnik pozna się na wartości takiej rzeczy.

- Przewiozę. Owinę się nim albo schowam gdzieś w wagonie. Pod pościel...

Wysoki bez słowa cisnął dywanik na stos. Powędrowała tam i reszta rzeczy z drugiej walizki.

- Teraz - zauważył - byłoby mniej więcej w porządku - przynieś jakąś mniejszą walizeczkę i przepakuj to.

Rzeczywiście, ubrania i bielizna, zakwalifikowane do zabrania nie wypełniały więcej jak połowę jednego kufra. Doskonale mieściły się w sporej sportowej torbie, którą właściciel domu przyniósł z jakiegoś innego pomieszczenia.

- A pieniądze i kosztowności? - zapytał blondyn.

- Nie rozumiem?

- Nie udawaj Greka. Pytam jakie pieniądze i kosztowności masz przy sobie? Niski mężczyzna milczał.

- No, nie traćmy czasu. Co masz, wykładaj na stół. Bo i tak znajdę.

- Co to, rewizja?

- Głupich trzeba rewidować. Mam dowód po tych gratach. Daleko byśmy z nimi zajechali! Prosto do aresztu na punkcie granicznym. A później znacznie dalej. Nie chcesz, proszę bardzo, wolna wola, możesz robić, co ci się podoba. Ale jeżeli mam ciebie zabrać ze sobą, nie zamierzam wpaść przez twoją chciwość. Dlatego żądam bezwzględnego posłuszeństwa.

Elżbieta w milczeniu przyglądała się rozgrywającej się przed nią scenie. Pan domu drżącymi rękoma wyjął z kieszeni portfel i zaczął z niego wykladać brunatnego koloru pięćsetki i zielona papierki dolarów. Następnie z kieszeni wyciągnął kilka złotych monet i biżuterię: parę pierścionków i trzy bransoletki. Blondyn wybuchnął śmiechem.

- Patrzcie państwo! Z tym wszystkim chciałeś uciekać za granicę? Nieprawdopodobne!

- Chciałem to zostawić żonie dla dzieci. Przecież teraz trudno mi będzie dawać na ich utrzymanie.

- Patrzcie go! Nareszcie przypomniał sobie, że ma żonę i dzieci. A przedtem kochany mąż i papa sprawił, że żoneczka musiała wyprowadzić się z domu. A o alimenty chodziła aż do sądu. Walczył o każdą złotówkę.

- Ale płaciłem akuratnie wszystko, co sąd zasądził. Nawet zaległości.

- Bardzo się na to wykosztował. Przy twoich dochodach i umiejętności wyciągania z centrali forsy pod coraz to innym pozorem! Ty byś nawet z kamienia pieniądze wycisnął. Byłeś naszym najdroższym agentem.

- Ale i najlepszym. Nie brałem pieniędzy za darmo.  
- Przestańcie wreszcie się kłócić! - przerwała ten spór Elżbieta.  
- No dobrze - zdecydował wysoki - wezmę te pieniądze i doręcę twojej żonie. Dostanie je na drugi dzień po przekroczeniu przez nas granicy. Zostaw sobie dwa i pół tysiąca złotych pięćsetkami i drobniaki. Dolarów mniej niż setkę. Wszystko zadeklarujesz przy wyjeździe.

- To weź i ten dywanik - prosił właściciel mieszkania.  
- Niech cię cholera. Dobrze! Dawaj dywanik, tylko go w coś zapakuj.  
- Mam dużą teczkę, zmieści się w nią.  
- Przynieś teczkę. A pośpiesz się! Tyle czasu straciliśmy przez ciebie.  
Kiedy wreszcie i dywanik był zapakowany, wysoki mężczyzna zakomenderował.

- Idziemy. Przed wyjściem na dwór musimy uważnie się rozejrzeć. Wsiadamy do samochodu od razu na posesji. Tak wyjedziemy. Potem ty, nie gasząc motoru, wysiądziesz i pozamykasz wszystkie drzwi, bramę wjazdową i furtkę. Po drodze będę mówił dokąd i jak masz jechać.

W parę minut potem syrena wolno jechała ulicą Radiową.

- Skręcaj na Wołoską. W lewo, koło szpitala. Teraz szybciej - komenderował wysoki.

Samochód nabierając pędu jechał w stronę Raławickiej.

- Zakręć w prawo i jedź Aleją Niepodległości aż do gmachu radia.  
- Teraz na prawo.  
- - To znowu wyjedziemy na róg Wołoskiej i Raławickiej - zauważył niski mężczyzna prowadzący wóz.

- O to właśnie chodzi. Pojedziesz Raławicką - do Żwirki i Wigury i dalej do Raszyńskiej.

Przez parę minut w samochodzie panowało milczenie. Blondyn, który ulokował się na drugim siedzeniu obok walizek, ciągle spoglądał w tylne okienko.

- Zdaje się, że nikt za nami nie jedzie. To znaczy, że jeszcze zdążyliśmy.  
Dojeżdżali do Placu Zawiszy i skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi.  
- Jedź w ten sposób, abyś trafił na zielone światło. Nie wolno ci się zatrzymywać przed sygnalami. Tu zawsze stoi jeden albo więcej milicjantów.  
Skrzyżowanie przejeżdż dość szybko. I w Towarową.

Samochód przemknął przez Rondo i znalazł się na przebudowanej już i

poszerzonej niedawno ulicy Towarowej. Wysoki mężczyzna ciągle obserwował, co się dzieje z tyłu wozu.

- Dobrze - zauważył - jesteśmy sami. Teraz na Powązki.

Przy cmentarzu znowu padła komenda.

- Na „babkę” i na Żoliborz. A po chwili:

- Skręcaj w lewo. W Krasińskiego.

Teraz jechali przez tak zwane Sady Żoliborskie, teren zabudowany przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową.

- Widzisz ten mały parking na prawo? Wjedź tam i zatrzymaj wóz między tymi dwoma autami.

- Trudno będzie. Bardzo wąsko, Jak wjadę, nie otworzę drzwi.

- To zatrzymaj się przed samymi autami. Wsiądziemy i wepchniemy wóz do środka. Nie będzie rzucał się w oczy. Znowu ze dwa dni upłyną, nim go znajdą. Czas musi pracować dla nas.

Kiedy już syrena została wciśnięta między jakiegoś wartburga i warszawę, wysoki oświadczył:

- Idziemy do tramwaju. Ty z Elżbietą razem. Ja ze trzy metry z tyłu.

Na Stolecznej, na przystanku, cała trójka wsiadła w „siedemnastkę”. Na rogu Świerczewskiego przesiedli się w taksówkę.

- Na Dworzec Wschodni.

Tam wysiedli i po kupieniu w automacie trzech biletów przeszli na peron kolejowy.

- Po co my się tak kręcimy? - zapytał, niski. - Przecież nikt nas nie śledzi.

- Na pewno nie dla mojej przyjemności. Po to, żeby im trudniej było później iść naszym śladem. Już raz byłeś nieostrożny i sam widzisz, co z tego wynikło. Ja tam wolę dmuchać na zimne, niż na gorącym się sparzyć.

- Pociąg podmiejski do Żyrardowa wjeżdża na tor pierwszy przy peronie pierwszym. Proszę odsunąć się od torów - powtarzały jak zwykle zachrypnięte głośniki stacyjne.

- Wsiadamy.

Na dworcu Powiśle cała trójka wysiadła.

- Schodzimy na dół. Iść za mną. Pojedynczo. Ja przodem. Dalej Elżbieta. Ty na końcu.

W ten sposób doszli do ulicy Czerwonego Krzyża, a następnie na mały

trójkątny placyk, który tworzy ulica Solec i wpadająca doń ulica Dobra. Tutaj przewodnik skręcił w Solec, w stronę Tamki. Po przejściu około stu metrów zatrzymał się przed jednym z niedawno zbudowanych, wysokich domów. Rozejrzał się wokoło.

Tymczasem nadeszli pozostali. - Szybko wchodzić do środka.

W hallu nie było nikogo. Wysoki otworzył windę. Wsiedli. Dźwig zatrzymał się na piątym piętrze. Jeden obrót klucza w zamku i malowane na popielatozielony kolor drzwi otworzyły się szeroko. Zamykając je za całą trójką, blondyn zauważył:

- No, pierwszą rundę wygraliśmy. A mogło być gorzej.

Elżbieta i niski mężczyzna rozglądali się ciekawie. Była to niewielka „kawalerka”, składająca się z małego przedpokoiku, pokoju około piętnastu metrów z niszą na tapczan, oraz łazienki, w której jednocześnie znajdowała się kuchenka gazowa. Całe pomieszczenie miało umeblowanie skromne, ale dostateczne. Panowała w nim wzorowa czystość.

- Bardzo tu ładnie. Nie wiedziałam, że tu mieszkasz - zauważyła Elżbieta wchodząc do pokoju.

Wysoki nie odpowiedział. Nie zdjął też płaszcza.

- Do pociągu mamy przeszło pięć godzin - zauważył po chwili. Posiedzicie tutaj do mojego powrotu. Nie rozmawiać głośno, nie puszczać radia, nie zbliżać się i nie wyglądać oknem. Coś do zjedzenia znajdziecie w lodówce i w tej szafce. Ja idę po paszporty i bilety. Załatwię też przesyłkę „dla twojej żony. Postaram się wrócić jak najprędzej. Gdybym nie przyszedł do dziewiątej wieczorem, to znaczy że wpadłem. Wtedy natychmiast uciekajcie. Postępujcie zgodnie z instrukcją na wypadek alarmu. Ale nie przypuszczam, żebym nie wrócił...

Wziął teczkę, w której znajdował się dywanik i cicho zamknął za sobą drzwi.

### **Major gniewa się**

Kończąc urzędowanie w tym dniu, po zapoznaniu się z raportami dotyczącymi poszukiwania syreny i jej tajemniczego właściciela, major Pałkowski zauważył:

- Nie widzę sprawozdania Deptuły. Co on dziś robił?

- Sprzedawał grzebyki na Wołoskiej. Pewnie jeszcze tam stoi - wyjaśnił jeden ze współpracowników majora.

- Albo od razu pojechał do domu. Mieszka na Służewcu. Stamtąd mijał blisko.

Raport złoży pewnie jutro rano.

- Nie podoba mi się to - powiedział major - tyle razy powtarzałem:  
sprawozdanie natychmiast po zejściu z posterunku.

- Deputa zawsze był indywidualistą - roześmiał się jeden z kapitanów.

- Żebym ja tego indywidualisty nie podkreślił - mruknął zwierzchnik.

- To jeden z najlepszych naszych ludzi - ktoś wystąpił w obronie Antoniego  
Deputy - pracowity i ma nosa.

- Co z tego, kiedy niekarny - stwierdził major kończąc odprawę.

Było już dobrze po godzinie ósmej wieczorem, gdy w mieszkaniu majora  
odezwał się telefon. Kapitan pełniący służbę zawiadamiał zwierzchnika, że z Deputą  
musiało stać się coś niedobrego.

- Mówcie po kolei, wszystko co wiecie.

- Pewien milicjant - kapitan zaczął swój raport - mający służbę w oszklonej  
budce na Wołoskiej, przy pętli autobusowej, schodząc o godzinie ósmej wieczorem  
zameldował w dzielnicy, że około godziny czwartej po południu podszedł do budki  
jakiś handlarz drobną galanterią. Wylegitymował się jako jeden z naszych ludzi i  
poprosił o przechowanie na krótki czas kosza z towarem. Następnie, to milicjant  
pamięta dobrze, ten człowiek skręcił w ulicę Radiową.

- Radiowa? To tam gdzieś niedaleko.

- Tak. Ślepa uliczka wychodząca na Wołoską. Zabudowana małymi domkami  
spółdzielczymi.

- Co dalej? - niecierpliwił się major.

- Otóż aż do godziny ósmej, do momentu zejścia tego milicjanta z posterunku,  
handlarz nie zgłosił się po swój kosz. Milicjant przekazał kosz następcy, ale złożył w  
tej sprawie raport w komendzie dzielnicowej MO. Oni, naturalnie, dali znać wyżej, a  
komenda stołeczna zawiadomiła nas z kolei.

- Kiedy to było?

- Przed pół godziną.

- I dopiero teraz telefonujecie? - złościł się major.

- Po otrzymaniu telefonogramu - tłumaczył się kapitan - natychmiast posłałem  
służbowego wozem do mieszkania Deputy. Właśnie wrócił z wiadomością, że  
Antoni jak wyszedł z domu rano, to do tej pory nie wrócił.

- Tak, mieliście rację, że sprawdziliście. Zaraz przyjadę. Proszę zarządzić  
alarm, zebrać ilu się da ludzi i wejdźcie w porozumienie z komendą milicji, aby dali

nam ze dwudziestu milicjantów ze swojego pogotowia. Musimy szybko działać. Może jeszcze zdołamy uratować mu życie.

Kiedy w piętnaście minut potem major przybył do biura, tutaj oczekiwało już kilku jego współpracowników, ściągniętych alarmowymi telefonami. Kapitan zameldował, że dwudziestu milicjantów pod komendą porucznika Lisiewicza zjawi się lada moment. Sporo ludzi jest w drodze do biura. Wielu, niestety, nie zastano w domu.

- Dziękuję, kapitanie. Będziemy mieli razem przeszło trzydzieści osób. To w zupełności wystarczy. Dajcie mi tylko plan Warszawy.

- Leży przygotowany na tamtym stole.

Major pochylił się nad mapą.

- Tutaj - wyjaśnił kapitan - biegnie ulica Wołoska. Te zabudowania to szpital Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tutaj ciągną się ogródki działkowe, a ta mała, wąska uliczka, to właśnie Radiowa.

Na szczegółowej mapie zaznaczone były nawet pojedyncze domki. W sumie kilkadziesiąt sztuk.

- A to co? - major pokazał ślepy koniec ulicy Radiowej.

- Baza budowlana, a dalej tereny sportowe. Tutaj zaś, na tyłach tych domków, biegnie uliczka bez nazwy. Po prostu droga gospodarcza dla wywozu śmieci z posesji na Radiowej i takich samych ogródków na sąsiedniej ulicy.

W tej chwili do pokoju, wszedł oficer milicji i przedstawivszy się majorowi zameldował, że jego ludzie czekają na dole w samochodzie.

Pałkowski wyjaśnił pokrótce porucznikowi MO zdarzenia ubiegłego popołudnia i cały plan batalii.

- Sami widzicie, poruczniku - major pokazywał na planie - że jeśli Deptuła tu wszedł, nie mógł inaczej wyjść, aniżeli tą samą drogą. Stąd prosty wniosek: żywy lub umarły musi tkwić w jednym z tych domków czy ogródków. Trzeba go jak najprędzej odnaleźć.

- Mogli go wywieźć - zauważył porucznik.

- Nie sądzę. Za duże ryzyko. Nie byli przecież pewni, czy Deptuła nie ma towarzysza, który został na rogu Wołoskiej. Raczej sami uciekli, a jego zostawili.

- Mogli go zlikwidować, a teraz czują się bezpieczni po schowaniu zwłok.

- Nie przypuszczam. Na ogół w naszej pracy bardzo rzadko spotykamy się z zabójstwem. Agent obcego wywiadu unika rozlewu krwi. To mu się nie kalkuluje.



Przede wszystkim zostawia ślady. A poza tym pali wszystkie mosty. Dla takiego, który zabił, nie ma już

- Żadnej szansy ocalenia i przeżycia, jeżeli wpadnie w nasze ręce. A z tym oni bardzo się liczą. - A więc co pan major proponuje?

- Zamkniemy wjazd na Radiową. Wasi ludzie, łącznie z tymi, których ja zabrałem, otoczą gęstym kordonem wszystkie domki. Zasadzka na drodze gospodarczej i w ogródkach. Parę mieszanych patroli, składających się z waszych i moich ludzi, będzie kolejno przeczesywało wszystkie bliźniaki.

- To duża robota.

- Nie tak bardzo. Pamiętajcie, że człowiek nie szpilka i nie tak łatwo go ukryć. Wystarczy obejść wszystkie pomieszczenia w każdym domku. To zajmie patrolowi najwyżej kilka minut.

- Jeżeli go zlikwidowali, to leży gdzieś na tej drodze gospodarczej, albo jest zakopany w którymś ogródku. W nocy trudno będzie znaleźć.

- Gdyby ta pierwsza rewizja nie dała wyników, w dzień zaczniemy już bardziej szczegółową. Rzucimy do akcji tylu ludzi, ile tylko będzie potrzeba. Sprowadzimy psy i saperów. Musimy go odszukać. Za wszelką cenę. Ale myślę, że nie będzie tak trudno.

- Miejmy nadzieję - zauważył porucznik.

- Teraz mamy dziesięć po dziewiątej - major rzucił okiem na zegarek - za piętnaście minut będziemy na miejscu i rozstawimy kordon. Do przejścia domków wystarczą trzy patrole. Jeden poprowadzicie wy, poruczniku, drugi kapitan Mielczarek. Trzeci pójdzie ze mną. Zaczniemy od domków nieoświetlonych. Jestem pewien, że ludzie, którzy nakryli Deptułę, zdążyli opróżnić swoje gniazdko.

- Tak jest, panie majorze, jedziemy.

- Jedziemy!

Za chwilę parę samochodów ruszyło sprzed gmachu kierując się na Mokotów. Zaczęła się obława.

Tymczasem uderzenie, jakie otrzymał Deptuła podczas swojej niefortunnej próby podglądania przez okno Elżbiety Wojciechowskiej i jej współnika, było znacznie silniejsze niż to sądził człowiek zadający cios. Wywiadowca był nieprzytomny ponad godzinę. Odzyskał świadomość dopiero gdzieś po siódmej wieczorem.

Pierwsze wrażenie, to jak gdyby obudzenie się z głębokiego snu. Oczy

błądziły po nieznanym sobie otoczeniu. Chciał się ruszyć. W tym momencie uczuł znowu straszny ból w głowie. Popadł w półomdlenie. Kiedy ocknął się ponownie, przypomniał sobie zdarzenia sprzed kilku godzin..

- Dałem się zająć od tyłu jak ostatni dureń! - pomyślał.

Chciał się poruszyć, ale ciało ani drgnęło. Zrozumiał. Był związany, miał skrepowane ręce i nogi. W miarę odzyskiwania pełnej przytomności stwierdził, że mbcno skrepowane ręce zupełnie mu ścierpły.

W głowie nadal huczało, jak gdyby co najmniej trzech kowali urządziło tam kuźnię i podkuwało cały tabun koni. Deptuła przez dłuższy czas leżał bez ruchu. Popadł w jakiś półsen albo po prostu nabierał sił. Gdy znowu otrząsnął się z tego dziwnego stanu, jego umysł pracował już dużo jaśniej, a siły powoli wracały do kłęczzonego ciała.

Uniósł nieco głowę i rozejrzał się wokoło. W pomieszczeniu panował półmrok. Jedynym niewielkim źródłem światła były dwa owalne otwory. Dzięki temu oświetleniu Deptuła zorientował się, że leży na betonowej podłodze, a pomieszczenie jest garażem. Tym samym, do którego chciał się dostać przed paru godzinami.

W garażu nie było samochodu, a drzwi, przedtem uchylone, teraz były szczelnie zaryglowane. Rozglądając się wokoło wywiadowca spostrzegł drugie, wewnętrzne drzwi prowadzące prawdopodobnie do sąsiednich pomieszczeń suterenu domu. Wzdłuż jednej ze ścian znajdował się wąski, drewniany stół, przypuszczalnie podręczny warsztat, bo widać było umocowane na nim imadło. Dalej wzdłuż tej samej ściany stały kanistry i bańki po oliwie. Obok tego znajdowały się jeszcze dwie zużyte opony.

Dokonując dużego wysiłku fizycznego, Deptuła, mimo związanych rąk i nóg, zdołał usiąść. Znowu poczuł ból w tyle głowy, aż mu w oczach zawiroowało.

- Dobrze mi ten drań musiał przyłożyć - westchnął - całe szczęście, że twardy łeb i wytrzymał. Niewiele brakowało do pogrzebu.

Posuwając się na siedzeniu, jak to robią niemowlęta zanim nauczą się raczkować, Antoni cał po calu przemierzał podłogę garażu kierując się w stronę stołu.

- Całe portki podre - pomyślał - diabeł mnie podkusił, żeby włożyć dzisiaj takie przyzwoite ubranie.

- Już mnie tam ładnie Kryśka przywita, kiedy zjawię się tak późno w domu i na dodatek w ubraniu w strzępach.

Najgorzej dokuczało mu zaklejenie ust plastrem. Mógł oddychać tylko nosem,

a to było niezmiernie męczące. Nic też dziwnego, że wędrując na własnym siedzeniu przez prawie cały garaż, wywiadowca musiał co kilka centymetrów odpoczywać. Pot sływał mu z czoła. W głowie nieraz tak się kręciło, że mało brakowało do ponownego utracenia świadomości. Im bliżej było celu - stołu z narzędziami, tym droga stawała się cięższa, a sił coraz bardziej brakowało.

Całe szczęście, że dwa świetliki umieszczone w drzwiach zewnętrznych garażu dawały jeszcze tyle światła, że w zamkniętym pomieszczeniu panował tylko półmrok. Dzięki temu wywiadowca mógł ułożyć cały plan działania, którego ostatecznym wynikiem miała być wolność.

Natomiast pierwsze zadanie, to przede wszystkim uwolnienie się od duszącego knebla.

Skrepowany człowiek coraz bliżej był warsztatu. Dotarł do niego w z góry wyznaczonym miejscu, akurat na rogu. Na ten róg właśnie liczył wywiadowca. Stół był niewysoki. Jego narożnik sięgał głowy Deputy. Wystarczyło więc nieco się unieść, aby ostry kant znalazł się na równi z ustami zalepionymi plastrem.

Nacisk ciężarem głowy na stół z jednoczesnym usiłowaniem otworzenia zaklejonych ust zaczął przynosić rezultaty. Milimetr po milimetrze plaster powoli zsuwał się z górnej wargi. Jeszcze parę wysiłków i maleńki początkowo otworek, powiększany pracowicie językiem, objął w końcu całe usta.

Antoni z rozkoszą wciągnął powietrze w płuca. Wprawdzie plaster oblepiał mu jeszcze całą brodę, ale nie tamował oddechu. Pierwsze zadanie zostało wykonane. Ale do wolności droga była jeszcze bardzo daleka. Toteż wywiadowca po krótkim odpoczynku wziął się znowu do roboty.

Teraz Deputa oparł się plecami o jedną z nóg stołu, podkurczając jednocześnie swoje własne. Po paru daremnych wysiłkach zdołał wstać. Oczywiście znajdował się tyłem do stołu, lecz dokonanie obrotu, nawet ze skrepowanymi nogami, nie było już takie trudne.

Rozejrzał się. Na stole leżały najrozmaitsze narzędzia używane do drobnych napraw samochodu czy też do majsterkowania w domu. Między innymi wzrok wywiadowcy napotkał szeroki i duży pilnik, tak zwaną raszplę.

- To będzie najlepsze - ucieszył się.

Rozpoczął powolną drogę do miejsca, gdzie leżała raszpla. Na szczęście nie było daleko, a pilnik znajdował się tuż przy krawędzi stołu. Deputa nachylił się i wziął go w zęby. Ze swoją zdobyczą pomaszerował, jeżeli ostrożne poruszanie się

przy pomocy wykręcania stóp można nazwać marszem, w kierunku imadła. Pilnik ciągnął po stole, trzymając jeden z jego końców w zębach. Imadło nie było zamknięte, więc Antoni bez większego trudu umieścił jeden koniec pilnika między jego szczękami. Wprawdzie o zaciśnięciu szczęk i mocniejszym umocowaniu raszpli nie można było nawet marzyć, ale Deptule udało się naprowadzić sznur, którym miał skrepowane ręce, na ostre zęby pilnika. Szło powoli. Nieraz raszpla trafiała nie na sznur, lecz na ciało ręki. Upłynęło chyba co najmniej pół godziny, zanim pierwszy powrót puścił. Ręce, chociaż ciągle jeszcze skrepowane, zyskały jednak pewną swobodę ruchów. Dalsze wysiłki nad ich uwolnieniem nie zajęły więcej jak pięć minut. Rozwiązanie nóg było dziełem jednej chwili.

- No, jestem wolny! - stwierdził z zadowoleniem Deptuła i usiadł na podłodze, aby nieco odpocząć.

Ale do całkowitej wolności było ciągle daleko. Przekonał się o tym wywiadowca, kiedy po odzyskaniu sił zaczął szczegółowo badać swoje więzienie. Wrota garażu sporządzono z solidnych, jesionowych desek. Zamknięcie znajdowało się na zewnątrz. Nie było żadnych szans, aby wydostać się tą drogą. Nawet przy użyciu siły.

Również i małe drzwi prowadzące do wnętrza budynku były zamknięte. Ponieważ miały zwykły zamek, nie przedstawiały już takiej przeszkody, jak brama wjazdowa. Można byłoby je nawet wyłamać przy pewnym wysiłku i przy użyciu jakiegoś cięższego przedmiotu. Deptuła nie chciał jednak robić najmniejszego hałasu, aby nie zaalarmować tych, którzy go skrepowali i uwięzili. Pochylił się więc nad dziurką od klucza i uważnie studiował budowę zamku. Ponieważ w garażu robiło się coraz ciemniej, odszukał kontakt i zapalił światło. Dla pewności malutkie świetliki, znajdujące się w podwójnych drzwiach na zewnątrz, przesłonił jakąś szmatą. Uważał, że może sobie pozwolić na to ryzyko. W razie czego usłyszy przecież zbliżające się kroki i zdąży przekreślić kontakt. A poza tym ma pod ręką dużą, ciężką raszplę... Przymierzał sobie solennie tak nią zaprawić pierwszą wchodzącą do garażu osobę, żeby i ona długo popamiętała ten cios.

Znalezienie kawałka grubego drutu nie nastęczało trudności. Teraz z tego metalu trzeba było sporządzić wytrych i otworzyć zamek wewnętrznych drzwi. Wszystkie narzędzia znajdowały się na stole. Wprawdzie nie można było ryzykować użycia młotka ze względu na hałas, ale spłaszczenie drutu za pomocą szczęk imadła powinno wystarczyć.

Zadanie nie okazało się jednak takie proste, jak Deptuła początkowo przypuszczał. Zatrzask solidnego zamku nie chciał puścić. Trzeba było wielokrotnie zginać drut, płaszczyć go, podpiłowywać i skracać. A jednocześnie ciągle próbować, czy nareszcie wytrych chwyta za rąbek rygla.

W końcu wytrych napotkał opór i rygiel odskoczył z cichym trzaskiem. Drzwi stały otworem. Teraz Deptuła zgasił światło i ostrożnie nacisnął klamkę. Poruszyła się bezszelestnie. Wywiadowca wyszedł na jakąś zupełnie ciemną przestrzeń. Chwilę nasłuchiwał. W domu było zupełnie cicho. Wyciągnął więc zapałki i zapalił jedną.

Od razu zorientował się w sytuacji. Znajdował się po prostu w małym korytarzyku. Po jego obu stronach umieszczone były piwnice, względnie inne pomieszczenia gospodarcze. Antoni dostrzegł przez uchylone, najbliższe drzwi stertę koks. Korytarzyk kończył się betonowymi schodami prowadzącymi w górę. Nim zapałka; zgasła wywiadowca był już przy schodach i zachowując największą ostrożność, piał się nimi na najwyższą kondygnację. Znowu trafił na drzwi.

Nie były zamknięte. Otworzyły się bez szmeru. Teraz Deptuła już nie ryzykował zaświecenia zapałką. Stał długą chwilę. Kiedy wreszcie oko przyzwyczało się do ciemności, odróżnił dwa nieco jaśniejsze kwadraty.

- To pewnie oszklone drzwi - pomyślał - znajduję się w hallu willi, a drzwi prowadzą do pokoiów.

Wybrał lewy kwadrat i ostrożnie się poruszając i macając rękoma, żeby nie zaczepić o jakiś sprzęt stojący na drodze, dotarł do jaśniejszej płaszczyzny. Nie omylił się. To, były rzeczywiście drzwi. Namacał klamkę.

Moment wahał się, czy otworzyć i wejść do pokoju. Mógł tam zastać kogoś śpiącego lub czuwającego w ciemnościach. Ale cóż ostatecznie mu pozostało? Nie było innej drogi, jak za wszelką cenę dążyć do wydostania się na zewnątrz budynku i dotrzeć do najbliższego telefonu lub posterunku MO. Nacisnął klamkę i na palcach wszedł do pomieszczenia, kryjącego się za oszklonymi drzwiami.

Chwilę stał bez ruchu i nasłuchiwał. W pokoju nie było nikogo, bo usłyszałby przecież oddech śpiącej osoby. Pokój tonął w mroku, lecz dwa otwory, chyba okna, zaznaczały się dużo wyraźniej niż w hallu. Wzrok wywiadowcy coraz lepiej przystosowywał się do ciemności. Jego oczy odróżniały już zarysy mebli stojących w tym pokoju. Ruszył przeto przed siebie i wymijając przeszkody dotarł do źródła światła. Nie było to okno, jak przypuszczał, tylko drzwi zasłonięte płócienną, prawdopodobnie malowaną w kolorowe wzory storą. Uchylił ją. Przez szyby

zobaczył ogród oświetlony blaskiem księżyca. Od razu poznał, że znajdował się w pokoju z drzwiami wychodzącymi na taras, z którego przed kilku godzinami usiłował bezskutecznie zajrzeć do wnętrza domu i właśnie te story tak szczelnie zasłaniające drzwi na to nie pozwoliły.

Nacisnął klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły. Były zamknięte na klucz. Pomacał, klucza nie było w zamku. A więc ta droga wydostania się na wolność odpadła. Pozostało jeszcze okno. Wywiadowca znowu nadśluchiwał, ale żaden dźwięk nie dochodził do jego uszu. Za chwilę był już przy oknie. Niestety, nowa przykra niespodzianka. Okno miało kratę i zamknięcie na kłódkę. Antoni widział przecież te kraty, lecz szukając drogi zupełnie o nich zapomniał. Wrócił do drzwi. Wiedział, że nic mu nie da penetrowanie w sąsiednim pokoju. Tam okno też miało kraty, a ponadto znajdowało się wyżej, niż to wychodzące na taras.

Wyjął z kieszeni wytrych. Ostrożnie manipulował nim w zamku. Na szczęście tym razem poszło zupełnie łatwo. Rygiel odskoczył. Drzwi uchyliły się. Deptuła poczuł orzeźwiający prąd świeżego powietrza. Naprawdę był wolny.

Wysunął się z pokoju i znalazł na tarasie. Doskonale widział oświetlone księżycem schody prowadzące w dół, do ogródka. W ogrodzie krzaki i drzewa. Tam gdzieś w głębi musi być siatka, a za nią droga, która wyprowadzi go na ulicę Radiową, gdzie będzie już zupełnie bezpieczny.

Zrobił parę kroków przez taras. Znajdował się przy schodach, kiedy usłyszał jakiś szmer w domu.

- Spozregli się, że uciekłem - ta myśl przeszła mu przez głowę błyskawicznie i natychmiast powziął decyzję - trzeba wiać ile sił w nogach!

Zeskoczył z tarasu na ziemię i całym pędem ruszył w głąb ogrodu. Nagle od jednego z drzew oderwał się jakiś cień i skierował naprzeciwko biegnącego człowieka. Ale Deptuła był szybszy, a strach dodał mu sił. Potężny prawy sierpowy wylądował na szczęce napastnika, który jak podcięte drzewo, nawet bez jęku, runął na ziemię.

- Odpłaciłem draniowi - pomyślał Deptuła biegnąc w stronę zbawczej siatki.

Przeskoczył ją jednym susem. Takiego skoku nie powstydziliby się nasz najlepszy skoczek, Czernik. Wprawdzie po skoku przewrócił się, ale natychmiast stanął na nogi..

Wtedy spostrzegł, że jest otoczony. Kilku ludzi biegło w jego stronę. Zatrzymał się i zmienił kierunek ucieczki. Tu jednak znowu wyrosły jak spod ziemi

nowe postacie. Jedna była tuż przy nim.

Deptuła postanowił walczyć. Pierwszemu nadbiegającemu napastnikowi wymierzył krótki, plasowany cios w żołądek. Taki, o jakim bardzo często zapominają podopieczni trenera Stamma, walczący na ringu bokserskim. Napastnik tylko się zwinął. Następny dostał kopniaka i odrzuciło go aż na siatkę. Ale w tym momencie ktoś podstawił Deptule nogę i runął on na ziemię. Chciał się zerwać, lecz kilkanaście rąk trzymało go silnie. Wywiadowca wrywał się, kopał, usiłował bronić się zębami, wszystko na próżno. Trzymano go ze wszystkich stron. Ktoś klęczał na jego plecach i wykręcał mu rękę do tyłu.

Obezwładniony człowiek poczuł dotknięcie zimnego metalu na rękach i usłyszał jeszcze trzask automatycznego zamka. Teraz go puszczono. Leżał na brzuchu, miał ręce skrepowane z tyłu, a głowę w trawie. Napastnicy otaczali go wokół. Ciężko dyszeli po walce. Ktoś oświetlił go latarką elektryczną.

Ale sukinsyn! - Deptuła usłyszał czyjś głos. - Chciał mnie ugryźć.

Tak mnie trzasnął w brzuch, że aż mdli - ten głos był głuchy i bezbarwny.

A widzieliście jak tego wojskowego skosił? Tam w ogrodzie? Jednym uderzeniem ręki - prócz złości w głosie brzmiał i akcent podziwu.

Tego kapitana?

Nie, to chyba był porucznik.

Będzie miał drań za swoje.

„Kapitan”... „Porucznik”... W umęczonej głowie Deptuły zaczęło się rozjaśniać. Usiłował się odwrócić i obejrzeć napastników.

- Panowie - powiedział dźwigając nieco głowę nad trawę - to jakieś nieporozumienie. Ja przecież...

- Leż łobuzie! - warknął ktoś nad nim. - Spokojnie. Ani słowa. Bo jak przyłożę pałką, to ruski miesiąc popamiętasz.

- O nieporozumieniu będzie cholernik mówił. A kto mnie tak kopnął? Mało mi piszczeli nie złamał. Boli jak wszyscy diabli.

- A mnie chyba oko podbił. Dam mu nieporozumienie!

- Trzeba zawiadomić naszego porucznika i tego ich majora, że jednego ptaszka już mamy.

Orzechowski pobiegł odszukać ich obu.

Obawy Deptuły zamieniły się w pewność. Walczył, nie, jak sądził, z bandą szpiegów, lecz ze swoimi kolegami i milicją, która szła mu na pomoc.

- Dopiero mnie wezmą na języki. Ciekaw jestem, którego porucznika tak urządziłem w ogrodzie. Przez pięć lat wiara będzie się ze mnie śmiała przy każdej okazji.

Biedny wywiadowca wolałby chyba być naprawdę w rękach przeciwników. Leżał bez ruchu i nie odzywał się. Cóż tu zresztą było do mówienia.

Niedługo potem wywiadowca usłyszał lekkie skrzypienie żwiru. Zbliżało się parę osób.

- Pokażcie tego zakapiora - rozległ się głos. Deptuła poznał majora Pałkowskiego. Ktoś niezbyt delikatnym ruchem odwrócił leżącego człowieka twarzą do góry. Strumień światła z kilku latarek skoncentrował się na jego twarzy.

- O rany boskie! - zawołał major. - Przecież to Deptuła. Ten, którego szukamy.

- Jak to? - zdziwił się inny, nieznany wywiadowcy głos. - Przecież on uciekał. Ujęto go po walce.

- Bronił się jak cholera. A tego wojskowego jak mu przyłożył w ogródku, do tej pory nie możemy docucić.

- Porucznika Pałkowskiego?

- Nie wiemy, panie majorze. Może i on, bo porucznik. Myśmy pilnowali tu na drodze, a on przeskoczył siatkę i stanął tam za drzewem. Porucznik pierwszy dostrzegł uciekającego i chciał zagrozić mu drogę.

Ciągle leżący na ziemi Deptuła widział teraz wyraźnie, że koło majora Pałkowskiego stoi jakiś oficer milicji, zaś ludzie, którzy go złapali i którym tak się bohaterko wrywał, to mundurowi milicjanci niższych stopni.

Porucznik MO roześmiał się w głos.

- A to świetny kawał - powiedział - udała się nam obława, ani słowa.

Zdejmijcie mu kajdanki - rozkazał swoim ludziom.

Milicjanci bardzo niechętnie spełnili to polecenie. Deptuła, chwiejąc się, wstał i przybierając postawę zasadniczą zameldował.

- Panie majorze, melduję, poszukiwani osobnicy ukrywają się w tej willi. Jest z nimi Elżbieta Wojciechowska.

- Ukrywają się! Powiedzcie: „ukrywali się” - major był wściekły - a kto ich spłoszył?

- Panie majorze, oni mnie napadli i ogłuszyli. Dopiero teraz zdołałem się uwolnić i wydostać z tego domu.



- Jak to było?

- Stałem na rogu Radiowej i zauważyłem, że jeden z poszukiwanych osobników skierował się w tę ulicę i wszedł do któregoś domu. Więc zostawiłem kosz u milicjanta w budce i poszedłem wysledzić, w którym domu. To było w tym. Kiedy zaglądałem do okna, jeden z nich zaszedł mnie od tyłu i ogłuszył.

- A jakie były rozkazy? - Głos majora był coraz bardziej surowy.

Deptuła milczał.

- No, jakie były rozkazy! - złościł się oficer.

- Meldować o każdym spostrzeżeniu - wykrztusił Deptuła.

- Pięknie. Rozkazy znacie, tylko nie umiecie ich wypełniać. Gdyby nie wasza lekkomyślność, mielibyśmy już całą trójkę. Przecież z tego saka już by nam się nie wymknęli. A wyście swoją nadgorliwością wszystko zepsuli. Za mało wam przyłożył. Ja bym was...

- Od nas też mu się trochę dostało - zauważył półgłosem jeden z milicjantów.

- A ten, nie dość, że nabroił bez rozkazu, jeszcze mi ludzi uszkodził. Jak tam porucznik Falkowski?

- W porządku - odezwał się któryś z wojskowych - narzeka jedynie, że mu się w głowie kręci.

- Ja bym temu zakręcił...

- Panie majorze, chciałem jak najlepiej - Deptuła usiłował się tłumaczyć - nie miałem pewności, gdzie wszedł podejrzanym. Chciałem sprawdzić.

- Po to są rozkazy, żeby je wykonywać. Słuchajcie, Deptuła, wy już nic nie gadajcie, bo to może gorzej dla was się skończyć - zżymał się major.

Biedny wywiadowca stał wyprostowany jak struna i milczał. Sam dobrze rozumiał, że poniósł go myśliwski temperament i gniew zwierzchnika jest uzasadniony.

- Poruczniku - major zwrócił się do oficera milicji - niech pan zwija obławę. Nikogo więcej nie znajdziemy. Ten fafuła wszystko popsuł. Obejrzymy tylko willę i postawimy przed nią posterunek. Jutro, za dnia, przeprowadzi się szczegółową rewizję.

To mówiąc major w towarzystwie porucznika MO skierował się w stronę ulicy Radiowej. Deptuła ruszył za nimi.

- Słuchaj, koleś - zauważył milicjant, którego wywiadowca kopnął w nogę -

bez pół litra to się nie obejdzie po pracy. Kulas mnie boli jak jasny gwint.

- A moje podbite oko, to pies? - przymówił się inny.

- Mnie rąbnął w żołądek!

- Panowie, bardzo przepraszam. Przecież ja nie chciałem. Nie wiedziałem, że to wy... A co do tego szkła, nie będziemy się targować, załatwimy polubownie.

Zgoda?

- Niech już będzie zgoda. - Kilka rąk wyciągnęło się do wywiadowcy. - Ale umiesz bić. To ci trzeba przyznać.

W opuszczonej willi zabłyśły światła we wszystkich oknach. Major wraz ze współpracownikami i porucznikiem MO obchodził pokoje, pobieżnie rzucając okiem na znajdujące się w nich rzeczy. W jednym z pomieszczeń na parterze znaleźli dwie duże walizy i stos ubrań porzuconych na podłodze.

- Tak jak przewidywałem, uciekli w najwyższym pośpiechu. Gdyby nie ten bałwan - denerwował się znowu major - mielibyśmy teraz w ręku całą trójkę.

- Kazałem sprawdzić - wyjaśniał porucznik - do kogo należy ten „bliźniak”. Właścicielem i jedynym w tej chwili jego mieszkańcem jest Stefan Zakrzewski, pracownik biura ewidencji ludności stołecznej rady narodowej.

- Dobra melina i dobra firma.

Przeszli do jednego z pokoi na górze. Od razu rzuciło się w oczy, że tu mieszkała kobieta. Na krześle wisiał damski szlafrok, na toaletce stały różne drobiazgi kosmetyczne. W otwartej szafie pozostało parę sukienek. Tu też nietrudno było spostrzec, że mieszkanka tego pokoju opuszczała go w panice.

Jeden z oficerów podszedł do toaletki i machinalnym ruchem otworzył górną szufladę. Była ogołocona z rzeczy. Jedyne co pozostawiono, to małą, damską chusteczkę. Wojskowy wziął w dwa palce białą szmatkę i rozwinął ją. Na delikatnym jedwabiu widniał niezdarny, w pośpiechu skreślony napis w czerwonym kolorze. Zamiast pióra czy ołówka piszący użył pomadki do ust. Farba trochę się rozeszła i przy zwijaniu chusteczki w paru miejscach poplamiała materiał. Mimo to można było odczytać napis: „Elżbieta Wojciechowska”

- No proszę - roześmiał się oficer - pierwszy raz widzę taki oryginalny bilet wizytowy. Ciekawe, dlaczego ta kobieta zostawiła tutaj tę chusteczkę? Chyba nie zrobiła tego przypadkiem? Czyżby chciała nas zawiadomić, że przebywała w tej willi?

Major Pałkowski nic nie odpowiedział na te pytania. W duchu jednak musiał

przyznać, że ten dziwny „bilet wizytowy” nie pasował do takiego wizerunku Elżbiety Wojciechowskiej, jaki wyłaniał się z innych dokumentów śledztwa.

### **Incydent w Częstochowie**

Pociąg pośpieszny, wychodzący z Warszawy w godzinach wieczornych, a przyjeżdżający do Wiednia z rana, zwany nie wiadomo dlaczego „Chopinem”, około północy zatrzymuje się na trzy minuty w Częstochowie. Pociąg ten w „świętym mieście” nie cieszy się wielką frekwencją. Mieszkańcy Częstochowy bardzo rzadko jeżdżą do Wiednia, natomiast do Katowic mają wiele dogodniejszych połączeń.

Nic więc dziwnego, że tej sierpniowej nocy na peronie częstochowskim poza pocziarzami ładującymi przesyłki, wózkiem bagażowym kolejarzy i dyżurnym ruchu nie było nikogo. Z ekspresu wysiadły dwie osoby które podnosząc kołnierze swoich ortalionowych płaszczy, bo noc jak zwykle pod koniec sierpnia była dość chłodna, szybko skierowały się w stronę podziemnego przejścia do miasta.

Dyżurny ruchu stał obok wielkiej elektrycznej lokomotywy i rozmawiał z maszynistą na wpół wychylonym z okienka. Jednocześnie kątem oka spoglądał na bagażowych i ambulansjerów, czekając z odprawieniem składu aż do zakończenia przez nich roboty. Gdy tylko trzasnęły zasuwane drzwi wagonu bagażowego, a za chwilę podobny odgłos oznajmił, że i pocztowcy uporali się z pracą, dyżurny pożegnał się z maszynistą i podniósł w górę „lizak” - pałeczkę z zieloną tarczą.

„Gotów!” - kolejno odkrzyknęli konduktorzy, stojąc przy swoich wagonach i podnosząc w górę latarki. „Gotów!” - powtórzył dyżurny ruchu. Maszynista przesunął dźwignię. Pociąg lekko drgnął. Koła wagonów zaczęły się obracać. Najpierw bardzo wolniutko, następnie coraz prędzej. Doświadczony mechanik tak umiejętnie uruchomił pociąg, że chyba nikt z podróżnych nie zauważył w pierwszym momencie, że już jedzie. Ale za chwilę pęd elektrycznego ekspresu gwałtownie wzrósł. Do Katowic jeszcze kawał drogi, a pośpieszny miał cztery minuty opóźnienia. Maszynista chciał to nadrobić.

Gdy pociąg nabierał szybkości, nagle w międzynarodowym wagonie sypialnym otworzyło się jedno okno. To w toalecie. W oknie ukazała się zgięta postać kobieca, która wyrzucając do przodu nogi, zgrabnie wyskoczyła na peron. Wprawdzie potknęła się i straciła równowagę, ale natychmiast zerwała się i pobiegła w stronę tunelu.

Nieczęsto podróżni w ten sposób wysiadają z pośpiesznych pociągów międzynarodowych. Co dziwniejsze, kobieta była bosa i tylko w różowej piżamie. Gdyby na peronie znajdowało się więcej osób, taki „jeleni skok” musiałby wzbudzić zrozumiałą sensację. Ale tej nocy trzech kolejarzy i jeden pocztowiec patrzyło w drugą stronę, na przesuwaną się przed nimi wagony ekspresu. Toteż nikt nie zauważył incydentu, a dziewczyna natychmiast zniknęła w podziemnym przejściu.

Kolejarz pełniący służbę przy wyjściu z peronów bardzo się zdziwił, gdy nagle z tunelu wyłoniła się postać kobieca w czymś różowym i kierując się wprost na niego zapytała:

- Gdzie tu jest milicjant?

Co się pani stało? Wyleciała pani z wagonu? Pani upadła?

Czy na dworcu jest milicjant? Proszę mnie natychmiast do niego zaprowadzić.

Jest posterunek milicji. Trzecie drzwi z tej strony. Niech pani idzie tędy - kolejarz wskazał peron ciągnący się wzdłuż budynku dworcowego. Widząc jednak, że kobieta ma potłuczone i zadrapane dłonie, a także zabrudzone ziemią spodnie piżamy, dodał:

- Niech pani idzie ze mną. Zaprowadzę.

W pomieszczeniu milicji dworcowej za stołem siedział tylko jeden dyżurny kapral. Widocznie koledzy mieli obchód, albo po prostu uznano, że w godzinach najmniejszego ruchu jeden przedstawiciel MO w zupełności tu wystarczy. Jego również zdziwił widok co najmniej oryginalnego stroju interesanta.

- Co się wam stało, obywatelko?

- Wskoczyłam z pociągu. Proszę mnie skontaktować z kierownikiem posterunku albo innym oficerem milicji.

Milicjant w pierwszej chwili sądził, że ma do czynienia z wariatką. Siwowłose panie w wieku pięćdziesięciu lat na ogół nie wyskakują w piżamach z pociągów. Ale kiedy uważniej przyjrzał się stojącej przed nim kobiecie, coś mu przyszło na myśl, bo szybko otworzył szufladę stołu i zerknął na znajdujące się tam papiery. Po czym rzekł:

- Zdejmijcie, obywatelko, obrączkę.

Starszej pani nie zdziwiło bynajmniej zachowanie się przedstawiciela władzy. Bez sprzeciwu zaczęła ściągać złote kółeczko z serdecznego palca prawej ręki. Musiała nawet poślinić palec, bo obrączka stawiała opór. Gdy wreszcie zsunęła ją z palca, podała milicjantowi. Ten zajrzał do środka i odczytawszy znajdujące się

wewnątrz literki i datę, powiedział z tryumfem:

Wy jesteście Elżbieta Wojciechowska. Muszę was zatrzymać!

Tylko o to mi chodzi - ucieszyła się kobieta - ale skontaktujcie mnie jak najszybciej z kierownikiem posterunku.

Kierownik nie jest w tej chwili na służbie - odpowiedział milicjant. -  
Zadzwoń do powiatowej komendy milicji.

Nakręcił numer. Uzyskał połączenie z dyżurnym oficerem i zameldował z zadowoleniem:

- Obywatelu kapitanie! Tu kapral Ozimek z posterunku dworcowego. Melduję, że zatrzymałem Elżbietę Wojciechowską poszukiwaną listem gończym. Właściwie nie zatrzymałem - poprawił się - tylko sama zgłosiła się na posterunek i prosi o rozmowę z jakimś oficerem milicji. Proszę o instrukcje.

Przez pewien czas słuchał odpowiedzi.

- Tak jest, obywatelu kapitanie. Zrozumiałem. Jak najszybciej. Zgodnie z rozkazem. Jakimkolwiek samochodem, który będzie na dworcu. Tak jest.

Odłożył słuchawkę.

- Mam rozkaz natychmiast was odwieźć do komendy milicji. Jedziemy!

Wstał, obciągnął mundur, i przepuszczając przed sobą różową kobiecą postać, zamknął na klucz lokal posterunku.

- Tędy, obywatelko - informował pokazując drogę przez dworzec.

Na placu stało parę taksówek. Podeszli do pierwszej. Milicjant otworzył drzwi.

- Siadajcie - polecił kobiecie. - Do komendy MO - dorzucił pod adresem kierowcy.

Tego również zdziwił niezwykle strój pasażerki, która wcale nie robiła wrażenia urzędniczki. Zresztą pijanej nie wieźliby do komendy, lecz do izby wytrzeźwień. Ale stary kierowca wiedział, że w takich wypadkach nie należy milicji o nic pytać, bo i tak nie dostanie się odpowiedzi. Więc bez słowa nacisnął starter i wóz ruszył, aby zatrzymać się dopiero przed gmachem komendy. Dyżurny milicjant był już uprzedzony i poinformował kolegę;

- Na pierwsze piętro. Kapitan czeka. Pokój 114. Milicjant wprowadził Elżbietę Wojciechowską do

pokoju, w którym znajdował się milicjant z dystynkcjami kapitana i jakiś cywil. Obaj mężczyźni z zaciekawieniem przyglądali się kobiecie. Kapral Ozimek

zameldował doprowadzenie zatrzymanej.

- Dziękuję wam - oficer odprawił kaprała - wracajcie na dworzec. Ale jutro rano przyslijcie protokół całego zajścia. Zanotujcie, że sama się zgłosiła.

Kaprał zaszalutował i wyszedł.

Pani Elżbieta Wojciechowska? - Zapytał pan w cywilnym ubraniu - żona Adama Wojciechowskiego? Zamieszkała w Warszawie przy ulicy Żłotej? Skąd się pani wzięła na dworcu w Częstochowie?

Wyskoczyłam z pociągu w biegu, z wagonu sypialnego. Tam w przedziale z numerami 10 i 11 jedzie obywatel austriacki Hans Schwalbe. A w przedziale z numerem łóżka 9 Austriak Johann Miler. Paszporty są fałszywe. Schwalbe, to szpieg o nazwisku Werner Baumvogel, obywatel Niemieckiej Republiki Federalnej. Miler to Polak, Stefan Zakrzewski, też agent wywiadu. Uciekają za granicę. Chcieli i mnie wywieźć. Zdołałam uciec.

Mężczyzna w popielatym garniturze nie zadawał żadnych pytań i nie okazywał zdziwienia. Podniósł słuchawkę i nakręcił jakiś numer. Dyktował:

- Pociąg pośpieszny. Wagon sypialny idący do Wiednia. Miejsca sypialne 10, 11 i 9. Nazwiska Hans Schwalbe i Johann Miler. Mogą się legitymować innymi dowodami, na przykład Werner Baumvogel i Stefan Zakrzewski. Jechała z nimi kobieta. Wyskoczyła z pociągu w Częstochowie.

Na chwilę odjął słuchawkę od ucha.

- Jakim nazwiskiem pani się posługiwała?

- Helga Schwalbe. Rzekoma żona Hansa Schwalbe. Jechałam razem z nim w jednym przedziale.

- Słuchajcie, ta co wyskoczyła w Częstochowie, miała papiery na nazwisko Helga Schwalbe. Jej paszport musi mieć przy sobie Hans Schwalbe. Zatrzymać obu rzekomych Austriaków. O zatrzymaniu natychmiast zawiadomić Warszawę i zatelefonujcie też do mnie. Rzekoma Helga Schwalbe to Elżbieta Wojciechowska poszukiwana listami gończymi. Zgłosiła się dobrowolnie. Zawiadomcie Warszawę o wszystkim.

Cywil odłożył słuchawkę i zwrócił się do Elżbiety:

- Już nam ta „jaskółka” nie ucieknie.

Kobieta w różowej piżamie uśmiechnęła się. Schwalbe, to po niemiecku właśnie jaskółka.

- Będę spokojna dopiero wówczas, kiedy dowiem się, że obaj są w waszych

rękach.

- Prędzej czy później na pewno to nastąpi - uspokajał dziewczynę kapitan MO.

- Nie będziemy pani teraz przesłuchiwać - rzekł cywil - za chwilę odezwie się Warszawa, która wyda nam dyspozycje co do jej osoby. Tymczasem... Może pani głodna?

- Dziękuję, nie. Nie przełknęłabym ani kęsa. Jeśli można prosić o coś, to jedynie o trochę kawy. No... i może jakieś ubranie i coś na nogi. Jestem boso.

Kapitan uśmiechnął się.

- Zaraz przygotujemy filiżankę mocnej kawy. To pani dobrze zrobi. A co do ubrania, moja żona jest mniej więcej pani wzrostu. Może trochę tęższa. Zadzwoń do niej, żeby przejrzała swoją garderobę.

- Dziękuję. Ale to chyba za dużo kłopotu. Przecież jest po północy i żona pewnie dawno śpi. Wystarczy jakiś płaszcz. Choćby mundurowy. Przypuszczam, że zostanę odwieziona do Warszawy?

- Żona przyzwyczajona. Nieraz ją budzę o rozmaitych porach nocy i proszę o wykonanie różnych, dziwacznych pozornie poleceń. Taki los żon milicjantów, że i one muszą brać udział w pracy mężów.

- W takim razie poproszę o jakąś sukienkę i coś na nogi. Bieliznę mam pod piżamą. Wiedziałam, że będę próbowała uciekać w tym stroju. Tylko w butach nie mogłam się położyć. Może znajdą się jakieś tenisówki albo trampki. Nie wiem, jaką nogę ma pańska żona, a sznurowane obuwie pasuje od biedy na każdą stopę.

Nie upłynęło pół godziny, gdy odezwały się Katowice. Zawiadamiwały, że niestety pociąg pośpieszny już odszedł w kierunku granicy Czechosłowacji i rzekomych Austriaków nie zdołano zatrzymać. Telefonogram z Częstochowy przyszedł zbyt późno. Ale nic straconego, wydano polecenie i szpiedzy zostaną aresztowani na granicy.

Tymczasem kapitan wziął samochód, by powrócić niedługo z sukienką żony i białymi tenisówkami. I jedno i drugie było na Elżbietę za duże. Pomimo to wyglądała w tym stroju lepiej, niż w przybrudzonej przy upadku różowej piżamie. A po wypiciu filiżanki kawy, „starszej pani” powróciły rumieńce.

Wkrótce też odezwała się Warszawa. Telefon przyjmował ten sam kapitan MO, który tak troskliwie starał się o ubranie dla uciekinierki. „Warszawa” polecała odwiezienie aresztowanej z samego rana do stolicy, do dyspozycji kontrwywiadu,

personalnie majora Jana Pałkowskiego.

- Elżbieta Wojciechowska sama się zgłosiła do nas - prostował kapitan - wcale jej nie aresztowaliśmy.

Z drugiej strony drutów padły jakieś polecenia. Oficer MO odłożył słuchawkę i nieco zmieszany zwrócił się do Elżbiety:

- Przykro mi bardzo, ale mam rozkaz aresztować panią. Rano zostanie pani przewieziona naszym samochodem do Warszawy. Pisemną decyzję aresztowania, wydaną przez prokuratora, otrzyma pani już tam, przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Niech pan się nie przejmuj, kapitanie. Od wielu dni nie marzyłam o niczym innym, jak tylko o aresztowaniu mnie. Jestem przekonana, że znajdzie się tu jakaś cela, w której będę mogła trochę się przespać, bo przyznaję, po wszystkich przeżyciach ostatnich dni jestem piekielnie zmęczona.

Oficer naradzał się szeptem z cywilem.

- Myślę - zauważył - że obejdzie się bez celi. W sąsiednim gabinecie, który będzie pusty aż do rozpoczęcia godzin urzędowania, znajduje się wygodna kanapka. Tam pani się prześpi. Wyjedziecie do Warszawy przed, ósmą, więc właściciel gabinetu na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Trudno, ale zamknę panią na klucz. Dam też jej swój ciepły płaszcz do przykrycia się. To wszystko, co w tej sytuacji możemy zrobić.

Elżbiecie nie było jednak sążone spać tej nocy, bo znowu zadzwoniły Katowice.

Tym razem wiadomości nie były dobre. Gdy ekspres zatrzymał się na granicznej stacji, nie znaleziono w nim poszukiwanych obywateli austriackich, Hansa Schwalbego i Johanna Milera. Konwojent wagonu sypialnego, zapytany o swoich pasażerów odpowiedział, że zgodnie z wersją podaną przez podróżnych, żona pana Schwalbego dostała nagłego rozstroju nerwów i niespodziewanie wysiadła z pociągu w Częstochowie. Wobec tego obaj mężczyźni również zdecydowali się przerwać podróż i opuścili pociąg, gdy ten zatrzymał się w Katowicach. Nikt im nie czynił żadnych przeszkód.

Elżbieta Wojciechowska zbladła słysząc tę nowinę.

- Musicie ich złapać. Za wszelką cenę. Zanim zdołają opuścić granice Polski.

- Proszę być spokojną. Już nam się nie wymkną. Na pewno w tej chwili Katowice nadają listy gończe »a całą Polskę. Sieć została zarzucona i „jaskółka” musi



w nią wpaść. To tylko kwestia czasu.

- Wiem mniej więcej w jaki sposób będą próbowali dalej uciekać - stwierdziła Elżbieta - każdy z nas, agentów wywiadu, miał parę adresów bądź skrzynek kontaktowych na wypadek alarmu, bądź „spalenia się”. Przypuszczam, że „mety” Baunwogela i moje są identyczne.

- Proszę, niech pani zeznaje - zaproponował cywil.

- A więc Katowice - zaczęła Elżbieta - skrzynka kontaktowa mieści się w... dalej Kraków, Starowiślna, warsztat reperacji piór kulkowych w trzecim domu od rogu ulicy, pierwsze piętro. Zakopane, punkt przerzutu za granicę, pomocnik kucharza w hotelu „Carlton”...

Jeden z oficerów notował zeznania, drugi zaś natychmiast przekazywał do wymienionych przez Wojciechowską miejscowości polecenia poddania ścisłej obserwacji ujawnionych punktów i ewentualnego zatrzymania obu szpiegów, których dokładny rysopis uzyskano od Elżbiety.

Tej nocy na sieci telefonów milicyjnych panował wielki ruch. Setki ludzi zajmowało wskazane im stanowiska. Gigantyczna obława na dwóch szpiegów już się zaczynała. Oni tymczasem zniknęli gdzieś w mrokach uśpionych nocą Katowic. Ale ujęcie ich, zwłaszcza po informacjach udzielonych przez Elżbietę Wojciechowską, było - jak słusznie twierdził kapitan z częstochowskiej komendy MO - tylko kwestią czasu.

Rozwidniło się zupełnie, kiedy dwaj oficerowie skończyli pracę. Ze współczuciem patrzyli na Elżbietę. Dosłownie słaniała się na nogach.

- Za trzy godziny wyjedzie pani z Częstochowy - powiedział kapitan - niech pani wykorzysta ten czas chociaż na krótki odpoczynek.

- Wyśpię się w więzieniu, w Warszawie, za wszystkie lata - brawurowała młoda kobieta.

Niemniej ledwie wyciągnęła się na wskazanej jej kanapce, natychmiast zapadła w ciężki sen. Kilka minut po siódmej oficer milicji obudził swojego więźnia.

- Czas wstawać - powiedział, gdy po kilkakrotnym potrząśnięciu za ramię dziewczyna otworzyła oczy

- filiżanka kawy na śniadanie już czeka - i w drogę. Oczywiście jedzie pani pod konwojem. Nie będziemy skuwali rąk, ale muszę uprzedzić, że milicjanci mają rozkaz bezwzględnego użycia broni w razie najmniejszej próby ucieczki.

Kapitan uśmiechał się lekko wypowiadając to sakramentalne ostrzeżenie.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że ta kobieta nie po to wyskakiwała z międzynarodowego ekspresu, dobrowolnie zgłosiła się na milicję i dobrowolnie złożyła tak obszerne zeznania, aby teraz uciekać. Jednakże przepisom regulaminu o transporcie aresztowanych musiało stać się zadość.

Do widzenia w Warszawie - Elżbieta usiłowała żartować - być może zobaczymy się na moim procesie. Kto wie, czy nie powołam pana na świadka, na dowód, że sama się zgłosiłam i jak umiałam, tak starałam się pomóc przy ujęciu tych dwóch.

Niech pani to zrobi. To może mieć znaczenie. Chętnie będę zeznawał, jeżeli mnie zavezwą. A po tym, niech pani kiedyś przyjedzie do Częstochowy... Już „prywatnie”, w odwiedziny do nas.

Do widzenia... prywatnie - dziewczyna w towarzystwie dwóch milicjantów wsiadła do samochodu, który natychmiast ruszył.

### **Edukacja szpiega**

Pełniący służbę sierżant wprowadził aresztowaną do gabinetu i cicho zamknął drzwi. Major Pałkowski obrzucił przybyłą ciekawym spojrzeniem. Miał wprawdzie jej rysopis i zdjęcia fotograficzne, ale chciał skonfrontować je z rzeczywistością. Przed nim stała kobieta średniego wzrostu, szczupła i zgrabna, o długich nogach. Z młodą twarzą o regularnych rysach i dużych zielonych oczach kontrastowały siwe włosy. Siwe nie tą siwizną, na jaką barwią włosy młode dziewczyny, lecz taką, jak zwykle mają starsze panie niezbyt dbające o kosmetykę. Jedyne ciemniejsza smuga u nasady czoła świadczyła, że włosy przemalował zręczny charakteryzator, „robiąc” je specjalnie na stare.

- Jeżeli i twarz była równie sprytnie zmieniona - pomyślał major - to istniało realne niebezpieczeństwo, że nasza rybka zdołałaby umknąć za granicę.

Kobieta ubrana była w niezbyt dopasowaną dla niej suknię. Na nogach miała białe tenisówki mocno przybrudzone.

- Proszę, niech pani siada -, major wskazał krzesło stojące przed biurkiem.

Aresztowana zajęła miejsce.

- Tu leżą papierosy i zapalki.

- Dziękuję, nie palę.

Oficer wyjął z szuflady duży arkusz, druk protokołu przesłuchania

podejrzanego i zaczął wypełniać pierwsze rubryki.

Gdy doszedł do personaliów, zapytał:

- Znamy panią pod nazwiskiem Elżbieta Wojciechowska, Elżbieta Kaczmarek i Monique Leclerc. Przypuszczam, że nawet to ostatnie nie jest prawdziwe?

Przesłuchiwana uśmiechnęła się.

- Wiecie nawet o Monique? Nigdy nie przypuszczałam. Proszę więc zapisać Elza Opiola. Po niemiecku Else Opiola.

- Data i miejsce urodzenia?

- 9 maj 1936. Jestem w rzeczywistości o prawie dwa lata starsza, niż ta biedna dziewczyna, Elżbieta Kaczmarek, w której postać wcieliłam się ostatnio. Urodziłam się w Wielkiej Wsi, powiat opolski. Imię ojca Stanisław, matki Helga z domu Weber.

- Miejsce zamieszkania?

- Warszawa, ulica Złota.

- Pytam o prawdziwy adres, a nie o kolejne mieszkania po przybyciu do Polski.

- Munchen, po polsku Monachium, Königsstrasse 19.

- Stan cywilny?

- Mężatka. Pan przecież wie, że wyszłam za mąż za inżyniera Adama Wojciechowskiego.

Major uśmiechnął się drwiąco.

- Nie chodzi nam o tę komedyjkę. Pytam o stan faktyczny.

Kobieta zaczerwieniła się.

- Proszę więc napisać „panna”.

- Wykształcenie?

- Inżynier magister elektryk i magister fizyki. Skończyłam dwa fakultety.

Wydział elektryczny politechniki w Monachium i fizykę na tamtejszym uniwersytecie.

- Jakimi językami pani włada?

- Biegłe: polski, niemiecki, angielski i francuski. Słabiej rosyjski i włoski.

Major zapisał wszystkie dane i zadał następne pytanie.

- Narodowość?

- W tej chwili uważam się za Polkę.

- Pytam o stan faktyczny.

- Powiedziałam, że uważam się za Polkę i proszę tak zapisać - po raz pierwszy

w głosie dziewczyny zabrzmiał twardy, stanowczy akcent.

- Obywatelstwo?

- Od urodzenia niemieckie, Trzeciej Rzeszy. Następnie polskie, później Niemieckiej Republiki Federalnej i z kolei, wskutek zamążpójścia, znowu polskie.

- Pominiemy tę ostatnią sprawę - stwierdził major.

Przez chwilę zapisywał odpowiedzi, po czym zabrał głos:

- Elza Opiola, jest pani podejrzana, że jako członek obcego wywiadu prowadziła pani w Polsce działalność skierowaną przeciwko państwu, a to przez zbieranie i przekazywanie za granicę wiadomości, stanowiących tajemnice państwowe i istotnych dla obronności kraju. Czy pani przyznaje się do winy?

- Przyznaję - odpowiedziała przesłuchiwana spokojnym głosem - ale tylko częściowo. Moja wina jest mniejsza, niż pan sądzi.

- Jak mam to rozumieć?

- Przyznaję się, że jestem szpiegiem. Przybyłam tu dla zbierania informacji, ale zadania nie spełniłam. Niczego, żadnej wiadomości nie przekazałam do centrali. Chyba, że uważa pan za szpiegostwo ten śmieszny pasek papieru z maszyny liczącej, zawierający jakieś nieważne obliczenia wytrzymałości fundamentów na obciążenie maszynami. Musiałam to zrobić, ta taśma ocaliła mi życie. Gdyby nie ona, leżałabym w przygotowanym już grobie w ogródku pewnej willi na Mokotowie.

- Ulica Radiowa - uzupełnił major.

- Pan wszystko wie - w głosie kobiety zadźwięczała nutka podziwu. - Uczono mnie, że polskiego kontrwywiadu nie potrzebuję się obawiać, gdyż jest nieudolny i mało operatywny. Widzę, jak bardzo się mylono, a może tylko świadomie wprowadzano mnie w błąd?

- Muszę panią poinformować, że zgodnie z polskim ustawodawstwem ma pani prawo jako podejrzana o popełnienie przestępstwa i przesłuchiwana w tym charakterze odmówić składania zeznań, nie odpowiadać na poszczególne pytania, a nawet zeznawać nieprawdę. Czy pani chce złożyć zeznania?

- Chcę. Powiem wszystko. Całą prawdę.

- A więc słucham.

- Zaczę od początku. Nie chcę się usprawiedliwiać ani szukać wytłumaczenia dla mojego postępowania. Wiem, że popełniłam przestępstwo, za które będę musiała odpokutować. Za które zresztą już zapłaciłam cenę dużo wyższą, niż najsurowszy nawet wyrok sądu. Mój ojciec był chłopem. Miał swoją gospodarkę niedaleko Opola,

od strony dawnej granicy Polski. Jak to najczęściej bywało w tamtych okolicach, wieś była mieszana. Część mieszkańców uważała się za Polaków, względnie za „miejskowych”, i używała w domu języka polskiego, część zaś była Niemcami.

Między obu odłami chłopów nie było nienawiści. Dopiero po dojściu do władzy Hitlera proces wynaradawiania Polaków przybrał brutalne formy, a szerzony fanatyzm polityczny przekształcił się u miejscowych Niemców w zdecydowaną nienawiść do Polaków. Mój ojciec ożenił się z córką jednego z sąsiadów, Niemca Webera.

- Chwileczkę, nie nadążam notować.

- Przepraszam, będę mówiła wolniej. Tak więc mój ojciec, Stanisław Opiola, ożenił się z córką Niemca, Helgą Weber. Małżeństwa mieszane były w naszej wsi dość częste. Jak to się zwykle zdarza w takich razach, potomstwo bardziej ciąży do narodowości matki niż ojca. Toteż moi dwaj starsi bracia dużo lepiej władali językiem niemieckim niż polskim, chociaż nie pamiętam, żeby ojciec odezwał się do kogokolwiek z nas, nawet do matki, inaczej jak po polsku. Za to matka mówiła do nas wyłącznie po niemiecku, chociaż naturalnie, jak inni mieszkańcy wsi, od dziecka znała oba języki. Takie to wszystko było na Opolszczyźnie powikłane.

Dziewczyna zrobiła małą przerwę, aby major mógł zanotować, po czym ciągnęła dalej:

- Po dojściu do władzy Hitlera stosunki zaczęły się psuć. Zamiast dawnego, na ogół dość zgodnego współżycia obu narodowości, germanizacja miała wtedy charakter tylko nacisku odgórnego władz, zaczął się ucisk żywiołu polskiego na skalę dotychczas nie spotykaną. Poza domem Polacy bali się mówić swoim ojczystym językiem. Nastąpiły aresztowania i wysyłki do obozów koncentracyjnych. Mój ojciec spędził w hitlerowskim więzieniu przeszło półtora roku. Naciskowi niemieczyny ulegli obaj moi bracia, wówczas już dorastający chłopcy. Zostali członkami Hitlerjugend.

- Pani ojciec - zapytał major - został jednak zwolniony z więzienia?

- Tak. W 1938 roku, na jesieni, rok przed wybuchem wojny zwolniono go wskutek złego stanu zdrowia i wstawiennictwa teścia, starego Webera. Oczywiście fakt, że synowie aresztowanego należeli do hitlerowskiej organizacji, nie był też bez wpływu na odzyskanie przez ojca wolności.

- Po wybuchu wojny ojca aresztowano ponownie, ale zaraz po upadku Polski wypuszczono znowu. Obaj bracia znaleźli się w wojsku. Starszy z poboru, młodszy poszedł na ochotnika, gdy wybuchła wojna ze Związkiem Radzieckim. Starszy brat,

Johann, poległ w Normandii w czasie inwazji aliantów. Młodszy Hans dostał się do niewoli amerykańskiej, a po zwolnieniu został w strefie okupacyjnej amerykańskiej na terytorium dzisiejszej Niemieckiej Republiki Federalnej. My, rodzice i ja, spędziliśmy całą wojnę w naszej rodzinnej wsi. Tam też doczekaliśmy się końca wojny, zajęcia Opolszczyzny przez Armię Radziecką i później przekazanie tych ziem Polsce.

- Wie pan dobrze - ciągnęła dalej Elza - jak to było na początku. Władze nie orientowały się w miejscowych stosunkach narodowościowych. Poza tym panował chaos administracyjny - i włączyły się całe bandy szabrowników. Spotkanie z Polską na pewno nie było tym, o czym marzył całe życie mój ojciec. Pomimo że stale podawał się za Polaka i nie wyjechał na Zachód, wbrew żądaniu matki, pomimo posiadania dokumentów, że był więziony i prześladowany przez władze hitlerowskie, ojca wysiedlono z jego gospodarki. Szabrownicy obrabowali nas doszczętnie. W tej sytuacji matka, która przecież zawsze była Niemką, ustosunkowała się zdecydowanie negatywnie do wszystkiego co polskie i miała żal do ojca, że zmusił nas do pozostania na Opolszczyźnie.

- Tak - zgodził się major - popełniono wiele błędów w stosunku do ludności autochtonicznej. Później starano się to naprawić.

- Naprawiono. Ojciec otrzymał z powrotem swoją ziemię. Wypłacono mu też odszkodowanie za wszelkie straty. Otrzymał również Krzyż Odrodzenia Polski.

Wszystko to jednak nie zmieniło stosunku matki do

- Polaków. Starła się jak mogła utwierdzać w swojej córce, dziesięcioletniej wówczas dziewczynce, poczucie narodowości niemieckiej.

- A ojciec?

- Ojciec przeciwnie. Nigdy się nie załamał. Zawsze wierzył w sprawiedliwość i on z kolei „nawracał” mnie na polskość. Pod tym względem w domu, między rodzicami, panowała ciągła podjazdowa walka. Ojciec posłał mnie do polskiej szkoły. Skończyłam szkołę podstawową i zaczęłam chodzić do liceum. Gdy byłam w dziewiątej klasie, ojciec zmarł. Leży pochowany na miejscowym cmentarzu w Wielkiej Wsi.

- Kiedy wyjechaliście do Niemieckiej Republiki Federalnej?

- Mniej więcej po roku. Już przedtem mój brat pisywał do nas z Monachium. Powodziło mu się coraz lepiej. Ożenił się z Bawarką. Najpierw pracował w dużej firmie samochodowej, następnie z kimś do spółki dzierżawił stację benzynową, aby w

końcu dorobić się własnego warsztatu samochodowego. Nieustannie też namawiał ojca i matkę do przyjazdu do Munchen na stałe lub choćby w odwiedziny. Ojciec nie chciał tym nawet słyszeć. Matka jednak wybrała się do syna. Wróciła obdarowana prezentami i zachwycona, jeszcze bardziej umocniona w niechęci do nowej ojczyzny. Gdy więc ojciec skończył życie, a brat ponowił swoje zaproszenie wyrażając chęć wzięcia nas obu do siebie, matka nie wahała się ani chwili. Likwidacja gospodarki starania o wyjazd ciągnęły się przez pewien czas. Następnie czekałyśmy jeszcze na koniec roku szkolnego i z chwilą uzyskania przeze mnie promocji do jedenastej klasy, wyjechałyśmy do Niemieckiej Republiki Federalnej.

- To było w roku...?

- W lipcu 1955 roku.

Major skończył notować i pytająco spojrzął na siedzącą naprzeciwko dziewczynę. Ta znowu podjęła swoją opowieść.

- Ponieważ mówię zupełnie szczerze i nie mam zamiaru w najmniejszej nawet mierze usprawiedliwiać się, muszę stwierdzić, że chociaż chodziłam do polskiej szkoły i chociaż ojciec starał się przekonać mnie do Polski, nie czułam się związana z tym krajem. Bez żalu wyjeżdżałam z rodzinnych stron. Nie czułam wrogości, ale ciekawa byłam, jak żyje się tam, „za żelazną kurtyną”, i jak potoczą się moje przyszłe losy. Przyszłość widziałam, jak każdy młody, tylko w różowych barwach.

Oficer uśmiechnął się nic nie mówiąc, dziewczyna ciągnęła dalej.

- Życie w Niemieckiej Republice Federalnej nie było tak piękne, jak to wynikało z listów brata i naszych wyobrażeń. Hansowi powodziło się nieźle, na stosunki polskie dobrze, ale ten dobrobyt okupiony był taką pracą i takim wysiłkiem, o jakim nawet mi się nie śniło. Szybko okazało się również, że zapraszając nas do siebie, brat miał na oku zupełnie konkretny cel. Chciał mieć w osobie matki bezpłatną pomoc przy prowadzeniu domu i opiece nad dziećmi. Na mnie czekał kombinezon i odpowiedzialne zadanie mycia samochodów, zanim nie nauczę się czegoś więcej i będę umiała pracować przy ich remoncie.

- Trochę wolniej, bardzo proszę.

- Znowu się rozpędziłam. Przepraszam. Wtedy zbuntowałam się. W stanowczy sposób oświadczyłam, że w warsztacie pracować nie będę. Najpierw muszę skończyć szkołę. Jeżeli nie, to wracam do Opola. Przez parę dni trwały awantury. Wreszcie, gdy po mojej stronie stała żona Hansa, ta kobieta była dla mnie zawsze bardzo miła i okazywała mi wiele serca, brat musiał ustąpić. Zdecydowano, że

poślą mnie do szkoły, a później, kiedy ją skończę, zwrócę bratu kosztu edukacji lub je odpracuję. Wszystko zostało omówione z isticie niemiecką dokładnością.

Major uśmiechnął się.

- Po wakacjach poszłam więc do średniej szkoły. Przyjęto mnie oczywiście o klasę niżej, bo „w Polsce szkoły są na gorszym poziomie niż u nas”. Po dwóch latach otrzymałam maturę. Muszę dodać, że nauka zarówno w Polsce, jak i w NRF przychodziła mi niezmiernie łatwo. Zawsze byłam jedną z pierwszych uczennic i miałam specjalne zdolności do matematyki i do języków, chociaż podobno te dwie dziedziny zazwyczaj wykluczają się wzajemnie. Byłabym jednak nie uniknęła pracy przy szorowaniu samochodów, gdyby nie szczęśliwy przypadek. Trafiłam na ogłoszenie pewnego instytutu naukowego, pan major doskonale orientuje się, co to za instytut, ogłaszającego, że funduje stypendium na wyższe studia dla chłopca lub dziewczyny, tegorocznych maturzystów. W informacji zaznaczono, że pierwszeństwo w otrzymaniu stypendium mają przesiedleńcy ze Wschodu. Niewiele myśląc złożyłam podanie i wkrótce zaproszono mnie na konsultację. Był to prawdziwy egzamin ze wszystkich bodaj przedmiotów, ze szczególnym naciskiem na znajomość polskiego, historii Polski, życia w Polsce. Pamiętam, że ku memu zdziwieniu, kazano mi nawet śpiewać i tańczyć. Nie rozumiałam wtedy, o co tym panom chodzi.

- Agent wywiadu musi być wszechstronnie utalentowany.

- Tak, tylko wtedy nie wiedziałam, że to sprawy wywiadu. W każdym bądź razie stypendium otrzymałam. Sądzę, że zadecydowały przede wszystkim moje warunki zewnętrzne i fakt, że jednak przez wiele lat chodziłam do polskiej szkoły, a język ten znałam od dziecka. Rozpoczęłam studia na miejscowej politechnice, a po dwóch latach, na wyraźne żądanie moich opiekunów z instytutu, zapisałam się również na fizykę. Muszę jeszcze dodać, że otrzymując stypendium podpisałam zobowiązanie. Po ukończeniu studiów miałam pracować w instytucie przez dziesięć lat. W jakim charakterze? O tym nie było wówczas jeszcze mowy i przez całe lata nie orientowałam się, że ten cały instytut, mający w swojej nazwie słowa mówiące o badaniu kultury wschodniej, jest jedynie jedną z central szpiegowskich. Mówię to bynajmniej nie w formie tłumaczenia się...

- Rozumiem panią.

- Stypendium było wysokie, bardzo wysokie, ale i wymagania stawiano mi bardzo duże. Poza pracą na uczelni musiałam dodatkowo uczyć się języków. Przez pierwsze dwa lata mieszkałam w domu brata. Później, na polecenie mocodawców,



przeprowadziłam się do mieszkania jednego z pracowników instytutu. Ten człowiek miał stały nadzór nade mną i specjalne polecenie kształtowania moich poglądów. Nie przeczę, dawało to odpowiednie skutki. Wyrabiano we mnie poczucie krzywdy, jaka spotkała moją nową ojczyznę i rozbudzano pragnienie zemsty.

Dziewczyna przerwała na chwilę. Znać po niej było, że jest zmęczona składaniem tak obszernych zeznań. Gdy jednak major zaproponował filiżankę kawy, odmówiła. I rozpoczęła dalszy ciąg swojej opowieści.

Moi opiekunowie kładli ogromny nacisk nie tylko na wykształcenie, ale i na umiejętność zachowania się między ludźmi i znajomość form towarzyskich. Na ich polecenie musiałam utrzymywać najrozmaitsze, nieraz zupełnie mnie nie interesujące znajomości, a także stale bywać na różnych przyjęciach i rautach, w których tak się lubuje burżuazja zachodnio-niemiecka.

- Dla nabrania ogłady towarzyskiej?

- Naturalnie. Położono również ogromny nacisk na naukę obcych języków.

Istniał nawet projekt wysłania mnie do Szwajcarii, do istniejącej tam „szkoły tłumaczy”. Co roku po parę miesięcy spędzałam za granicą na najrozmaitszych kursach językowych. Muszę jednak przyznać, że nie zapomniano i o przyjemnościach. Poznałam eleganckie uzdrowiska, wprowadzono mnie w krąg ludzi bogatych, a nawet nieraz bardzo bogatych.

- W jakim celu? Pani miała śledzić tych ludzi?

- Nie. Po prostu chodziło moim opiekunom o przyzwyczajenie mnie do „wysokiej stopy życia”. Moje stypendium co roku rosło i doszło w końcu do sumy, która pozwalała mi uchodzić za dobrze sytuowaną osobę. Człowiek łatwo się przyzwyczaja do dobrobytu i później, to zupełnie zrozumiałe, trudno mu się pogodzić z odmianą losu i powrotem do skromnego życia. Dziś doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że głównym celem tych metod wychowawczych było pokazanie mi w niedalekiej przyszłości, że jest tylko jedna droga utrzymania tego wszystkiego, do czego już się zdażyłam przyzwyczaić.

- Szykowano panią do wielkiej roli.

- Teraz już o tym wiem. Wtedy jednak nie domyślałam się nawet, jakie propozycje otrzymam po skończeniu mojej edukacji. Dodam ponadto, że moi wychowawcy dbali, abym w ciągu roku przynajmniej jeden miesiąc spędzała w Polsce. W charakterze bogatej turystki. Nie stawiano mi żadnych żądań zbierania informacji. Jedynie polecano nawiązywanie możliwie licznych znajomości z

Polakami i wprawianie się w biegłym opanowaniu języka. Daję panu na to słowo.

- Wierzę. Nie w tym celu panią szkolono. Taką pracą zajmują się malutkie ploteczki, pani miała być asem.

- Ma pan rację. Tak płynęły lata. Skończyłam studia, uzyskałam aż dwa tytuły inżyniera elektryka i magistra fizyki. Wiele lat nauki języków zrobiło również swoje. Władałam biegle francuskim i angielskim, a także nieco gorzej opanowałam włoski i rosyjski. Polski, który znałam przecież ze szkół i z domu nie przedstawiał dla mnie najmniejszej trudności, poza twardym, „śląskim” akcentem. Nieraz nie mogłam powstrzymać śmiechu, gdy Adam złościł się na mój „antytalent” nie pozwalający mi zrozumieć najprostszyc terminów i pojęć naukowych. Ale to już dalsza historia... Dojdę i do niej. Na razie, po uzyskaniu dyplomu i paromiesięcznym odpoczynku w jeszcze bardziej wyszukanych warunkach, zaproszono mnie na poważną rozmowę do instytutu.

- Wtedy dopiero dowiedziała się pani o swoim przeznaczeniu?

- Tak. Chociaż mój opiekun, u którego mieszkałam, dawał mi już przedtem do zrozumienia, że spotka mnie wielki zaszczyt, propozycja ciekawej, bardzo ważnej pracy, mającej kolosalne znaczenie dla naszej biednej, skrzywdzonej ojczyzny. W każdym razie wchodząc do gabinetu dyrektora instytutu nie orientowałam się w rodzaju tej pracy.

- Jak odbyła się ta rozmowa?

- Otwarcie postawiono przede mną dwie drogi. Pierwsza znaczyła utratę tego wszystkiego, do czego byłam przyzwyczajona od lat. Konieczność ciężkiej pracy i życia z liczeniem się z każdym groszem. Druga, to dalsza egzystencja w luksusie z dodatkiem ciekawej, barwnej przygody. Czegoś, czego dotychczas nie zaznałam. Czego nie można kupić za pieniądze. Zupełnie nowa, pasjonująca rozrywka. A przy tym powiedziano mi wiele słów o patriotyzmie, o obowiązku każdego obywatela NRF, który powinien walczyć o przywrócenie jedności, wielkości ojczyzny i o powrót ziem zdradziecko nam zrabowanych przez Polaków i Rosjan. Tam, w tym gabinecie, nie powtarzano zapewnień kanclerza Erharda o „pokojuwym uregulowaniu kwestii granic”. Zgodziłam się bez wahania na tę drugą propozycję. W ten sposób zostałam agentem wywiadu. Jeszcze rok studiów specjalnych: metod zdobywania wiadomości, zakładania skrzynek kontaktowych, umiejętności posługiwania się radiostacją i różnego rodzaju aparatami podsłuchowymi i fotograficznymi, sposobów przekazywania wiadomości, szyfrowania ich lub pisania atramentem sympatycznym.

Słowem, tego wszystkiego, co potrzebne jest członkowi wywiadu do pracy we wrogim kraju, z uwzględnieniem zasad walki dżu-dżitsu, posługiwania się sztyletem i strzelania z różnych rodzajów broni. Bardzo mnie to wszystko zaciekawiało. Było takie inne niż dotychczasowe moje życie, polegające na bezmyślnym szastaniu pieniędzmi na prawo i lewo. Przygoda, jaką miałam przeżyć, nabierała coraz więcej uroku. Dopiero później przekonałam się, że szpiegostwo niewiele ma wspólnego ze sportem.

- Czy od razu poinformowano panią, że Polska stanie się przyszłym terenem jej pracy?

- Nie. Podkreślono, że będę musiała udać się tam, dokąd otrzymam rozkaz. Przez pewien czas forsowano nawet naukę języka rosyjskiego, co wskazywałoby, że pierwotnie liczone się z możliwością przerwania mnie do ZSRR. Przypuszczałam jednakże, że najprędzej wyląduję w Polsce, bo mam największe predyspozycje do pracy na tym terenie. Tak się też i stało.

- Na tym skończymy dzisiaj - zdecydował major - jest pani zmęczona.

- Mogę mówić dalej.

- Nie. Na teraz dosyć. Zaraz wydam polecenie, żeby pani przysłano z ulicy Złotej trochę jej osobistych rzeczy. Pożyczony w Częstochowie suknie i tenisówki odeślemy z powrotem.

- Dziękuję. Pan przerwał przesłuchanie, bo chce pan sprawdzić moje słowa? Zapewniam, że mówiłam prawdę.

Major nie odpowiedział na to pytanie. Na jego rozkaz dyżurny sierżant wyprowadził aresztowaną z pokoju.

### **Błąd wywiadu**

Gdy Elżbietę wprowadzono do gabinetu majora Pałkowskiego na następne przesłuchanie, nosiła już skromną z wyglądu, ale doskonale uszytą garsonkę. Jej włosy przedtem siwe, teraz z powrotem nabrały kruczoczarnej barwy. Major aż się zachnął na widok aresztowanej. Dziewczyna naprawdę była skończoną pięknoscią.

- Bardzo dziękuję za ubranie - powiedziała siadając przed biurkiem.

- Może pani chce przeczytać protokół poprzedniego przesłuchania? - zapytał oficer.

- Dziękuję. Pamiętam doskonale co mówiłam. Czytałam go przecież i

podpisywałam.

- W takim razie zaczniemy. Zakończyliśmy przesłuchanie na systemie kształcenia pani do zadań specjalnych.

- Tak. Przypominam sobie. Kiedy moi nauczyciele uznali, że jestem już przygotowana do pracy, postanowiono „zaaklimatyzować” mnie w Polsce. Uważano, że mój akcent jest zbyt twardy. Mówiłam przecież tak, jak mówili autochtoni z Opolszczyzny. Wprawdzie kilka lat spędzonych w polskiej szkole poprawiło moją wymowę i zbliżyło ją do języka literackiego, jednak późniejszy pobyt w Niemieckiej Republice Federalnej znowu źle wpłynął na moją polszczyznę.

- Kiedy przybyła pani do Polski?

- Rozkaz wyjazdu dostałam nagle. Ku mojemu zdziwieniu nie do Polski, ale do Szwajcarii. Tam miałam się zgłosić pod pewien wskazany mi adres w Genewie. Po dniu pobytu nad Lemanem i zaopatrzeniu mnie w artystycznie sfabrykowany paszport, jako Monique Leclerc jechałam już własnym samochodem przez Włochy, Jugosławię, Węgry i Czechosłowację do Polski. Byłaby to bardzo piękna wycieczka, ale nakazano mi pośpiech. W niecały tydzień później meldowałam się w Warszawie, w „Grand Hotelu”. Pokój był zarezerwowany. Zgodnie z instrukcją, w Warszawie miałam dostać dalsze rozkazy od człowieka, który przyniesie mi połowę przedartego biletu autobusowego z Genewy.

- Sprytne, ale często stosowane.

- Trudne jednak do zdemaskowania - uśmiechnęła się agentka - każdy może wytłumaczyć się z kawałka przedartej kartki. Tym bardziej jeżeli przyjechał do Polski bezpośrednio z Genewy. Czekaając na kontakt udawałam bogatą turystkę, zwiedzałam Warszawę i trochę flirtowałam z przygodnie poznanymi w hotelu panami. Jeszcze w Genewie kazano mi szastać pieniędzmi i nie stronić od alkoholu. Po paru dniach zjawił się oczekiwany wysłannik. Dał mi polecenie wyjazdu do Wrocławia, zatrzymania „się w hotelu „Monopol” i nadal grania roli bogatej turystki. Miałam codziennie spędzać wieczory w różnych knajpach i demonstracyjnie dużopić. Oczywiście cały czas udawałam, że nie znam polskiego języka. Zapomniałam też dodać, że byłam trochę ucharakteryzowana. Zmieniłam kolor włosów i mocno się postarzałam. W moim paszporcie dobiegałam pięćdziesiątki.

- Mamy ten paszport i pani zdjęcie.

- Domyśliłam się tego od razu, gdy pan powiedział, że Monique Leclerc to też nie moje prawdziwe nazwisko. Pobyt we Wrocławiu trwał parę dni. Znowu zjawił się

mój polski przewodnik i polecił, abym wieczorem urządziła pożegnalne pijaństwo, gdyż nazajutrz rano wyjeżdżam z Polski przez Kudowę. Kiedy wyjechałam z Wrocławia, w umówionym miejscu w lesie, na zakręcie, czekali moi współpracownicy. Szybko umieszczono za kierownicą trupę jakiejś kobiety i cały samochód oblaną benzyną.

- Makabra - major lekko się skrzywił.

- Nie wiem kim była ta kobieta. Nie dostrzegłam u niej żadnych oznak gwałtownej śmierci. Stan ciała świadczył, że zmarła przed kilku dniami. Jeden z naszych ludzi powiedział mimochodem, że zwłoki wykradli na pewnym cmentarzu. Nie wiem, być może mówił prawdę. Potem samochód uruchomiono, podpalono i strącono z wysokiego nasypu. Niedaleko samochodu podrzucano moją otwartą torbę. Różne rozrzucone drobiazgi miały pozorować, iż w czasie katastrofy torba wypadła przez okno. Miało to na celu ułatwienie władzom polskim zidentyfikowanie zwęglonych zwłok jako Monique Leclerc. Tak się też stało.

- W przeprowadzonym dochodzeniu ustalono nawet - zaznaczył major - że Szwajcarka bardzo dużo piła przed wyjazdem z Wrocławia i katastrofa spowodowana została prawdopodobnie nadużyciem alkoholu. Nikt nie podejrzewał wtedy afery szpiegowskiej i nie badano paszportu pod aspektem fałszerstwa. Tym bardziej, że z Genewy przysły instrukcje od rzekomego brata zmarłej, aby ją pochować na miejscu. Przyznaję, że sprawa była zaaranżowana zręcznie.

Równie zręczny był ciąg dalszy. Przesiadłam się do samochodu moich współpracowników i pojechaliśmy do Wałbrzycha. Tam wróciłam do normalnego mojego wyglądu i otrzymałam dowód osobisty na nazwisko Elżbiety Kaczmarek. Nauczyłam się życiorysu i danych figurujących w tym dokumencie. Oczywiście wiedziałam, że dowód należał do zmarłej przed kilku dniami dziewczyny. Tego samego dnia otrzymałam trochę pieniędzy na zakup skromnego ubrania i równie skromnych rzeczy osobistych oraz rozkaz udania się do Radomia, wynajęcia tam jakiegoś lokum i znalezienia zajęcia, z tym zastrzeżeniem, aby nie była to praca w jakiejś instytucji wojskowej lub pracującej dla wojska. Mijałam też polecenie żyć możliwie najskromniej i nie wpadać nikomu w oczy. Pracować jak wszyscy, poznawać zwyczaje Polaków, niczym się nie wyróżniać, zgubić swój twarde, zalatujący niemieckim akcentem. Wprawdzie dano mi na wszelki wypadek pewien adres w Warszawie, ale wolno mi było z niego skorzystać jedynie w ostateczności.

- Przez cały czas pobytu w Radomiu nie kontaktowała się pani z nikim z

wywiadu?

- Kilka razy przyjeżdżał do mnie Werner Baumvogel. To ten człowiek, który przyniósł mi połówkę biletu autobusowego do „Grand Hotelu”. Parę też razy jeździłam do niego do Warszawy. Te wizyty miały na celu skontrolowanie, czy już dostatecznie dobrze władam polskim i czy dobrze spełniam polecenia. Przypuszczam, że jeszcze i ktoś inny obserwował mnie z ukrycia. Widocznie jednak zdałam dobrze ten pierwszy egzamin, bo mniej więcej po upływie roku kazano mi zlikwidować się w Radomiu i przyjechać do Warszawy.

- Meldunki na dowodzie Elżbiety Kaczmarek są zgodne z rzeczywistością?

- Tak. I data przyjazdu do Radomia i wyjazdu do Warszawy. Pamiętam dobrze, że w Radomiu kazano mi wytłumaczyć się, dlaczego między wymeldowaniem z Zakopanego a zameldowaniem w tym mieście jest dwutygodniowa luka. Jakoś się wyłgałam, że ten czas spędziłam u krewnych na wsi, gdzie mieszkałam niezameldowana.

- Czy w Warszawie od razu zapoznano panią z planami dotyczącymi inżyniera Wojciechowskiego?

- Nie. W Warszawie zmieniałam skórę. Znowu byłam elegancką, bogatą panną, której specjalnie nie zależy na pracy w spółdzielni.

- A w jaki sposób dostała pani pokój u Heleny Ruciakowej? Czy to też załatwił nieoceniony Baumvogel?

- Nie! Pokój wynajęłam dzięki radomskim znajomościom. Po prostu jeden z kolegów z garbarni, w której pracowałam zapoznał mnie kiedyś ze swoją siostrą z Warszawy. Dzięki tej pani dotarłam do Ruciakowej. U niej właśnie zwolnił się mały pokój. Płaciłam za niego 500 złotych, co, jak na stosunki warszawskie, nie było wygórowaną sumą. Zresztą wysokość komornego nie grała roli, byłam przecież córką byłego lotnika, który z Anglii przysyłał paczki i przekazy na PKO. Wszystko zostało tak zorganizowane, żeby nie budzić najmniejszych podejrzeń.

- A meldunek?

- Meldunek załatwił Stefan Zakrzewski. Pracował w stołecznej radzie narodowej, w biurze ewidencji ludności. Przypuszczam, że w centrali specjalnie kazano mu wystarać się o takie zajęcie. Oddawało ono duże usługi w umieszczaniu naszych ludzi w Warszawie.

- W jaki sposób zwerbowano Stefana Zakrzewskiego?

- Nie wiem. To tajemnica centrali. Ponieważ jeździł on na Zachód w

odwiedziny do rodziny, przypuszczam, że stało się to w tym czasie. Baumvogel cenił usługi, jakie oddawał nam Zakrzewski, ale niezbyt szanował swojego pomocnika. Parę razy, wtedy kiedy jeszcze miał do mnie zaufanie, podkreślał, że trzyma go dobrze w rękę i że Stefan za pieniądze gotów jest do wszystkiego.

A Wenera Baumvogla znała pani z Monachium?

Nie. Kiedy dowiedziałam się o właściwym charakterze rzekomego instytutu naukowego, zorientowałam się w zasadach pracy. Nie poznawano ze sobą agentów, mających w przyszłości pracować na tym samym terenie. Było to podyktowane warunkami bezpieczeństwa. Każdy wysyłany na roboty miał tylko jeden, najwyżej parę kontaktów na miejscu.

- Wracajmy do pani historii.

- Przypuszczam, że pomysł z rozpracowaniem Adama, inżyniera

Wojciechowskiego - poprawiła się dziewczyna - powstał po kilku miesiącach mojego pobytu w Warszawie. Na razie miałam zawierać jak najwięcej wpływowych znajomości, ze szczególnym uwzględnieniem ludzi pracujących w ciężkim przemyśle i przemyśle elektrotechnicznym. Byłam przecież fachowcem w tej dziedzinie.

Baumvogel chyba nic nie wiedział o inżynierze i dopiero dostał polecenie z centrali. Sądzę, że robotę nadał ktoś inny, a wykonanie ułożonego w centrali planu polecono Wernerowi. On zaś uznał, że nadeszła moja godzina działania.

Gdy major skończył notowanie tej części zeznań, Elżbieta podjęła swoje opowiadanie.

- Teraz, kiedy patrzę na to wszystko jako na historię dla mnie już zamkniętą i kiedy mam pewną perspektywę, widzę że w znakomicie opracowanych przez instytut planach edukacji szpiega tkwił zasadniczy błąd. A właściwie, nawet aż dwa błędy...

- Nie rozumiem?

- Przez całe lata ludzie z instytutu wpajali we mnie zoologiczną wprost nienawiść do wszystkich mieszkańców tej części globu, którą określa się „za żelazną kurtyną”. Przede wszystkim zaś uczyli mnie nienawiści do Polski i do Polaków. W tej akcji wszystkie chwytły były dozwolone. A więc mówiło się wiele o „wyrzuceniu ze stron ojczyźnych”, o niższości kulturalnej narodu polskiego i o jego krwiożerczym instynkcie. Całe to „pranie mózgów”, jakie przechodzili wszyscy szpiegowie, miało z nich uczynić fanatycznych nacjonalistów dyszących odwetem za doznaną klęskę.

- Z punktu widzenia instytutu, to zupełnie jasne

- zauważył major.

- Niewątpliwie tak - zgodziła się młoda kobieta - ale jednocześnie ci ludzie zapomnieli, czy po prostu nie wzięli pod uwagę, że jednak mój ojciec był Polakiem i zrobił ze swej strony wszystko, żeby mi tę polskość przekazać. Poza tym, chodziłam przecież przez kilka lat do polskiej szkoły i wyjechałam z Opolszczyzny już nie jako dziecko, tylko jako dorastająca dziewczyna. W tych warunkach światopogląd, jaki mi sugerowano, nie mógł się przyjąć tak zupełnie bez reszty.

- Przecież pani sama zeznała, że wyjeżdżając z kraju nie czuła się Polką - przerwał major.

- To prawda. Później zaś, kiedy już w NRF ta niemiecka część mojej duszy zwyciężyła, i zaczęłam myśleć ich kategoriami, to jednak nie na tyle, żebym miała nienawidzić swojego ojca i członków jego narodu. Czułam, i wiedziałam, że w tym wszystkim, co mi chcą wpoić do głowy, jest jednak więcej propagandy niż prawdy.

- A mimo to podjęła się pani powierzonego jej zadania.

- Przyznaję! Moja wina! Zbyt przyzwyczaiłam się do życia bez trosk i zbyt mnie zarażono cynizmem, żebym miała choć najmniejsze wahania. Poza tym cała ta praca rysowała się w mojej wyobraźni jako barwna przygoda. A moje dotychczasowe życie, o to właśnie postarali się panowie z instytutu, było bardzo szare i nieciekawe. Spełnianie wszelkich kaprysów, realizacja najbardziej dziwacznych pragnień i zachcianek bardzo prędko staje się czymś zupełnie nieciekawym. Gdy pokazano mi perspektywę innego, jakże ciekawszego bytu, nic dziwnego, że skorzystałam z tego.

- A te perspektywy doprowadziły panią aż do tego pokoju - zauważył złośliwie major.

- Proszę nie zapominać, że znalazłam się tu jednak z własnej woli. Nikt mnie nie aresztował i nie doprowadził do milicjanta pełniącego dyżur na dworcu w Częstochowie.

Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego się tam pani znalazła?

Właśnie mówiłam panu majorowi o tej podwójnej mojej duszy. Kiedy znalazłam się w Polsce, w Radomiu, bez żadnych prawie kontaktów z moimi pracodawcami, zetknęłam się znowu ze społeczeństwem polskim. Byłam już nie dziewczyną, lecz dorosłym i doświadczonym, może nawet zbyt doświadczonym człowiekiem. Zobaczyłam ludzi prostych i nieskomplikowanych - drobnych urzędników i robotników. Mieszkałam wśród nich prawie cały rok. Poznałam dobrze tych mężczyzn i te kobiety. Ich drobne troski i drobne radości. Jakże inny rysował mi się obraz tego społeczeństwa w porównaniu z tym, co mówiono w instytucie. Byli to



w gruncie rzeczy tacy sami ludzie jak ci w NRF, we Francji, czy we Włoszech. Niezależnie od ich sto” py życiowej. Pracowali, chcieli tylko spokoju i możliwości realizowania swoich osobistych planów życiowych. Cieszyli się i byli dumni ze swoich, nieraz jakże drobnych osiągnięć. Nie zetknęłam się ani razu z tą „krwiożerczą nienawiścią” jaką rzekomo każdy Polak miał żywić w stosunku do Niemców. Natomiast dopiero w Radomiu, czy później w Warszawie zobaczyłam i zrozumiałam cały ogrom krzywd wyrządzonych temu narodowi przez hitlerowców. Krzywd, o których mówiło się ze smutkiem i z nienawiścią do hitleryzmu, ale nie do Niemców w ogóle. Tego młoda dziewczyna na Opolszczyźnie nie potrafiła dostrzec i zrozumieć. Major notował w milczeniu.

- To był właśnie błąd moich opiekunów - puszczenie mnie samopas, dopuszczenie do tak ścisłego kontaktu ze społeczeństwem polskim. Znowu krew ojca zaczynała brać we mnie górę. Polska połowa mojej duszy coraz mocniej dochodziła do głosu.

- A mimo to nie zrobiła pani nawet najmniejszego gestu, żeby się wycofać - zauważył major.

- Nie robiłam. Nie mam zamiaru ukrywać swoich win i usprawiedliwiać się. Mówię tylko prawdę. Dodam nawet, że jeszcze w ogóle nie myślałam o, jak to pan nazywa, „wycofaniu się”. Wiedziałam, a pan wie to równie dobrze jak ja, że dla szpiega nie ma możliwości wycofania się. Co najwyżej może przejść na drugą stronę barykady. Do tego nie doszłam wtedy.

- A dopiero?

- Dopiero znacznie później. Cieszę się jednak, że nastąpiło to nie w Częstochowie, lecz dużo przed tym.

- Z jakich powodów?

- To są moje sprawy najbardziej osobiste, intymne. Pan pozwoli, majorze, że odmówię odpowiedzi na jego pytanie.

- Nie mogę pani do tego zmuszać - sucho zauważył oficer kontrwywiadu - niech się jednak pani zastanowi. To może mieć istotne znaczenie. Zwłaszcza dla sądu, przy wymiarze kary. Każdą okoliczność łagodzącą bierzemy pod uwagę.

- Nie. To już teraz nie ma znaczenia. Przegrałam swoją stawkę życiową i „okoliczności łagodzące” nie są ważne.

Dziewczyna nawet nie pytając majora o pozwolenie sięgnęła po leżące na biurku papierosy i zapałki. Przez chwilę paliła w milczeniu, wreszcie rozgniatając na

popielniczce wypalonego do połowy papierosa powiedziała:

- Przyznaję się, że zgodnie z poleceniem centrali, przekazanym mi przez Wenera Baunwogela nawiązałam początkowo towarzyską znajomość, a następnie wyszłam za mąż za inżyniera Adama Wojciechowskiego. Czy pan zadowolony, majorze?.

- Żeby zdobyć plany wynalazku Wojciechowskiego? - oficer pominął milczeniem złośliwą aluzję szpiega.

- Tak. Żeby zdobyć plany wynalazku - powtórzyła Elza.

- Ten pasek z obliczeniami maszyny elektronicznej, który pani przekazała Baunwogelowi?

Młoda kobieta roześmiała się.

- Pan sam dobrze wie, że ten pasek zawierał jedynie obliczenia jakichś fundamentów hali fabrycznej i nie miał nic wspólnego z wynalazkiem Adama.

- Pani fotografowała, względnie umożliwiła Baumowi sfotografowanie dokumentów znajdujących się w skrytce biurka w gabinecie, w mieszkaniu inżyniera.

- Nie. To nieprawda. Nie robiłam zdjęć, ani też nie przekazałam Baunwogelowi żadnych dokumentów, poza wymienionym już przez pana paskiem obliczeniowym.

- Trudno mi w to uwierzyć. Jakże może mi pani dostarczyć dowody, że było tak, jak pani teraz twierdzi?

- Dowodów nie mam żadnych. Chyba tylko ten, że za granicą nie ma podobnego rozwiązania. Jeżeli zdołacie ująć Baunwogela i Zakrzewskiego, oni na pewno przyjmą taktykę obciążania mojej osoby.

- Niekoniecznie.

- Nie będą mieli powodów, żeby bronić tej, która swoją ucieczką i oddaniem się w ręce polskiego kontrwywiadu wyłamała się z organizacji i doprowadziła do wsypy - Mimo to, cokolwiek by mówili, oskarżą mnie jedynie o przekazanie im tego paska. A poza tym paskiem nic innego pan przy nich nie znajdzie. Przynajmniej jeśli chodzi o dokumenty, do których ja mogłabym mieć dostęp. Tylko kawałek taśmy.

- Jakże znaczenie miała taśma? Wiemy, że namówiła pani męża, opowiadając mu bajeczkę o rzekomym zaciekawieniu, jakie budzi w pani praca mózgowych elektronicznych, do przyniesienia do domu kawałka takiej taśmy obliczeniowej. Wiemy też, że ten pasek papieru schowała pani w szafie pod bielizną. Z kolei zeznaje pani, że przekazała te obliczenia Baumvogelowi. Dlaczego?

- Ten kawałek papieru ocalił mi życie. A kto wie, może i życie Adama?

### **Kucharz z hotelu „Carlton”**

Poszukiwania nie dawały wyniku. Od chwili, gdy dwaj towarzysze podróży Elzy Opiola vel Elżbiety Kaczmarek vel Elżbiety Wojciechowskiej zrezygnowali z wyjazdu za granicę i wysiedli w Katowicach, słuch o nich zaginał. Wprawdzie Elżbieta w swojej pierwszej rozmowie z przesłuchującym ją oficerem kontrwywiadu w Częstochowie złożyła obszernie wyjaśnienia i podała szereg adresów, pod którymi należy szukać obu szpiegów, jednak próby ich odnalezienia na razie zawiodły.

Ludzie z „met” wymienieni przez Elżbietę byli obserwowani dzień i noc. Nie zmienili swojego trybu życia i wyglądało na to, że żaden z uciekinierów dotychczas nie skorzystał z ich pomocy. Skrzynki kontaktowe stale były puste. Ich obserwacja również nie dała najmniejszych wyników. Nasłuch radiowy nie złapał niczego podejrzanego.

Major Pałkowski nie tracił nadziei. Na wszelkie uwagi, że prowadzona przez niego akcja wiąże dużą liczbę pracowników kontrwywiadu, a nie daje żadnych efektów, odpowiadał spokojnie:

- Jeszcze nie wieczór. Widocznie Elżbieta nie znała wszystkich melin. Przyczaili się gdzieś jak szczury w norze. Ale będą musieli wytknąć nosa z tej kryjówki. W tej chwili jesteśmy w nieporównanie lepszej sytuacji, niż na początku sprawy. Mamy w swoich rękach Elżbietę, która chętnie udziela nam wszystkich, znanych jej informacji. Mamy też zdjęcia obu szpiegów i wiele adresów całej siatki. A zaczęliśmy przecież prawie z niczym - tylko z dowodem osobistym zostawionym przez Elżbietę na toalecie w mieszkaniu Wojciechowskiego. Czas pracuje na naszą korzyść. Prędzej czy później szpiedzy będą musieli powziąć nową decyzję przekroczenia granicy państwowej.

Pomimo pewnych nacisków oficer sprzeciwiał się kategorycznie aresztowaniu ujawnionych przez Elżbietę współpracowników Baunwogela i likwidacji obserwacji.

- Gramy o zbyt dużą stawkę, jaką jest ujęcie rezydenta obcego wywiadu na Polskę. W tej sytuacji nie można łąpać płotek, kiedy zarzuciło się przynętę na szczupaka.

A tymczasem szczupak gdzieś się przyczaił i nie można go było odnaleźć.

Dopiero po przeszło dwóch tygodniach nadeszła z Zakopanego wiadomość, która sprawiła, że zarówno major jak i jego współpracownicy najbliższym pociągiem wyjechali pod Giewont. Wiadomość była pozornie zupełnie błaha. Oto miejscowy obserwator zawiadomił Warszawę, że pewien kucharz nagle, poczuł w sobie żyłkę taternicką.

Kucharz nazywał się Władysław Teluch i pracował w dużym hotelu „Carlton”. Właściwie, ściślej mówiąc, nie był kucharzem, a jedynie pomocnikiem kucharza. Nazwisko to major Pałkowski znał, bo wymieniła je w swoich zeznaniach Elżbieta, zaznaczając jednocześnie, że jest to „kontakt” z serii „ratunkowych” przerzutów za granicę w razie nagłej wsypy. Poza taką ewentualnością z tego adresu nikomu z członków siatki nie wolno było skorzystać.

Jak sprawdzono, Teluch posiadał przepustkę graniczną, uprawniającą do poruszania się w strefie konwencji turystycznej polsko-czechosłowackiej. Jednakże ani w tym roku, ani w dwóch latach poprzednich nie zdarzyło się pomocnikowi kucharza wybrać się na czeską stronę. Dyskretny wywiad ustalił nawet, że ten człowiek nigdy nie chodził w góry dalej jak do restauracji na Kalatówkach czy w stronę Doliny Strążyskiej, do „Romy”.

I oto nagle pracownik hotelu „Carlton” poprosił o jeden dzień urlopu i wybrał się kolejką na Kasprowy. Nawet nie domyślał się, że idąca przed nim para zakochanych nieustannie go obserwuje. Nie wiedział też, że starszy, elegancko ubrany dżentelmen, który z taką uwagą lornetuje z tarasu Kasprowego imponujący masyw odległego Hawrania, coraz to zwraca szkła swojej silnej lornetki w jego stronę.

Tymczasem nasz taternik samotnie podążał znanym szlakiem turystycznym przez Czubę Goryczkową, Suchy Kondracki, Kopę Kondracką na Małołączniak. Tutaj długo wypoczywał ze specjalną uwagą oglądając łagodny spadek góry, zarośnięty kosówką, a schodzący po czechosłowackiej stronie aż do Tichej Doliny. Okazało się, że taternik wziął ze sobą lornetkę, ale nie oglądał panoramy Tatr, lecz właśnie stoki Małołączniaka i widniejącą w dole Tichą Dolinę, gdzie płynął potok i biegła droga aż do znanej czechosłowackiej miejscowości turystycznej Podbanske.

Napatrzywszy się na te widoki, Władysław Teluch zrezygnował z dalszego spaceru szczytami Czerwonych Wierchów. Cofnął się na Przełęcz pod Kopą Kondracką i zszedł stamtąd czerwonym szlakiem do Doliny Kondratowej, po czym autobusem z Kuźnic wrócił do miasta.

Meldunek o tym nagłym „wyczynie” turystycznym pomocnika kucharskiego sprawił, że major Pałkowski i jego najbliżsi współpracownicy nagle również zapragnęli odetchnąć świeżym, górskim powietrzem.

- To jest sygnał - zdecydował major - zaczyna się coś dziać. Trzeba w tym miejscu lepiej zaciągnąć sieć. Tylko patrzeć jak nasze rybki będą w niej tańczyć.

Doświadczony oficer kontrwywiadu nie mylił się. Bo oto znowu zdarzył się fakt, który dał mu dużo do myślenia. Bohaterem był i tym razem pracownik kuchni hotelu „Carlton”. Poprosił ponownie o wolny dzień i po raz drugi wybrał się w góry, lecz teraz wzgardził polskimi Tatrami i wyjechał za granicę.

Zgodnie z poleceniem majora, na punkcie granicznym nikt mu nie robił najmniejszych trudności. Nawet celnicy na Łysej Polanie, którzy z takim upodobaniem grzebią w suto wypchanych plecakach „handlowego narodu” udającego się do pobratymców dla sprzedaży spirytusu, a kupna sztucznej biżuterii i rajstop, niezbyt interesowali się przedstawicielem hotelu „Carlton”.

A on, chociaż bacznie rozglądał się, nie zauważył, że pewien turysta polski, który jechał tym samym autobusem, wkrótce potem zjawił się w pobliżu Telucha, ale miał już zupełnie inną wiatrówkę, nos mu się nieco zmienił, a nawet kolor włosów i uczesanie różniły się znacznie od poprzedniego. Dziwnym trafem ten turysta jechał w tym samym kierunku co kucharz z „Carltonu”, to jest do Podbanskiego.

Toteż tego samego dnia major Pałkowski miał dokładny meldunek. Teluch spędził w Podbanskiem koło czterech godzin. Z tego wizyta w pewnym domu zajęła mu przeszło dwie godziny. Właściciel tego domu - góral mieszkający po czechosłowackiej stronie - dobrze był znany władzom czechosłowackim i polskim jako niepoprawny, wielokrotnie karany przemytnik. W jego domu nieraz władze czechosłowackie znajdowały całe stosy rzeczy pochodzących z przemytu a nawet ludzi nielegalnie przekraczających granicę.

- Sprawa zaczyna się klarować - stwierdził na odprawie major Pałkowski - zbliżamy się do końca. Wyjazd Telucha i jego kontakt z przemytnikiem najlepiej o tym świadczą. Obecnie kucharza nie trzeba obserwować. Niech się czuje bezpieczny i sądzi, że nikt nie domyśla się jego podwójnej roli. I tak on nas nie doprowadzi do ukrywających się Wenera Baumvogela i jego pomocnika Stefana Zakrzewskiego. Widocznie mają jakiegoś łącznika lub kilku pomocników, o których Elżbieta nic nie wiedziała.

- Należałoby pilnować kontaktów Telucha, aby dowiedzieć się, z kim jest w

porozumieniu. Przecież musi donieść Baumvogelowi o rezultacie swojego zagranicznego wojażu - zauważył kapitan Oskierko.

- Niech donosi. A gdyby tak spostrzegł, że jest pod obserwacją? Wtedy wszystko przepadnie, szpiedzy się ulotnią i będą próbowali uciec inną drogą. Taką, jakiej my nie znamy.

- Pójdą przez Czerwone Wierchy?

- Oczywiście - przytaknął major - jestem też pewien, że nie zaryzykują jazdy kolejką linową na Kasprowy Wierch. Będą się bali, że tam może ktoś ich obserwować. Przed kasami jest teraz tłok i trzeba czekać ze dwie godziny, zanim nadejdzie pora odjazdu. Natomiast trasa przez Kondratową jest dla nich pozornie bardziej bezpieczna. Nie wiadomo przecież, czy ktoś idzie na Giewont, czy na Przełęcz pod Kopą Kondracką. Na trasie jest dużo kosodrzewiny. Można się schować i z ukrycia badać, czy nie grozi wpadka. Później tylko skok z przełęczy i na Małołączniaku znowu kosówka ciągnie się prawie aż do samego podnóża góry. Przyznaję, że pan Teluch zna się nie tylko na gotowaniu. Trasa świetnie wybrana. A w Cichej Dolinie idzie się całymi kilometrami młodym lasem. Bliżej Podbanskiego ruch w dolinie duży. Jak w naszej Kościeliskiej. Wystarczy niepostrzeżenie dołączyć się do jakiejś większej grupy i w jej towarzystwie wejść do miasteczka. Tam niezastąpiony pan Teluch przygotował następną melinę. Przypuszczam, że w Czechosłowacji, gdzieś w głębi, może w Pradze, czekają na naszych podróżników nowe fałszywe paszporty. Bo te na nazwiska Schwalbego i Milera z pewnością powędrowały do pieca.

- Co więc robimy? - zapytał jeden z oficerów.

- Uważam, że należy zrezygnować z ujęcia obu szpiegów na terytorium Zakopanego lub Doliny Kondratowej. Mamy połowę września. Ruch turystyczny w górach jest bardzo duży. Nie postawimy przecież WOP-u przed wejściem do Doliny Kondratowej lub na Kasprowym Wierchu i nie każemy legitymować wszystkich wczasowiczów. To by zresztą i tak nic nam nie przyniosło, bo dam sobie uciąć szyję, że nasi przyjaciele zdążyli zaopatrzyć się w doskonałe dowody i karty urlopowe. Poza tym, chociaż mamy ich portrety i zdjęcia, mogą być tak artystycznie ucharakteryzowani, że nikt z nas ich nie rozpozna. Dlatego zatrzymanie ptaszków tym razem zostawimy Wopistom.

- Oni też mogą ich nie poznać!

- Nie jest to konieczne. Po prostu my obsadzimy całe pasmo Czerwonych

Wierchów, a także na wszelki wypadek szczyty od Świnicy aż do Przełęczy pod Kopą Kondracką, organizując łączność radiową zarówno między nami, jak i z Czechosłowacją. W tych warunkach od razu zorientujemy się, którzy turyści zbaczają ze szlaku i kryjąc się w kosówce schodzą do Doliny Cichej. A tam, właśnie w kosówce, urządzimy zasadzkę tak pomyślaną, żeby nasi uciekinierzy musieli się na nią natknąć. Nasze punkty obserwacyjne na szczytach będą sygnalizować, że zwierzyna nadchodzi. W tych warunkach ci z kosówki ujmą ich bez pudła.

- A jeśli pójdą nocą?

- Nie przypuszczam, żeby podjęli takie ryzyko. Noce są ciemne, bezksiężycowe. Nie należy zapominać, że Małołączniak nie wszędzie ma łagodne zejścia. Przeciwnie, na zbłąkanego czekają tam przepaście. Na wszelki wypadek porozumiemy się z WOP-em, aby na noc obsadzał całe pasmo Czerwonych Wierchów gęstymi posterunkami żołnierzy z rozkazem otwierania ognia do każdego idącego. O świcie posterunki muszą być zdejmowane, żeby nikt nie domyślał się alarmu nad granicą.

- To wszystko zaabsorbuje bardzo dużo ludzi. Zarówno naszych, jak i wopistów - zauważył kapitan Dobrzyński.

- Trudno. Polujemy na zbyt cenną zwierzynę, żeby się z tym liczyć. Mam upoważnienie od władz zwierzchnich zatrudnić tyle osób, ile potrzeba dla sprawnego przeprowadzenia akcji. A co do WOP-u, na nich można polegać. Nie będziemy się wtrącać do szczegółów technicznych i nie będziemy ich krępowali, jeśli to zechcą zorganizować, ale jestem pewien, że w nocy nawet mysz się nie prześliznie. Uważam też, że nasi uciekinierzy wybiorą nie noc, lecz porę największego ruchu i najładniejszej pogody, aby, na zaludnionym szlaku wmieszać się w tłum wczasowiczów.

- Mogą sztucznie wywołać jakieś zajście na samej granicy. Na przykład wypadek w górach?

- Słuszna uwaga, ale raczej nie oni, tylko jacyś ewentualni ich pomocnicy. Radzę więc panom i na to zwracać uwagę. W razie wołania o pomoc, zostawić sprawę GOPR-owi i przygodnym turystom. Wam nie wolno spuścić oka z trasy i kosówki na Małołączniaku. Także nikt z zasadzki nie ma prawa wychylić nosa z przygotowanych punktów ukrycia. Oni wprawdzie niewiele będą widzieli, ale placówki na okolicznych szczytach muszą ich stale informować, co się dzieje na przygranicznym szlaku.

Tamci mogą mieć broń. Kto wie, czy nie dojdzie do strzelaniny?

Na to nasi ludzie ukryci w kosówce muszą być przygotowani. Ale nie sądzę, żeby uciekinierzy aż tak ryzykowali. Broń, strzały, to w razie ujęcia perspektywa wyroku śmierci. Szpiedzy starają się tego unikać. Zawsze łudzą się nadzieją, że nawet najwyższy wyrok można odsiedzieć, zaś w czasie pobytu w więzieniu dużo rzeczy może się zdarzyć - jakaś amnestia, indywidualne ułaskawienie, wymiana. Zawsze istnieje nadzieja wyjścia na wolność i powrotu do swoich. Natomiast spod szubienicy nikt nie wraca, a przynajmniej niewielu wróciło. Mamy zresztą przykład na Deptule, którego jedynie ogłuszili, a mogli przecież z miejsca go wykończyć.

Sierżant Deptuła, obecny również na odprawie, poczerwieniał jak burak i spuścił głowę.

- Polak nie może się łudzić, że go wymienią. Nie ma nic do stracenia.

- Ma. Własne życie. To bardzo dużo. Nie przypuszczam, żeby prokurator żądał kary śmierci. Najwyżej dożywocia.

W ciągu następnych dni na szczytach, poczynając od Zawratu a kończąc na Krzesanicy, panował ożywiony ruch. Codziennie pierwszą kolejką linową wjeżdżała grupa wczasowiczów, kobiet i mężczyzn. Ubrani byli rozmaicie. Jednakże każdy z nich niósł plecak. Na Kasprowym Wierchu rozdzielano się. Jedni szli na prawo w stronę Czerwonych Wierchów, inni ruszali na Beskid i dalej na Świnice. Jednakże coraz to któryś z turystów, widocznie zachwycony panoramą Tatr, przystawał lub siadał. W górach każdy robi to, na co ma ochotę. Nikogo przeto nie dziwiło, że na stoku, gdzieś pod szczytem Kopy Goryczkowej, siedzi jakaś para trzymająca się za ręce, zaś nieco dalej, na Suchym Kondrackim, starszy pan ułożył się na psiej trawce i korzysta z wrześnieego słonka, żeby utrwalić wiosenną opaleniznę.

W obserwatorium na Kasprowym Wierchu przybyła jeszcze jedna luneta. Ale młody astronom czy też meteorolog nie obserwował gwiazd. Lufa jego przyrządu optycznego tkwiła wycelowana na Małolączniak.

Dziwni wczasowicze, których nie brakowało i w Dolinie Kondratowej, zwiłali swoje stanowiska dopiero z nastaniem zmroku. Gdyby ktoś miał wtedy ze sobą radiodbiornik mogący łapać fale ultrakrótkie, byłby bardzo zdziwiony słysząc nieustannie głosy w eterze.

- Tu Wacek, tu Wacek. Czworo turystów, w tym jedna kobieta, kieruje się z Kasprowego w stronę Kopy Goryczkowej - powtarzał jakiś głos.

- Tu Leon, tu Leon, siedem osób, cztery kobiety, trzech mężczyzn przeszło



koło mnie. Idą czerwonym szlakiem na Przełęcz pod Kopą Kondracką.

- Tu Wanda, tu Wanda - powtarzał gruby baryton - dwóch turystów na Małołączniaku. Idą dalej w stronę Krzesanicy.

Za jakąś godzinę ta sama „barytonowa” Wanda znowu wołała na falach eteru:

- Tu Wanda, tu Wanda. Dwaj turyści przeszli Małołączniak, wchodzą na Krzesanicę.

Potem zaś informowała:

- Tu Wanda, tu Wanda. Dwaj turyści minęli szczyt Krzesanicy. Skręcili na Twardy Uplaz. Schodzą do Doliny Kościeliskiej.

Często do tych głosów dochodziły i inne. Wprawdzie wypowiedane po polsku, ale z charakterystycznym czeskim akcentem.

Tak minęło znowu kilka dni. Niektórzy ze współpracowników majora Pałkowskiego gotowi byli przypuszczać, że dziwna ruchliwość pomocnika kucharza z hotelu „Carlton” stanowiła jedynie manewr dla ściągnięcia przeciwnika do Zakopanego, gdy tymczasem poszukiwani szpiedzy wymknęli się przez granicę gdzie indziej. Choćby w Beskidzie Śląskim lub w rejonie Śnieżki. Major jednak bronił swojej tezy, że uciekinierzy są gdzieś w Zakopanem i tłumaczył:

- Gdyby Teluch wiedział, że jest spalony, nie chodziłby w góry i nie jeździł do Podbanskiego, a po prostu sam wzięłby nogi za pas. A on przeciwnie, odbywa na terenie Czechosłowacji jakąś konferencję, w ten sposób zdradzając, kontrwywiadowi czechosłowackiemu adres tamtejszej „meliny”.

- To mógł być zwykły jego znajomy.

- Czyżby nasz kucharz nagle zapalał do niego taką miłością, że zwalnia się z pracy i jedzie do Podbanskiego? Nie wierzę w „zwykłą znajomość”. Uwierzyłbym w przemyt czy jakąś inną aferę kryminalną, ale przecież wiemy, że Teluch przy dwukrotnym przekraczaniu granicy, tam i z powrotem, był absolutnie „czysty”.

Musimy jeszcze czekać. Ostatecznie nic nie tracicie. Pogoda dopisuje i takie opalanie się na szczytach i to z delegacją służbową jest zupełnie przyjemne. Niejeden chciałby tak pracować.

- Już nam się te szczyty sprzykrzyły. Wołałbym zmienić miejsce - roześmiał się kapitan Oskierko.

- Proszę bardzo, jutro na Zawrat albo na Krzesanicę. Nie musicie stale siedzieć pod Kopą Goryczkową.

- Byłem już wszędzie - mruknął kapitan. Pewnego wyjątkowo słonecznego i

ciepłego dnia, kiedy w górach panował ruch bardziej ożywiony niż zwykle, w eterze rozległ się głos:

- Tu Felek, tu Felek. Mija mnie w Dolinie Kondratowej duża grupa.

Siedemnaście osób, w tym dziewięć kobiet. Idą czerwonym szlakiem. Wygląda na to, że chcą wejść na przełęcz. Za tą grupą w odległości około dwudziestu metrów idzie dwóch mężczyzn. Jeden wyższy o głowę od drugiego. Sylwetki zgodne z rysopisem. Trudno powiedzieć, czy ci dwaj należą do grupy - ale stale trzymają się z tyłu.

- Tu Leon, tu Leon. Widzę z Suchego Kondrackiego grupę. Razem dziewiętnaście osób. Na razie trudno odróżnić ilu mężczyzn, ile kobiet.

- Tu Wanda, tu Wanda - odezwał się znowu baryton - obserwuję z Kopy Kondrackiej grupę. Dziewiętnaście osób.

- Tu Zygmunt, tu Zygmunt. Z Kasprowego w stronę Kopy grupa piętnastu osób. Za nią cztery osoby. Dalej jeszcze dwie osoby.

Meldunki krzyżowały się w powietrzu. Kolejka linowa co kilkanaście minut wyrzucała nową porcję wczasowiczów na Kasprowym. Stamtąd potok ludzki rozdzielał się na cztery strumienie. Największy kierował się w dół, w stronę Hali Gąsienicowej i Murowańca. Nieco mniejszy spływał ścieżką wzdłuż grani Kasprowego na Halę Goryczkową. Inni szli przez Beskid na Świnice. Najmniej liczne grupy podążały w stronę Czerwonych Wierchów; ta trasa wprawdzie łatwa, lecz długa, a pensjonaty wczasowe wydają obiady od pierwszej do drugiej, kto spóźni się choć parę minut, ominie go posiłek albo będzie musiał szukać jedzenia u Poraja lub w innym zakopiańskim barze. Nie zawsze kieszeń wczasowicza lubi takie ekstrawagancje.

- Tu Leon, tu Leon. Grupa dziewiętnastu weszła na przełęcz. Odpoczywają. W dwadzieścia minut później następny meldunek..

- Tu Leon, tu Leon. Grupa idzie na Kopę Kondracką.

Po jakimś czasie odezwał się baryton Wandy.

- Tu Wanda, tu Wanda. Grupa dziewiętnastu przeszła koło mnie. Idą w górę na Małolącniak.

I znowu po minutach.

- Tu Wanda, tu Wanda. Grupa wchodzi na Małolącniak. Dwóch odstaje z tyłu. Sylwetki jak w rysopisie.

- Tu Andrzej, tu Andrzej. Widzę dużą grupę, idą na Małolącniak. Dwóch zostało z tyłu. Usiedli na zboczu. Niedaleko kosówek. Jedzą.

- Tu Wanda, tu Wanda. Widzę dwóch z grupy, która przeszła przez Kopę Kondracką i idzie na Małołączniak. Dwaj mężczyźni odłączyli się od grupy. Usiedli i odpoczywają.

- Tu Andrzej, tu Andrzej. Grupa mija mnie na Małołączniaku. Idą na Krzesanicę. Tylko siedemnaście osób. Dwóch nadal siedzi na stoku góry. Od czeskiej strony.

- Uwaga, uwaga - wołał baryton Wandy - jeden z dwóch siedzących pod Małołączniakiem wstał i zszedł niżej w kosówkę. Straciłem go z oczu. Drugi siedzi nadal.

Stacja nadawcza oznaczona kryptonimem „Andrzej” za chwilę powtórzyła ten sam meldunek.

- Uwaga, uwaga. Tu Ewa, tu Ewa - rozległ się tym razem naprawdę kobiecy głos - z obserwatorium widzę dwóch mężczyzn. Obaj zeszli z oznakowanego szlaku w kierunku granicy czechosłowackiej. Jeden siedzi na stoku Małołączniaka, drugi zszedł niżej w kosówkę. Znajduje się o jakieś dwieście metrów pd zasadzki i około trzydziestu metrów od linii granicznej. Widzę go dobrze. Siedzi w kosówce. Nic nie robi.

- Uwaga, uwaga. Drugi schodzi do kosówki - wołała jakaś stacja. Nadawca z emocji zapomniał podać hasło rozpoznawcze.

- Tu Andrzej, tu Andrzej. Drugi schodzi w kosówkę. Tracę go z oczu.

- Tu Ewa, tu Ewa. Widzimy obu mężczyzn. Połączyli się w kosówce. Przez lornetkę badają szczegółowo cały teren.

- Uwaga, uwaga. Tu góra - słuchający mogli nawet rozpoznać głos majora - ci z doliny kryć się możliwie najdokładniej, żadnego ruchu.

- Tu Ewa, tu Ewa. Ci dwaj wstali i zaczynają schodzić niżej w stronę granicy. Prowadzimy ich lunetą.

Powoli różne stacje zaczynały meldować, że tracą uciekinierów z oczu i wyłączają się z akcji.. Od czasu do czasu odzywała się „Ewa”.

- Widzę dwóch mężczyzn w kosówce. Ciągłe schodzą w stronę granicy czechosłowackiej. Teraz usiedli i odpoczywają. Rozglądają się. Widoczność coraz gorsza. Są już tylko o niecałe sto metrów od linii zasadzki.

Przez chwilę w eterze panowała cisza.

- Uwaga, uwaga. Tu Ewa, tu Ewa. Mężczyźni kończą przebywanie pasa kosówki i dochodzą bezpośrednio do linii zasadzki. Tracę widoczność, wyłączam się.

Teraz stacje radiowe zamilkły zupełnie. Leżący na stokach gór rzekomi wczasowicze przerwali sjęstę i ściągali powoli w dół do Doliny Kondratowej albo w stronę stacji kolejki linowej na Kasprowym Wierchu.

W kosówce panowała kompletna cisza. Dwaj mężczyźni z największą ostrożnością wynajdywali wąskie przesmyki pomiędzy krzakami i kierując się ciągle w dół przebyli już większą część zielonego gąszczu. Teraz zarośla stawały się coraz rzadsze. W pewnej chwili dwaj panowie wyszli na niewielką polankę i zauważyli siedzącego tam oficera w mundurze WOP-u. Chcieli się cofnąć, ale oficer już kiwał na nich ręką, żeby podeszli. Tymczasem i za nimi jakby spod ziemi wyrosło paru żołnierzy. Droga powrotna była odcięta, nie pozostawało nic innego, jak zbliżyć się do oficera.

- Panowie chyba zabłądzili? - zauważył porucznik.

- Idziemy na Małą Łąkę - odpowiedział starszy z panów.

- O! - zdziwił się wojskowy - to zupełnie w innym kierunku. Całe szczęście, że natknęliście się na nas, bo tu nie dalej jak pięćdziesiąt metrów już granica czechosłowacka. Na Małą Łąkę trzeba było iść na prawo od szczytu, a wy widocznie poszliście w lewo.

- Zabłądziliśmy - zgodził się jeden z turystów. - To ta przeklęta kosówka. Wleźliśmy w taki gąszcz, że trzeba było ciągle skręcać i ciągle iść w dół. Nic dziwnego, że w końcu pomyliły się nam kierunki marszu. Oto, panie poruczniku nasze dowody.

Obaj panowie wyjęli dowody osobiste. Oficer tylko ręką machnął.

- Głupstwo - powiedział - na szczęście nic się nie stało i granicy nie przekroczyliście. Schowajcie te papiery.

- Dziękujemy i wracamy - powiedział niższy z mężczyzn - dobrze, że spotkaliśmy pana. Przynajmniej wiemy, w jakim kierunku iść.

- Do Małej Łąki za daleko - tłumaczył porucznik - musielibyście wracać znowu przez te krzaki. Jeszcze raz byście pobłądzili. Zresztą to co najmniej cztery godziny marszu. Przed zmierzchem nie zdążycie. Zaledwie wejdziecie na ścieżkę, a jak po ciemku schodzić w dół? Na szczęście tu niedaleko biegnie ścieżka wprost na Kasprowy, na obserwatorium. Właśnie idę w tamtym kierunku, więc pójdziemy razem. Stamtąd zjedziecie kolejką do Kuźnic i najdalej za dwie godziny będziecie w Zakopanem. Chodźmy, panowie.

Wyższy z panów rozejrzał się dookoła. Żołnierze, czy to przypadkiem, czy

naumyślnie stali tak, że o żadnej próbie ucieczki czy przebicia się siłą nie było mowy. Z drugiej strony gest porucznika zapraszającego do wspólnego powrotu na Kasprowy wyglądał zupełnie niewinnie. Nie pozostawało więc nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry i przyjąć propozycję oficera. Cała trójka ruszyła przez polankę, by za chwilę znaleźć się na dość wygodnej ścieżce malowniczo wijącej się pod górę. Prowadził porucznik, za nim szli dwaj turyści, o parę kroków dalej podążała grupka żołnierzy.

- Widzicie, panowie - tłumaczył oficer - o ile ta droga jest wygodniejsza niż przedzieranie się przez kosówkę. Wcale się nie dziwię, żeście zabłądzili. Nie ma chyba dnia, żeby się to nie przydarzyło polskim i czechosłowackim turystom.

- Tak, tu na granicy łatwo zabłądzić - grzecznie przytaknął jeden z panów.

- Swoją drogą, częściej się to zdarza Polakom niż Czechom - roześmiał się porucznik - prawie nikt z turystów nie chodzi w góry z mapą i nie lubi uważać na oznakowanie szlaku. Nie dalej jak trzy dni temu cała wycieczka poszła z Cyrhli w las na grzyby i zabrnęła aż trzy kilometry w głąb Czechosłowacji. Dopiero czeska straż graniczna musiała ich przyprowadzić z powrotem. Dobrze, że się wszystko szczęśliwie skończyło.

Nie upłynęło półtorej godziny, kiedy cała grupa znalazła się na szerokiej ścieżce wiodącej wprost do obserwatorium na szczycie Kasprowego.

- Widzicie, panowie - zauważył oficer - już jesteśmy prawie na miejscu. Z dostaniem biletów na kolejkę nie będzie żadnych kłopotów, bo i tak większość wjeżdżających schodzi pieszo na Goryczkową lub w stronę Murowańca. Za pół godziny będziecie już siedzieć przy kolacji w Zakopanem. Nie to co ja. Moja służba kończy się dopiero wieczorem.

- Bardzo dziękujemy panu porucznikowi i cieszymy się, że nasza przygoda skończyła się tak szczęśliwie - obaj panowie ukłonili się oficerowi i chcieli skrócić w stronę stacji kolejki, ale porucznik zatrzymał ich.

- Ależ, panowie, wejdźcie do środka i doprowadźcie się trochę do porządku. Przez to przedzieranie się przez krzaki macie ubrania poplamione i zabłocone. Zaraz dam wam szczotkę - to mówiąc porucznik otworzył drzwi obserwatorium i wskazał obu panom wejście do jednego z pokojów. Chcąc nie chcąc obaj mężczyźni tam weszli.

Na ich spotkanie podniósł się zza stołu przystojny, szpakowaty pan, średniego wzrostu, szczupły i wysportowany. Ubrany w dobrze skrojony sportowy garnitur.

- Panowie pozwolą, że się przedstawię. Jestem major Pałkowski. Już dawno chciałem panów poznać. My tu was szukamy po całej Polsce - dodał z dobrotliwym wyrzutem - a panowie urządzać sobie wycieczki turystyczne. Czy to ładnie? Proszę, niech panowie siadają. Pan Werner Baumvogel na tym krzeselku, a pan Stefan Zakrzewski na drugim. Bardzo chciałbym z panami porozmawiać.

### **Rezydent wywiadu decyduje się mówić**

Kiedy w parę dni później Wenera Baumvogela wprowadzono do gabinetu Pałkowskiego, aresztowany zatrzymał się w progu. Obaj mężczyźni obrzucili się szybkim lecz wnikliwym spojrzeniem.

Rezydent wywiadu na Polskę doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że rozpoczyna się jego ostatnia gra. To najważniejsze. Już nie chodzi o zdobycie jakiejś cennej wiadomości, lecz po prostu stawka toczy się o życie. O własną głowę Wenera Baumvogela. Głowy tej Baumvogel bynajmniej nie chciał stracić. Przecież wówczas, na Kasprowym, ani przez moment nie pomyślał o piorunującej truciznie, którą miał ukrytą w jednym z guzików marynarki i którą regulamin nakazywał natychmiast użyć w wypadku dostania się w ręce wroga. Teraz też był zdecydowany ratować się za wszelką cenę.

Polak równie starannie szykował się do tej gry. Dla niego, w przeciwieństwie do szpiega, głowa rezydenta wywiadu nie miała większego znaczenia. Zadaniem oficera kontrwywiadu było doprowadzenie śledztwa do końca i przekazanie akt prokuraturze wojskowej. Niech się sąd martwi wysokością wyroku. Natomiast w tej chwili rzeczą najważniejszą było skłonienie Baumvogela do złożenia możliwie jak najbardziej szczegółowych zeznań. Wprawdzie Elza Opiola vel Elżbieta Wojciechowska składała obszernie wyjaśnienia i ujawniała wszystko, co było jej wiadome, jednak znała ona siatkę wywiadu tylko wyimkowo. Co innego taka figura jak Werner. Ten wiedział znacznie więcej i rzecz jasna, zajmował się nie tylko sprawą Wojciechowskiego. Zeznania rezydenta mogły unicestwić całą przestępczą robotę i to na dłuższy czas.

- Proszę, niech pan siada - major wskazał ręką krzesło naprzeciwko biurka. Baumvogel skłonił się lekko i zajął wskazane mu miejsce.
- Proszę, papierosy i zapalki leżą na biurku.
- Dziękuję, nie palę.

Twarz majora nawet nie drgnęła, chociaż miał ochotę roześmiać się. Pamiętał dokładnie, że przy rewizji znaleziono u zatrzymanego aż trzy pudełka papierosów i zapalki. Zresztą Baumvogel palił przy majorze, w Zakopanem.

Chwilę panowało milczenie.

- Chciałbym być z panem szczerzy, panie Baunwogel; - zaczął Pałkowski - położenie pańskie nie jest różowe. Został pan ujęty na granicy z fałszywymi papierami, pańska rola w Polsce nie ulega najmniejszej wątpliwości. Na potwierdzenie tego posiadamy zarówno zeznania osób trzecich, jak i dokumenty. Chyba pan rozumie, że pan przegrał. Nie potrzebuję też przytaczać artykułów Wojskowego Kodeksu Karnego i innych ustaw specjalnych, mówiących o tym, jak się w Polsce karze szpiegostwo. Baunwogel zachnął się.

- Panie majorze, spełniałem tylko rozkazy. Jak pan jestem oficerem i nie mogłem odmówić wypełnienia rozkazu. Równie dobrze pan mógł otrzymać podobne polecenie i wtedy znaleźlibyśmy się po innych stronach biurka.

Pałkowski wzruszył ramionami.

- Niech mi pan nie opowiada bajeczek. Na całym świecie obowiązuje zasada, że do pracy w wywiadzie nikt nikogo nie zmusza. Każdy dobrowolnie podpisuje deklarację współpracy i dobrze wie, co go czeka.

- Nic wielkiego nie zrobiłem. Wiadomości, które przekazywałem, nie miały żadnego znaczenia. To były po prostu błahe rzeczy. Mogli się o tym samym dowiedzieć choćby z polskich gazet.

- Na przykład o wynalazku inżyniera Adama Wojciechowskiego, prawda? - przerwał drwiąco major.

- Nie popełniłem żadnego wielkiego przestępstwa. Żadnej zbrodni. Mam czyste ręce. Przecież tego waszego agenta, na ulicy Radiowej, wystarczyłoby mi tylko trochę mocniej uderzyć. Albo później wykończyć nieprzytomnego. Nie zrobiłem tego. Przeciwnie, specjalnie tak go związałem, żeby się nie udusił i mógł się sam wyswobodzić z pęt.

- Panie Baunwogel - major jeszcze raz przerwał - nigdy nie uważałem pana za durnia. Po co pan to wszystko mówi?

Szpieg zamilkł. Chwilkę się namyślał wreszcie podjął:

- Panie majorze, gdyby mi pan zagwarantował, że nie zostanę skazany na karę śmierci i gdybym miał pewność, że ewentualne starania o moją wymianę, miałyby szanse powodzenia, może wówczas moglibyśmy się dogadać w sprawach

interesujących pana.

Oficer wywiadu pozostał spokojny. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy i nie zdradził radości. Pałkowski już wiedział, że wygrał. Przeciwnik załamał się. Będzie kłamał, będzie kręcił, ale w końcu wszystko wyzna.

- Nie mogę nic panu przyrzekać - odpowiedział - o pańskich losach zadecyduje tylko sąd. Mogę natomiast zapewnić, że wszystkie okoliczności łagodzące, a przede wszystkim szczere przyznanie się do win będzie, zgodnie z przepisami prawa, brane pod uwagę zarówno przez prokuratora, jak i przez komplet sądzący.

Baumvogel znowu namyślał się chwilę.

- Dobrze - powiedział - zaryzykuję. Zawsze wierzyłem w polską wspaniałomyślność. Proszę, niech pan pyta, postaram się odpowiedzieć na każde zapytanie pana majora i udzielię wszelkich informacji o tym, co mi jest wiadome.

- Może na początek - zaproponował Polak - zaczniemy od ostatniej sprawy - inżyniera Wojciechowskiego?

- Jak pan major sobie życzy.

- A więc słucham?

- O tym - zaczął Baumvogel - że w Polsce specjalnie interesują się laserami i że uczeni wasi doszli do dużych wyników w tej dziedzinie, wiedzieliśmy od dość dawna. Nie było to przecież żadną tajemnicą. Pierwsze na świecie zastosowanie laserów w medycynie, przy operacjach oka, odbicie promienia laserowego od tarczy księżycy - te fakty notowała cała prasa światowa. Było dla nas rzeczą zupełnie jasną, że mając tak doskonałe wyniki w dziedzinach pokojowego zastosowania laserów, uczeni polscy muszą się również zastanawiać nad wykorzystaniem swoich odkryć i w dziedzinie wojskowości. Nie oni jedni zresztą. Takie same prace, na dużą skalę, prowadzi się w Ameryce i we Francji. Inni też nie siedzą beczynnienie.

- Jak doszliście do Wojciechowskiego?

- Przede wszystkim drogą dedukcji. Ustalenie listy wybitnych fachowców, zdolnych do pracy w tej dziedzinie, nie przedstawia w żadnym kraju jakichkolwiek trudności. Na tej samej zasadzie Amerykanie wyłapali po wojnie wszystkich specjalistów pracujących nad konstrukcją niemieckiej bomby atomowej. Po prostu wystarczyło ustalić, jacy z niemieckich uczonych znają i rozumieją teorię Einsteina. Tak samo ustaliliśmy, jacy polscy naukowcy są na tyle zaawansowani w nowoczesnej fizyce, żeby zajmować się zagadnieniami laseru. Nazwisko Wojciechowskiego było



nam znane choćby z zastrzeżeń patentowych jego wynalazków. Kiedy zaś dowiedzieliśmy się drogą bardzo prymitywnego wywiadu w fabryce, gdzie inżynier jest zatrudniony, i że pracuje właśnie nad nową, tajemniczą konstrukcją, byliśmy prawie pewni, że chodzi tu o coś związanego z laserami.

- Mieliście kogoś w tej fabryce?

- Nie. Po prostu ludzie są bardzo gadatliwi. Szczególnie przy kuflu piwa, czy przy kieliszku wódki. Tą samą drogą zdołaliśmy ustalić, że prace nad nowym wynalazkiem są poważnie zaawansowane i że bierze w nich udział zarówno instytut fizyki, jak i pewne naukowe komórki wojskowe. Wtedy już wszystko było jasne. Nie wiedzieliśmy tylko, czego dotyczy odkrycie Wojciechowskiego, ale mieliśmy pewność, że ten wynalazek ma znaczenie i dla wojskowości. Oczywiście do centrali poszły szczegółowe raporty.

- Polecono wam pracować dalej w tym kierunku?

- Centrala bardzo się zainteresowała całą sprawą. Rozszyfrowanie osoby Adama Wojciechowskiego nie przedstawiało większych trudności. Mój współpracownik, Stefan Zakrzewski miał spore znajomości. Znalazł wśród nich i ludzi, którzy osobiście znali inżyniera. Stąd dowiedzieliśmy się o jego charakterze i o tym, że po smutnych doświadczeniach z pierwszym małżeństwem jest od bodaj dziesięciu lat samotnikiem, trzymającym się z daleka od kobiet. To była woda na nasz młyn. Wystarczyło takiemu facetowi podsunąć przystojną, chętną babkę. Właśnie rozporządzaliśmy czymś takim.

- Elza Opiola?

- Tak jest, panie majorze. Przybyła z NRF. Przeszła wszechstronne studia, miała fachowe wykształcenie. Centrala łączyła z jej osobą wielką nadzieję. Zdecydowaliśmy, że rozpracowanie Wojciechowskiego i zdobycie jego wynalazku będzie pierwszym zadaniem Elzy. O wynik byłem zupełnie spokojny. Jak mu się podsunie takie ładne ciało i jak ta dziewczyna zacznie go świdrować tymi zielonymi oczyma i mówić słodkim głosem „pan jest taki inny niż wszyscy mężczyźni, których dotychczas znałam”, zaprowadzi go, dokąd tylko będzie chciała.

- I tak się też stało - dorzucił major.

Elza wpadła na wspianiały pomysł, żeby wykorzystać, istniejące być może i nie wyżyte, romantyczne porywy inżyniera. Umyśliła tę komedyjkę z napadem chuliganów. Ich rolę odegraliśmy we dwójkę z Zakrzewskim. Krzyczała „ratunku!” i padła w ramiona nadbiegającego inżyniera, który bohatercko rzucił się sam jeden na

dwóch mężczyzn.

- Pod Pałacem?

- Tak. Gdyby - Baunwogel roześmiał się na miłe wspomnienia - to byli prawdziwi chuligani, dla Wojciechowskiego cała impreza mogłaby się skończyć dość smutno. Ale myśmy oczywiście od razu dali nogę zostawiając piękną Elzę z jej wybawicielem. Wiedzieliśmy, że dalej da sobie radę i bez nas.

- Rzeczywiście - przytaknął major.

- Elza doskonale wiedziała, co ma robić. Kiedy pokazywałem jej przedtem fotografię inżyniera, stwierdziła, że nie jest tak źle i jej przyszły kochanek nie jest taki stary i brzydki, jak sądziła. Pamiętam, że obaj z Zakrzewskim śmieliśmy się i mówili: „Uważaj Elza, ten facet żył jak mnich przez dziesięć lat. Jak się taki wygłodzony dorwie do ciebie...” Ona odpowiadała, że wypościła się w Radomiu przez cały rok, więc nie boi się mnicha.

Tu Baunwogel nie wytrzymał i sięgnął po leżące na biurku papierosy.

- Początkowo - podjął dalsze opowiadanie - wszystko rozwijało się według planów. Elza stale raportowała nam o postępie sprawy. Grała rolę młodej dziewczyny egzaltującej się na temat swojej przygody i obrońcy, który cudem zjawił się w ostatniej chwili. Opowiadała o marzeniach, jakie piastuje w sercu, o cichym życiu we dwoje z ukochanym człowiekiem. A przy tym wpatrywała się w swoją ofiarę wielkimi zielonymi oczyma i używała wszystkich sztuczek kobiecej kokieterii. Nic dziwnego, że w parę tygodni tak zawróciła w głowie temu człowiekowi, że ten zamiast wziąć do łóżka ładną babkę, zaproponował jej małżeństwo.

- To wam chyba bardzo odpowiadało?

- Oczywiście - zgodził się Baunwogel - możliwość umieszczenia swojego człowieka w środowisku polskich naukowców, mających kontakty z wojskiem, to przecież szczyt marzeń dla wywiadu. Kiedy centrala dowiedziała się o tym, Elzie przyznano specjalną premię 5000 marek. Wtedy właśnie zaczęły się nasze pierwsze kłopoty.

- Jakie?

- Właśnie z Elzą. Zaczęła mieć wątpliwości. Mówiła idiotka, że nie ma prawa łamać życia Wojciechowskiemu, że powinniśmy się wycofać z całej imprezy. Oczywiście nie było o tym nawet mowy, więc w końcu uległa i wyszła za mąż za inżyniera po to, by jak ostatnia, najgłupsza gęś... zakochać się w nim.

Baumvogel mówiąc to aż szczerwieniał ze złości.

- Takie to są skutki pracy z kobietami. A przecież nie mieliśmy do czynienia z pierwszą lepszą, tylko ze specjalnym wysłannikiem centrali. Nie była święta, co to, to na pewno nie. I pod tym względem przeszkolili ją dobrze. I tu raptem...

- Co było dalej?

- Pogodziłem się nawet z tym. Ostatecznie, myślę sobie, co mnie obchodzi łóżkowe sprawy Elzy. Niech się kocha w swoim inżynierku, aby tylko dostarczała wiadomości. Pozwoliliśmy im nawet na miodowe miesiące. Ale kiedy później zacząłem przyduszać Elzę o wynalazek, pani inżynierowa nie bardzo chciała ze mną gadać. Tłumaczyła, że Wojciechowski pracuje tylko w fabryce i tylko tam ma wszystkie dokumenty. Z żoną na ten temat nie rozmawia. Ciągle tylko obiecywała, że postara się z niego coś wyciągnąć. Rozmawiałem z nią nieraz, mówiłem, że jeżeli taka zakochana w swoim mężu, niech razem wyjadą do NRF. Ułatwię ten wyjazd. Też się wykręcała. Wreszcie na moje kategoryczne żądanie wpuściła mnie kiedyś do mieszkania. Zrewidowałem całe, od deski do deski. Żadnych dokumentów rzeczywiście nie było.

- Do skrytki pan też zaglądał?

- Do jakiej skrytki?

- W biurku inżyniera. Na samym dole.

Baumvogel nie krył zdziwionej miny.

- Skrytka w biurku? Nic nie wiedziałem o żadnej skrytce. Elza dostarczyła mi klucz od biurka, ale o schowku nie wspominała, mnie zaś nie przyszło do głowy szukać.

- Dobrze, jedźmy dalej.

- Tak więc, żadnych dokumentów nie znalazłem i nie otrzymałem ich od Elzy. Centrala coraz bardziej się denerwowała. W końcu i ja miałem tego dosyć. Przecież to niemożliwe, żeby Elza nie mogła wyciągnąć od męża potrzebnych jej wiadomości. Był w niej tak zakochany i ufał jej bezgranicznie. Miała nawet kluczyk od auta, a tego żaden mężczyzna nie daje kobiecie, do której nie ma bezwzględnej zaufania. Dlaczego właśnie miał przed nią ukrywać plany swojego wynalazku, wiedząc zresztą, że Elza nie jest fachowcem w tej dziedzinie i niewiele zrozumie z jego słów, czy z dokumentów. Bo oczywiście nawet się nie domyślał, że jego żona skończyła nie szkołę - w Grudziądzu, lecz politechnikę i fizykę w Monachium. Taka nieufność była nie do pomyślenia.

- Po co więc was zwodziła?

- A diabli ją wiedzą. Pewnie chciała zyskać na czasie i pragnęła, żeby im nikt nie przeszkadzał w ich miłości. Ale ja przejrzałem tę grę. Pewnego dnia zjawiłem się u Elzy i rozmówiłem stanowczo. Dopiero wtedy zrozumiała, że to nie przelewki i wydała mi zapis maszyny elektronicznej, dotyczący głównych zasad wynalazku Wojciechowskiego.

- To ten pasek papieru, znaleziony przy panu w czasie rewizji. Z lewego buta?  
- to mówiąc major otworzył szufladę i wyjął stamtąd niewielki podłużny skrawek.

- Tak, to ten sam.

- Dlaczego uprowadziliście Elżę?

- Nie uprowadziliśmy. Sama poszła z nami. Wiedziała, że z chwilą kiedy Wojciechowski spostrzeże brak dokumentu, będzie na tym terenie spalona.

- Więc dlaczego uciekła w Częstochowie?

- Też bym chciał wiedzieć dlaczego! Widocznie w ostatnim momencie żał jej się zrobiło kochanego mężusia. Wyobrażała sobie, że prosto z dworca wróci do niego.

- Hm... - mruknął major.

- Panie majorze, sam pan widzi, że moja rola w całej tej aferze była zupełnie niewielka i drugorzędna. Wszystko właściwie rozgrywało się pomiędzy centralą a Elżbietą. Centrala dawała polecenia, Elżbieta planowała i wykonywała całą robotę. Ja tu byłem tylko łącznikiem. Słowo daję, niczym więcej jak pośrednikiem. Całą inicjatywę miała ona.

- A Zakrzewski? Baumvogel machnął ręką.

- W każdym ustroju i w każdym państwie zawsze się znajdują tacy, którzy za parę groszy gotowi są do wszystkiego. Nawet sprzedać ojca i matkę. „Właśnie takim człowiekiem jest Zakrzewski. Pod jednym względem, muszę mu przyznać, znakomity spryciarz. Z kamienia wycisnąłby pieniądze. Ile on z centrali potrafił wypompować. Umiał im wmówić, że najlepiej będzie, jeżeli wybudują mu willę na Radiowej.

- To nie było głupie - zauważył major - taki spokojny punkt, duże pomieszczenie, garaż, piwnice. Znakomite miejsce na lokum dla wywiadu.

- Samochód też mu kupili.

- Przydał się wam do ucieczki z Radiowej. Przybyliśmy tam za późno.

- Więc wywiadowca zdołał się oswobodzić i narobił alarmu?

- Jeszcze przedtem go znaleźliśmy - wyjaśnił oficer.

- Specjalnie go oszczędzałem. Dobrze wiedziałem, że to też żołnierz, który tak

jak ja spełnia otrzymane rozkazy. Cieszę się, że żyje. Elza chciała, żeby go wykończyć. Kazała nawet Zakrzewskiemu, żeby to zrobił na dole w garażu. Ledwie wybronilem tego biedaka. O tym niech pan major też pamięta.

- Będziemy pamiętać o wszystkim, panie Baumvogel.

- Kiedy unieszkodliwiliśmy wywiadowcę - ciągnął dalej swoje - było dla nas jasne, że polski kontrwywiad jest na naszym tropie. Wtedy Elza zdecydowała, że musimy natychmiast uciekać i jak najprędzej wyjeżdżać z Polski. Poleciała mi wystarać się o bilety. Falszywe paszporty miała ze sobą.

- Zabrała je z mieszkania Wojciechowskiego razem z dokumentem dotyczącym wynalazku inżyniera?

- Tak - stwierdził Baumvogel.

- To dziwne - zauważył major - wszyscy świadkowie stwierdzili, że Elza wyszła z domu bez niczego. Nawet bez torebki. A ulicą szła prowadzona pod rękę przez Zakrzewskiego. Z tyłu pan ją eskortował trzymając rękę w kieszeni.

- Nie mam broni. Nie znaleźliście przy mnie pistoletu. Jeżeli Elza tak mówiła, to kłamie. Zakrzewski poświadczy.

- Przecież ja nic nie mówiłem o broni. Interesowałem się tylko, w jaki sposób Elza mogła wynieść z domu paszporty. Dziwiłem się też, że miała nie tylko dla siebie, ale i dla was.

- Elza była specjalnym wysłannikiem centrali i miała dużo większe prawa i przywileje niż my. Pewnie dlatego dali jej te paszporty.

Major uśmiechnął się drwiąco:

- No dobrze, proszę, niech pan mówi dalej.

- Dostałem bilety. Umówiliśmy się, że spotkamy się na dworcu przed odejściem pociągu. Wszystko szło dobrze, kiedy nagle Elza w Częstochowie wyskoczyła z wagonu. Wysiedliśmy wobec tego w Katowicach. Przez kilkanaście dni błąkaliśmy się po Polsce usiłując bezskutecznie przekroczyć granicę. Spróbowaliśmy w końcu w Tatrach, na Czerwonych Wierchach. Wtedy wpadliśmy. Powiedziałem panu majorowi wszystko, co wiem o sprawie Wojciechowskiego.

- No, niezupełnie wszystko. Baumvogel zmieszał się.

- Naprawdę wszystko.

- Zapomniał pan o niektórych szczegółach i o niektórych ludziach. Na przykład o kucharzu z hotelu „Carlton”?

Szpieg milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć, wreszcie uśmiechnął się i

wyjaśnił:

- Nawet nie uważałem za stosowne mówić o tym. Pan major przecież i tak wiedział, że ten kucharz jako mieszkaniec Zakopanego poradził nam, gdzie najbezpieczniej można przekroczyć granicę.

- Był aż tak uczynny, że wybrał się w tej sprawie do czeskiej miejscowości Podbańskie.

- Nie kryję - skapitulował Baunwogel - że Waclaw Teluch w siatce wywiadu pełni zadania przerzutu za granicę.

- Nareszcie zaczyna pan sobie coś niecoś przypominać - zadrwił major - chciałbym, żeby pan mi jeszcze wyjaśnił tylko jedną sprawę. Twierdzi pan, że Elza nie była uprowadzona, tylko poszła z wami dobrowolnie?

- Tak jest, panie majorze, całkowicie dobrowolnie.

- Przecież mogła wam tylko oddać zapis wynalazku?

- Ona nie chciała tego zrobić. Woląca sama się z tym zjawić w centrali. Wtedy mogłaby wyciągnąć za to dużo więcej pieniędzy, niż gdyby ten dokument trafił tam inną drogą. Elza miała głowę do interesów.

- A inne dokumenty przekazywała zwykłą drogą?

- Nie dostałem od niej żadnego innego dokumentu. Tylko ten zapis. A i to dała mi jedynie do przewiezienia przez granicę.

- Muszę pana zmartwić, panie Baunwogel. Ten kawałek papieru nie ma nic wspólnego z wynalazkiem Wojciechowskiego. To jest zwykłe obliczenie wytrzymałości fundamentów dla rzeźni w Lublinie. Elza Opióła doskonale wiedziała, jaka jest treść tego dokumentu. Szpieg zbladł.

- Rozumiem - wyjąkał - rozumiem. Elza była i waszą agentką. Prowadziła podwójną grę. Zdobyła zaufanie centrali, aby wydać całą naszą siatkę.

Major Pałkowski milczał.

- To zręczne, bardzo zręczne - Baumvogel powoli przychodził do siebie po otrzymanym ciosie - dobra robota. Ciekaw tylko jestem, ileście jej zapłacili? Chyba bajońskie sumy. U nas przecież dostawała 5200 marek, które jej dopisywano co miesiąc do konta w banku. Wszystkie wydatki pokrywała centrala ze specjalnych funduszków. Do tego dochodziły wysokie premie. Ileście jej dali, że zdecydowała się przejść do was?

Oficer kontrwywiadu nie wyprowadził agenta z błędu i nie odpowiedział na jego pytanie. Sucho zauważył, że na tym zakończą dzisiejsze przesłuchanie, na

przyszłość radzi Baunwogelowi, żeby pamięć mu lepiej służyła i żeby mówił tylko prawdę, bo i tak niczego nie może już ukryć.

Na rozkaz majora wartownik odprowadził zmieszanego i zdenerwowanego Baunwogela do jego celi.

### **Złota obrączka**

Następnego dnia agent obcego wywiadu Elza Opiola vel Monique Leclerc vel Elżbieta Kaczmarek vel Elżbieta Wojciechowska znowu kontynuowała składanie zeznań. I tym razem przesłuchiwał ją i protokołował jej słowa major Pałkowski.

- Przez parę miesięcy balansowałam na linie i jakoś zwodziłam Baumvogela. Rewidowaliśmy wspólnie całe mieszkanie, opowiadałam mu niestworzone historie na temat wynalazku, powtarzałam rzekome słowa Adama.

Wiedziałam jednak, że prędzej czy później to się skończy. Cierpliwość centrali wyczerpie się i zaczną ze mną rozmawiać innym tonem. Przecież muszą w końcu spostrzec, że ich oszukuję, chociaż długo udawało mi się wodzić ich za nos. Wtedy wpadłam na pomysł zdobycia paska obliczeniowego mózgu elektronowego. Miałam zamiar przekazać go Baunwogelowi jako dokument, który przypadkowo znalazłam w kieszeni męża. Zanim przesłałby go do centrali i zanim tam odczytaliby zapis maszyny, upłynęłoby znowu trochę czasu.

- To były tylko półśrodki - zauważył oficer.

- Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Zamiast wyskakiwać z pędzącego pociągu, trzeba było w najnormalniejszy sposób skontaktować się z nami. Byłaby pani wówczas w dużo lepszej sytuacji niż obecnie, kiedy jej zeznania nie mają żadnego poparcia dowodowego.

- Bałam się.

- Zapewnilibyśmy pani jak najdalej posuniętą dyskrecję.

- Pan zapewne ma rację. Jednak nie zrobiłam tego kroku. Strach bywa złym doradcą. Wracając do mojej historii, trzymałam ten pasek w szafie, aby użyć go przy pierwszej okazji. Nie myślałam, że nad moją głową zebrały się już groźne chmury i grom spadnie niespodziewanie. Tego dnia skończyłam właśnie obieranie ziemniaków i robiłam coś w kuchni, kiedy usłyszałam dzwonek. Myślałam, że to listonosz z jakimś poleconym. Nie spodziewałam się odwiedzin Baunwogela, nigdy nie przychodził nie uprzedziwszy i zawsze zjawiał się nieco ucharakteryzowany, żeby w

razie czego nikt go nie mógł poznać. Tym razem gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam ich obu, jego i Zakrzewskiego. Baumvogel obawiając się, że mogę ich nie wpuścić do mieszkania, od razu wsunął nogę w szparę drzwi, a następnie odepchnąwszy mnie brutalnie wszedł do przedpokoju. Zakrzewski za nim.

- Świetnie, żeście przyszli - udawałam, że nie dostrzegam dziwnego zachowania się mojego bezpośredniego zwierzchnika.

- Przyszliśmy, by pogadać z tobą - Baumvogel wyjął pistolet - dosyć już nas wodziłaś za nos. Może poszłaś już do Polaków i powiedziałaś im wszystkim? Albo twojemu kochanemu mężulkowi? Gadaj! Tylko prawdę!

Roześmiałam się w głos.

- Co ty wygadujesz i jak się zachowujesz?

- Już dłużej nie będziesz nas nabierać. Koniec z tym. Idziesz z nami.

- Dokąd?

- Zobaczysz na miejscu. Jest ktoś, kto cię chce obejrzeć.

- Nie wygłupiaj się - starałam się mówić jak najspokojniej, chociaż rozumiałam, że to koniec. Że żadne wykręty nie pomogą, chyba jedynie ten pasek papieru znajdujący się w szafie pod bielizną. - To doskonale - powiedziałam - bo nareszcie udało mi się zdobyć wynalazek Adama. To pewnie ktoś z centrali, więc przy okazji przekażę mu to, o co starałam się tyle miesięcy. Mówiąc te słowa podeszłam do szafy i wyjęłam taśmę z zapisem.

- Pokaż - Baumvogel dał się złapać.

- Podałam mu pasek papieru. Nic nie ryzykowałam. Wiedziałam, że Baumvogel nie ma wykształcenia technicznego. Zresztą nawet specjalista musi stracić trochę czasu, zanim odczyta w jaki sposób zaprogramowano maszynę liczącą i czego mogą dotyczyć kółeczka i kreseczki nieregularnie rozmieszczone na papierze.

- Co to jest? - zdziwił się Werner.

- Zapis elektronowy obliczenia zasady, na której zbudowany jest nowy laser - wyjaśniałam możliwie najbardziej naturalnym tonem - ale udało mi się wyciągnąć od Adama sposób programowania. Bardzo prosty, znam go na pamięć. Potrafię to odczytać nie gorzej, niż pierwszą lepszą gazetę.

Baumvogel schował taśmę do kieszeni. Wiedziałam, że wygrałam pierwszą rundę. W każdym bądź razie natychmiast mnie nie wykończy. Będzie musiał porozumieć się z centralą. Walka o życie polegała teraz na zyskiwaniu czasu. Może znajdę sposobność wymknięcia się im z rąk. Baumvogel chwilę wahał się, ale ja już



podjęłam decyzję.

- Idziemy - zadecydowałam podchodząc do drzwi.

Bez namysłu skierowali się za mną. Gdy już wszyscy znaleźli się na schodach, zatrzasnęłam drzwi i zaczęłam schodzić w dół, na parter.

- Uprzedzam, tylko bez kawałów - warknął Werner - trzymam rękę na rewolwerze i w razie jakiegoś głupiego dowcipu z twojej strony, będę strzelał przez kieszeń. Stefan, idź koło niej.

Znowu się roześmiałam.

- Zwariowałeś - powiedziałam.

- Tak zeszedliśmy ze schodów i wyszliśmy na ulicę. Parę domów dalej stała syrena Zakrzewskiego. Skierowaliśmy się w jej stronę. Na ulicy, jak zwykle o tej porze na Złotej, było pusto. O jakiegokolwiek próbie ucieczki w tych warunkach nie było mowy. Tym bardziej że Stefan wziął mnie pod rękę. Baunwogel szedł dwa kroki za nami. Spostrzegłam stojącą w drzwiach sklepu ekspedientkę. Powinna mnie znać z widzenia, więc przechodząc ukloniłam się i zawołałam: „Dzień dobry, pani

- Irko. Jaki ładny dzień mamy dzisiaj, prawda?” Widziałam, że dziewczynę zdziwiły moje słowac Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą prywatnie, lecz wyłącznie w sklepie przy zakupach. Tym bardziej nie mówiłam do niej po imieniu. Zresztą nie wiedziałam nawet, czy ma na imię Irena. Wymieniłam pierwsze lepsze, jakie przyszło mi do głowy. Miałam nadzieję że ekspedientka zapamięta ten incydent i kiedy rozpocznie się dochodzenie w sprawie mojego zniknięcia, przypomni sobie jak prowadzono mnie i jak wsiadałam do samochodu. To mogło być bardzo ważne.

- Rzeczywiście - zgodził się major - ten ślad oddał nam duże usługi.

- Samochód - ciągnęła dalej Elza - trochę kluczył po mieście i skierował się wreszcie na Radiową do willi Zakrzewskiego. Byłam zresztą zupełnie tego pewna. Znałam ten budynek i ogród przylegający do niego. Wiedziałam, że jeżeli będą chcieli mnie wykończyć, zrobią to właśnie tam. Nie omyliłam się, w ogródku był już wykopany głęboki dół. Gdyby nie pomysł z paskiem obliczeniowym, teraz leżałabym w tamtym grobie. A może i Adam koło mnie?

- Co było dalej?

- Kiedy wysiedliśmy z samochodu, udając naiwną zapytałam gdzie ten wysłannik z centrali, bo sama chcę oddać mu taśmę. Werner odburknął, że przyjdzie w swoim czasie. Zażądał natomiast, abym mu wyjaśniła klucz do odczytania zapisu. Odpowiedziałam, że nie zrobię tego, bo po pierwsze - nie zrozumie, po drugie - do

odczytania potrzebna jest specjalna maszyna. Poza tym chcę odcyfrować dokument sama, żeby mi nie przepadła premia. Kłóciliśmy się o to. Baumvogel znowu groził mi rewolwerem, ale teraz byłam już pewna swego. Nie odważy się mnie wykończyć bez porozumienia z centralą. Dopiero w parę godzin później „Werner spostrzegł, że wyszłam z domu tak, jak stałam i bez torebki. Zresztą tego samego dnia dostarczył mi kilka sukienek i bieliznę. Nie wiem, skąd je wziął. Znowu zrobił mi potworną awanturę. Odpowiedziałam słodko, że liczyłam, iż po rozmowie z wysłannikiem centrali natychmiast odwiozą mnie do domu.

- Nie licz na powrót do domu - krzyczał - już tam nie wrócisz.

- Tym lepiej - odpowiedziałam - znudziła mi się już ta komedia i granie roli słodkiej żonki.

- W końcu Werner nie wiedział, czy mówię prawdę, czy kłamię. Nie chciał mnie jednak wypuścić z willi i kazał napisać list do Adama. Przewidując, że mogłabym odmówić, zaprowadził mnie do okna i pokazał wykopany dół.

Jeżeli nie napiszesz, że z nim skończyłaś - zagroził - zaraz go tu sprowadzę pod jakimkolwiek pozorem, choćby takim, że skreśliłaś nogę i nie możesz wrócić do domu. W tym pokoju, na twoich oczach, zastrzelę go i pochowam w tamtym dole.

- Wiedziałałam, że Adam dałby się zwabić na Radiową i Baumvogel nie żartował. Odpowiedziałam więc możliwie swobodnie, że oczywiście zaraz napiszę list, a jeśli chce wykończyć Wojciechowskiego, to niech go zastrzeli, ale po co alarmować całą polską milicję i cały kontrwywiad. Wszyscy przecież będą stawali na głowie, żeby odnaleźć słynnego wynalazcę. Władze domyśla się od razu, że jego nagłe zniknięcie jest sprawą obcego wywiadu. Ten argument trafił szefowi do przekonania, więc kazał mi jedynie napisać list. Pan major na pewno zna jego treść - dziewczyna zrobiła dygresję w swoim opowiadaniu. - Pisany na kartce podaniowego papieru w zielonej kopercie.

Major kiwnął twierdząco głową.

- Staralam się pisać jak najbardziej brutalnie. Miałam dwa cele na względzie. Po pierwsze, aby Wernerowi podobała się treść i aby myślał, że jego podejrzenia wobec mnie są nieuzasadnione. Nie wierzyłam, że zdecyduje się przywrócić mi swobodę ruchów, lecz liczyłam na osłabienie czujności. Z drugiej strony starałam się być jak najbardziej okrutna, aby Adam od razu spostrzegł kłamstwo pisane pod przymusem. Liczyłam też na obrączkę. Jediną rzecz, jaką zabrałam wychodząc z mieszkania. Kobieta, która wysyła takie pismo, nie zatrzymuje sobie obrączki.

Początkowo zresztą, gdy nie byłam jeszcze pewna życia, przypuszczałam, że kiedyś, kiedy odkryją moje zwłoki, to złote kółko pomoże władzom w ich identyfikacji. Na szczęście do tego nie doszło, ale i tak obrączka przydała mi się. Dzięki niej milicjant w Częstochowie rozpoznał mnie i przestał traktować jako wariatkę, która w nocnej bieliźnie, w ataku szału, wyskoczyła z pędzącego już w biegu pociągu. Bardzo ucieszyłam się, kiedy po dwóch dniach usłyszałam w radio komunikat o moim zaginięciu i nawet zobaczyłam swoją podobiznę w telewizji. Miałam dowód, że Adam nie uwierzył w te podłe słowa, jakich użyłam w moim liście i narobił alarmu. Wierzyłam, że odnalezienie miejsca mojego więzienia jest tylko kwestią czasu.

Słuchając słów dziewczyny, major lekko się zmieszał. Nie wyjaśnił jej jednak, że powód wszczęcia poszukiwań był zupełnie inny, a list po prostu przeleżał dwa dni na poczcie. Dziewczyna tymczasem mówiła dalej:

- Po ukazaniu się komunikatu Werner znowu wpadł w pasję. Zaostrzył też kontrolę nad moją osobą. Wprawdzie i dotychczas pilnowali mnie stale na zmianę z Zakrzewskim, ale obecnie zaczęli stosować zastrzyki oszalamiające. Codziennie rano dostawałam taki zastrzyk i byłam po nim półprzytomna przez kilkanaście godzin. Jednakże bezpośrednie niebezpieczeństwo przestało mi grozić. Z zagranicy nadeszło polecenie, żeby i mnie i zapis dostarczyć do centrali. Wtedy Werner nieco się przestraszył, wiedział dobrze, że jeżeli zapis jest prawdziwy, dostanie mu się po uszach za „spalenie” tak dobrze umieszczonego agenta. Ja zaś zdawałam sobie doskonale sprawę, że fachowcy z centrali bez trudu przekonają się o wprowadzeniu ich w błąd. Oznaczało to koniec. Oczywiście bez żadnego rozgłosu i procesu. Po prostu pewnego poranka ktoś odnajdzie na autostradzie mojego trupa przejechanego przez samochód, lub wyłowi ciało z rzeki czy jeziora. Rozumiałam, że ucieczka z drogi i to jeszcze w granicach Polski, stanowi moją ostatnią szansę. Robiłam jednak dobrą minę do złej gry i udawałam radość z powrotu do Niemieckiej Republiki Federalnej.

- Upłynęło jeszcze parę dni. Domyślałam się, że Werner szykuje możliwie najpewniejszy sposób przetransportowania mnie za granicę. Nadal codziennie rano dostawałam zastrzyk, lecz z prawdziwym zadowoleniem spostrzegłam, że jego działanie trwa coraz krócej. Organizm zaczął przyzwyczajać się do narkotyku. Udawałam jednak, że aż do wieczora jestem nieprzytomna.

- To normalny objaw - zauważył oficer - trzeba stale zwiększać dawki narkotyków.

- Tak. Ale Baunwogel o tym nie wiedział lub zapomniał. Dość, że dawki nie zwiększył i narkotyk działał coraz słabiej.

- Cały czas byliście na Radiowej?

- Tak. Pewnego dnia wpadł do domu Baunwogel bardzo przerażony. „Już nas znaleźli - zawołał - przed chwilą spotkałem jakiegoś durnia w ogródku. Starał się zajrzeć przez okno. Na szczęście uspokoiłem chłopaczka, ale trzeba natychmiast uciekać. Zabierać tylko niezbędne rzeczy”.

- Za pół godziny - mówiła dziewczyna - opuściliśmy Radiową samochodem Stefana. Znowu kluczyliśmy po mieście, zostawiliśmy wóz na parkingu na Sadach Żoliborskich, przesiadaliśmy się kolejno z jednej taksówki w drugą. Kiedy wreszcie Baunwogel nabrał pewności, że nikt go nie śledzi, pojechaliśmy do jego mieszkania, kawalerki przy ulicy Solec. Tam siedzieliśmy do wieczora. Baunwogel ucharakteryzował mnie na starszą kobietę, przemaalował włosy na siwe i dostarczył odpowiedniego ubrania. Wieczorem wszyscy pojechaliśmy na Dworzec Główny i wsiedliśmy do pociągu pośpiesznego Warszawa-Wiedeń. Na stacji w Wiedniu mieli nas oczekiwać wysłannicy centrali i zorganizować dalszą drogę do NRF. Bezpośrednio przed podróżą Werner zaaplikował mi znowu zastrzyk. Miałam jechać razem z nim jako jego żona. Wytworzyła się skomplikowana sytuacja, która zmusiła go do zabrania ze sobą i Zakrzewskiego, choćby jako konieczną eskortę do pomocy w pilnowaniu mnie. Do końca bowiem mi nie ufał, a rozumował słusznie, że jeżeli podejmę próbę ucieczki, to najpewniej uczynię to na granicy, przy kontroli dokumentów. Ja też o tym wiedziałam i postanowiłam go uprzedzić, spróbować uciec wcześniej.

- Skąd Werner wziął paszporty?

- Nie wiem. Ale orientuję się, że przy naszej centrali istniała cała wytwórnia fabrykująca najrozmaitsze dokumenty. Sprokurowanie jakichkolwiek paszportów nie stanowiło problemu. Kiedyś w mojej obecności zastanawiano się, czy mam jechać do Polski jako obywatelka szwajcarska, czy też w charakterze Angielki. Zdecydowano się na Szwajcarię nie dlatego, że łatwiej było o odpowiednie dokumenty, lecz po prostu moja angielszczyzna, chociaż płynna, zdradzałaby obce pochodzenie. Jako Szwajcarka mogłam swobodnie posługiwać się niemieckim. Sądzę, że Baumvogel miał różne paszporty przygotowane na wszelki wypadek. Wobec konieczności nagłego wyjazdu wybrał austriackie, bo to i pociąg bezpośredni do Wiednia i turystów znad Dunaju sporo się w Polsce spotyka.

- Dlaczego nie próbowała pani wszcząć alarmu na dworcu? Przy takim ruchu wystarczyło głośno krzyknąć.

- Przede wszystkim otrzymałam przed wyjazdem na stację zastrzyk i byłam kompletnie zamroczona jego działaniem. Szłam jak pijana. Ledwie mogłam wysiąść z taksówki. W tym stanie nie byłam zdolna nawet do głośnego krzyku. Bałam się również, że Baumvogel nie żartował mówiąc o pistolecie i zrobiłby z niego użytek. Cały czas prowadził mnie trzymając silnie pod rękę. Zakrzewski szedł z drugiej strony. Wyglądałam na pijaną i obawiałam się, że wszczęcie alarmu nikogo by nie wzruszyło. Po prostu wstawiona babka trochę rozrabia.

- Może pani ma i rację - przyznał major.

- Tak więc dotarliśmy do wagonu sypialnego. Plan działania miałam dokładnie z góry ustalony i pomimo zastrzyku wiedziałam, co mam robić. Mieliśmy z Wernerem jeden przedział, w paszportach figurowaliśmy jako małżeństwo. Zakrzewski jechał w sąsiednim pomieszczeniu. Gdy weszliśmy do przedziału, Stefan stanął przed nim niby to wyglądając przez okno, a właściwie na straży. Aby choć częściowo uspić podejrzenia Baumvogela z miejsca zaczęłam się rozbierać i położyłam do łóżka. Skarżyłam się jednocześnie na nudności i ból głowy. Wyglądało to zupełnie naturalnie, bo przecież dostałam już drugi zastrzyk tego dnia. Dotychczas dawano mi jeden na dobę. Liczyłam również, że kiedy się położę, zastrzyk prędzej przestanie działać. Zresztą naprawdę podle się czułam. Pan nie ma pojęcia, jakie to świństwo taki zastrzyk.

- Dobrze zdaję sobie z tego sprawę.

- Tak więc leżałam i udawałam, że śpię. Tymczasem pociąg ruszył. Koło Kuluszek poczułam, że pierwsze, najgorsze oszołomienie minęło. Jednak jeszcze nie odważyłam się na ucieczkę. Nadal udawałam śpiącą. Werner leżał na górnym posłaniu, ale wiedziałam, że nie śpi, lecz cały czas czuwa. Nie orientowałam się, co robi Zakrzewski, czy ciągle jeszcze czuwa w korytarzu, ale liczyłam, że im później, tym mniejsze są szanse spotkania go. Byłoby to nawet podejrzone, gdyby pasażer z biletem sypialnym pierwszej klasy całą noc przestał na korytarzu...

- Niewątpliwie - przytaknął major.

- Udawałam zatem, że śpię. Dopiero kiedy minęliśmy Piotrków „obudziłam się”, zaczęłam mówić, że mi niedobrze i zażądałam od Wenera, aby wstał i podał mi szklanekę wody. Złościł się lecz spełnił moje żądanie. Leżałam i z cicha pojękiwałam. Gdy wreszcie pociąg stanął w Częstochowie, usiadłam na łóżku i odegrałam całą

komedię ataku mdłości. „Wyprowadź mnie do ubikacji” powiedziałam do Baumvogela, a jednocześnie wstałam i otworzyłam drzwi na korytarz. Odpowiedział: „Później, jak pociąg ruszy”, ale ja udałam czkawkę tak artystycznie, jak gdybym za chwilę naprawdę miała mieć torsję. Udawałam, że nie mam nawet czasu włożyć nocnych pantofli. Chcąc nie chcąc, musiał pozwolić mi na opuszczenie przedziału. Wyszedł za mną. Szłam pierwsza pustym korytarzem. Dobrze przewidywałam - Stefana już nie było. Gdy doszłam do drzwi ubikacji, szybko je otworzyłam, weszłam do środka i natychmiast przekręciłam zasuwkę. Werner usiłował wejść za mną, ale spóźnił się o moment. Byłam nawet zdecydowana wybić okno, bo nie wiedziałam czy da się otworzyć. Na szczęście nie napotkałam przeszkód. Gdy uporałam się z tym, pociąg już ruszał, ale nie wahałam się ani chwili. Na kursie specjalnym, przed wysłaniem mnie do Polski, uczono nas wyskakiwania z samochodów i pociągów. Teraz przydała się ta nauka, chociaż moi instruktorzy nie przypuszczali, w jakiej sytuacji z niej skorzystam... Lądując na peronie straciłam równowagę i upadłam na kamienne płyty, jednak z dala od nabierającego coraz większej szybkości pociągu. Wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że chyba nikt w pociągu nie zauważył tego incydentu, nawet Baumvogel. Na peronie widziałam jednego czy dwóch kolejarzy, lecz odwróconych do mnie tyłem. Zerwałam się natychmiast i ile sił w nogach pobiegłam do podziemnego przejścia. Gdy dopadłam schodów, wiedziałam już, że jestem ocalona.

- Chyba już po udanym skoku miała pani tę pewność?

- No, nie bardzo. Bałam się, że Werner wyskoczy za mną. Zastrzyk jeszcze trochę działał, a na pustym peronie mógł mnie wykończyć. Przeszłam podziemnym przejściem do miasta. Tutaj spotkałam jakiegoś kolejarza, który zrobił przerażoną minę na widok bosej kobiety, ubranej jedynie w pizamę. „Gdzie jest jakiś milicjant?” - zapytałam.

- Wyjaśnił, że na dworcu znajduje się posterunek MO i pokazał jak do niego dojść. A może nawet zaprowadził mnie tam? Już nie pamiętam... Za stołem siedział milicjant, który również zdziwił się moim widokiem.

- Proszę mnie natychmiast skomunikować z jakimś oficerem milicji - zażądałam.

- Na razie nie ma tu żadnego - odpowiedział.

- To proszę sprowadzić. Sprawa jest bardzo pilna i ważna.

- Milicjant - ciągnęła Elza - chwilę mi się przyglądał. Otworzył szufladę i coś

czytał, wreszcie kazał mi zdjąć obrączkę. Obejrzał dokładnie napis na wewnętrznej jej stronie i oświadczył:

- Wy jesteście Elżbieta Wojciechowska. Muszę was zatrzymać do dyspozycji władz.

- Mimo mojej tragicznej sytuacji i pomimo że ciągle po zastrzyku szumiało mi potężnie w głowie - kończyła dziewczyna - nie mogłam powstrzymać się od wybuchu radości. Zdołałam wykrztusić: „Dawajcie prędzej te władze!”

Wtedy milicjant już bez sprzeciwu zaczął wykręcać numer powiatowej komendy MO. Za chwilę wiozł mnie tam samochodem. Oto, panie majorze, cała moja historia. Nie skłamałam ani słowem. Teraz wiecie wszystko.

### **Pożegnanie z Elżbietą**

Inżynier Adam Wojciechowski nic nie wiedział o losach Elżbiety, a tym bardziej o incydencie w Częstochowie, ani o przywiezieniu jego żony vel Elzy Opiola do Warszawy. Zdziwił się, kiedy pewnego wieczoru ktoś zadzwonił do drzwi jego mieszkania i do przedpokoju wszedł jakiś podoficer.

- Ja do pana inżyniera Wojciechowskiego - powiedział wojskowy.

- To ja. Słucham pana.

- Byłem już parę razy - usprawiedliwił się plutonowy - ale nikt nie otwierał.

- Dopiero co przyszedłem - wyjaśnił inżynier.

- Mam do pana list.

Inżynier rozerwał kopertę i odczytał krótkie pismo. Zawierało ono prośbę o wydanie oddawcy pisma: sukienki, ręcznika, zmiany bielizny, pończoch i jakichś pantofli oraz innych damskich drobiazgów osobistych. Inżynier aż zbladł.

- Moja żona odnalazła się? - zapytał.

- Ja nic nie wiem. Miałem polecenie oddać list i dostarczyć paczkę do aresztu.

- Żona jest w więzieniu?

- Nie wiem. Wykonuję rozkaz. Nie wiem dla kogo ta paczka. Wszelkie informacje, to najlepiej od tego, kto to pismo podpisał.

Inżynier znowu obejrzał kartkę papieru. Figurował na niej podpis majora Pałkowskiego. Adam był coraz bardziej zdziwiony. Major miał numer jego telefonu i w biurze i w domu, a nie zawiadomił o odnalezieniu Elżbiety? I dlaczego ona jest w areszcie? Widząc jednak, że od plutonowego nie otrzyma żadnych informacji,

Wojciechowski wyszukał w szafie żądane rzeczy i wydał je oddawcy listu. Po odejściu podoficera natychmiast zadzwonił do swojego przyjaciela, pułkownika Jareckiego.

- Przed chwilą był u mnie pewien wojskowy - powiedział po wstępnych powitaniach - przyszedł po rzeczy osobiste Elżbiety. Wcale mnie nie zawiadomiłeś, że się odnalazła. Co z nią się dzieje? Czy chora? Dlaczego nie odwieźliście jej wprost do domu?

- Co ty mówisz? Elżbieta odnaleziona? To wspaniale! - pułkownik udawał, że dopiero teraz o tym się dowiaduje. - Nic nie wiem.

- Nie wiesz! - przedrzeźniał go Adam. - Nie wiesz, a na kartce polecającej mi wydanie rzeczy żony figuruje podpis majora Pałkowskiego.

- Mój drogi, panowie z kontrwywiadu nie mają zwyczaju zwierzać się ze swoich poczynań oficerom nawet wyższych stopni, ale pracującym w innych służbach. Zwróć się do niego sam.

- Zaraz to zrobię. Jaki jest jego telefon?

- O ile wiem, nie ma telefonu.

- Jak to? Wysoki oficer kontrwywiadu nie ma telefonu? Co ty mnie bujasz? - inżynier był coraz bardziej rozdrażniony.

- Może ma, ale numer zastrzeżony. W każdym razie ja go nie znam. Spróbuj złapać go jutro w biurze.

Nazajutrz Wojciechowski od samego rana wydzwaniał numer majora Pałkowskiego. Jakaś urzędniczka niezmiennie odpowiadała „nie ma go, nie wiem kiedy wróci”. Wreszcie inżynier zdecydował się, pojechał do biura majora i dyżurnemu oficerowi oświadczył, że musi koniecznie zobaczyć się z Pałkowskim. Wojskowy zadzwonił gdzieś, po czym zakomunikował, że niestety oficer jest bardzo zajęty i w tej chwili nie może go przyjąć.

- Dobrze, zaczekam.

Dyżurny znowu telefonował i wreszcie oświadczył, że major będzie mógł przyjąć interesanta dopiero za trzy godziny. Wojciechowski spędził ten czas w najbliższej kawiarni. Dłużyły mu się te godziny okropnie, a zły humor wzrastał w szybkim tempie.

- Już ja im wygarnę - obiecywał sobie - co za biurokracja! Odnajdują zaginioną kobietę i zamiast odwieźć ją do męża, przetrzymują dla jakichś głupich formalności.



Wojciechowski ani się domyślał, że major dlatego nie może go przyjąć, bo właśnie przesłuchuje agenta wywiadu Elżę Opiolę, znaną Adamowi jako Elżbieta z domu Kaczmarek, Wojciechowską. Jego własną żonę.

- Pan nawet nie raczył telefonicznie zawiadomić mnie o tym - inżynier od razu zaczął robić majorowi wyrzuty. - Dlaczego nie odwieźliście jej do domu?

- Wiem, że pan jest na mnie wściekły. Może i słusznie, ale niestety musieliśmy to zrobić. Sprawa jeszcze nie jest zakończona. Musimy mieć pańską żonę pod ścisłą opieką. Nadal grozi jej niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - zaniepokoił się Adam. Dalszy ciąg ostrych słów, które sobie ułożył, gdzieś nagle zniknął. - Czy jest chora? A może ranna? Co się z nią dzieje?

- Niestety - uśmiechnął się oficer - na te pytania nie mogę panu w tej chwili odpowiedzieć. Zapewniam pana, że żona jest zdrowa, ale musimy jeszcze nią się opiekować.

- Najlepszą opiekę będzie miała we własnym domu!

- Tu nie chodzi o zdrowie czy wypoczynek po ciężkich przeżyciach. Po prostu względy bezpieczeństwa.

- A kiedy zwolnicie Elżbietę? Czy mogę z nią się zobaczyć?

- Niestety, muszę odmówić pańskiej prośbie. Kiedy ją zwolnimy? Trudno mi na to odpowiedzieć. Być może potrwa to jeszcze dość długo.

- Inżynier sposepniał.

- Niech pan się nie martwi. Wiem, że dla nie wtajemniczonego wygląda to wszystko trochę dziwnie, ale dla dobra śledztwa nie mogę udzielić dokładniejszych informacji. Zapewniam tylko, inżynierze, że pani Elżbieta ma dobrą opiekę i jest zdrowa.

- Czy mogę do niej przynajmniej napisać?

- Proszę bardzo. Tu jest papier.

Inżynier skreślił kilka zdań i oddał oficerowi.

- Czy można przesłać jej żywność i pieniądze?

- Po co? Zapewniamy jej wyżywienie z kasyna. Rzeczy osobiste dostała. Jeżeli będzie czegoś potrzebowała, ponownie zwrócimy się do pana.

- Czy dostanę odpowiedź od Elżbiety?

- Znowu muszę pana zmartwić. W tym stadium sprawy na razie nie.

- Co to za sprawa? Co z Elżbietą działo się przez te wszystkie dni? - inżynier

znowu wybuchnął. - Dlaczego jesteście tacy tajemniczy? Mąż ma prawo wiedzieć, co dzieje się z jego żoną. Odwołam się do wyższych władz.

- Inżynierze, niech pan się nie denerwuje. Jeżeli uznaliśmy, że musimy na jakiś czas zatrzymać panią Elżbietę i zachować całą sprawę w tajemnicy, to na pewno mieliśmy poważne powody do takiego, a nie innego postępowania. Śledztwo w sprawie, która dotyczy między innymi i tajemniczego zniknięcia jego żony, musi być doprowadzona do końca. Dobro tego śledztwa, zresztą i dobro osobiste pańskiej małżonki wymaga, aby korzystała z naszej ścisłej opieki.

- Pan mówi „opieki”, a to pewnie zwykły areszt? Major nie odpowiedział na ten zarzut.

- Obiecuję panu, że skoro będzie to możliwe, wezwę pana do siebie i zapoznam z całą historią.

- Kiedy to będzie?

- Może już za parę dni. Ale może i za parę tygodni. Teraz panu nie mogę powiedzieć ani ustalić terminu.

Inżynier próbował jeszcze prośbą i groźbą dowiedzieć się czegoś o żonie, lecz na wszystkie pytania major odpowiadał niezmiennie, że Elżbieta jest zdrowa, niczego nie potrzebuje i ma dobrą opiekę. Zupełnie zgnębiony Wojciechowski opuścił gabinet oficera wywiadu.

Mijały dni i tygodnie. Inżynier prawie codziennie dzwonił do majora i stale otrzymywał odpowiedź „jeszcze nie dzisiaj”. Codziennie też pisał długie listy do żony. Nie dostał ani jednej odpowiedzi. Był coraz bardziej przerażony przeciągającym się przetrzymywaniem Elżbiety i na próżno łamał sobie głowę, o co mogło chodzić majorowi i jego ludziom.

Gdy już tracił nadzieję na szybkie zobaczenie żony, niespodziewanie major Fałkowski sam do niego zatelefonował.

- Czy mógłby pan, inżynierze, przyjść do mnie dzisiaj o godzinie dwunastej? Chciałbym z panem porozmawiać i wytłumaczyć się z naszych dziwnych i niezrozumiałych poczynań.

- Więc już wszystko skończone? Będę mógł zabrać żonę spod waszej opieki?

- Przyrzekam, że dzisiaj udzielę panu wszystkich informacji - dyplomatycznie odparł major.

- Będę punktualnie o dwunastej.

Kiedy Wojciechowski znalazł się w pokoju majora, ten, po przywitaniu,

wyciągnął z biurka gruby tom akt.

- Sprawa jest już prawie wyjaśniona - powiedział - w każdym bądź razie w tym stopniu, że nie uważamy za konieczne utrzymywanie jej nadal w tajemnicy przed panem. Zapoznam pana z zeznaniami żony. Zeznaniami złożonymi całkowicie dobrowolnie i podpisanymi osobiście przez panią Elżbietę. To będzie lepsze niż referowanie przeze mnie całej historii. Sam pan oceni, że nasze postępowanie, które tak pana denerwowało i gniewało, było słuszne.

To mówiąc major podał inżynierowi obszerny protokół.

- Proszę, niech pan spokojnie czyta, ja zajmę się swoją robotą.

Wojciechowski zagłębił się w studiowanie akt. Major coś pisał, ale od czasu do czasu rzucał spojrzenie na siedzącego naprzeciw niego mężczyznę. Ten bladł i czerwieniał czytając spowiedź szpiega. Gdy skończył, twarz jego poszarzała, otarł chusteczką pot z czoła, chociaż w pokoju nie było bynajmniej za gorąco.

Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli.

- A co dzieje się teraz z Elżbietą?

- Jest w sąsiednim pokoju. Zaraz pan ją zobaczy. Major nacisnął guzik dzwonka. W drzwiach stanął służbowy.

- Wprowadzić aresztowaną - polecił oficer.

Drzwi otworzyły się ponownie. Stała w nich Elżbieta. Ubrana była w przyslaną przez inżyniera popielatą garsonkę. Czarne włosy miała starannie uczesane. Twarz, chociaż pozbawiona pudru i szminki, była jak zwykle piękna. Dziewczyna jedynie trochę zmizerniała i przybladła.

Widząc Adama zatrzymała się. Zrobiła ruch, jak gdyby chciała się cofnąć. Ale służbowy zamknął już drzwi do gabinetu, więc stała bez ruchu. Jej twarz robiła się coraz bardziej blada.

- Proszę, niech pani usiądzie - major powitał przybyłą tym samym zdaniem eo zawsze i zrobił ten sam gest, wskazujący krzesło przy biurku.

Kobieta podeszła i zajęła wskazane jej miejsce. Ani razu nie skierowała wzroku na siedzącego w pobliżu Adama. Palce jej rąk, leżących na kolanach, lekko drżały.

Również i inżynier, który w pierwszym momencie obrzucił wchodzącą Elżbietę długim, ciekawym spojrzeniem, tak jakby ujrzał ją po raz pierwszy w życiu, teraz nie patrzył na żonę. Wbił wzrok w jakiś punkt na ścianie.

Za to major obserwował ich oboje i uśmiechał się do własnych myśli.

- Chciałbym - oświadczył zwracając się do Elżbiety - odczytać pani pewien dokument. - To mówiąc wyjął z biurka duży, zadrukowany arkusz papieru, miejscami wypełniony maszynowym pismem. Inżynier zdołał zauważyć wybite tłustymi literami słowa „POSTANOWIENIE”

Major poprawił się w fotelu i zaczął:

*„Okręgowy Sąd Wojskowy dla M. St. Warszawy*

#### *Postanowienie*

*Okręgowy Sąd Wojskowy dla M. Stołecznego Warszawy na posiedzeniu niejawnym w dniu... w składzie... po zapoznaniu się z aktami śledztwa przeciwko Elzie Opiola vel Elżbiecie Wojciechowskiej, podejrzanej o to, że działając na szkodę narodu polskiego i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przybyła do Polski jako agent obcego wywiadu celem zbierania i przekazywania za granicę wiadomości mogących mieć istotne znaczenie dla bezpieczeństwa i obronności państwa, to jest o przestępstwo z art. art... Wojskowego Kodeksu Karnego, po wysłuchaniu okręgowego prokuratora wojskowego, na wniosek tegoż prokuratora, biorąc pod uwagę: dobrowolne zgłoszenie się do dyspozycji władz wyżej wymienionej Elzy Opiola vel Elżbiety Wojciechowskiej szczerą skruchę i szczegółowe zeznania Elzy Opiola vel Elżbiety Wojciechowskiej, które przyczyniły się do zdemaskowania zbrodniczej organizacji szpiegowskiej i ujęcie całej siatki obcego wywiadu znikomą szkodliwością działalności przestępczej Elzy Opiola vel Elżbiety Wojciechowskiej, która żadnych informacji za granicę nie przekazała postanowił sprawę umorzyć, kosztami postępowania obciążyć skarb państwa. Jednocześnie sąd uchyla decyzję prokuratora z dnia 30 sierpnia br., dotyczącą zastosowania aresztu wobec Elzy Opiola vel Elżbiety Wojciechowskiej.*

*Warszawa, dn. 12 października 1965 r.”*

Skończywszy odczytywanie dokumentu, major dodał:

- Na postanowieniu znajdują się odpowiednie podpisy i pieczęć Wojskowego Sądu Okręgowego. Postanowienie nabiera natychmiastowej mocy.

Elżbieta siedziała w milczeniu, ani jeden mięsień nie drgnął na jej bladej twarzy. Wobec tego major powiedział:

- Zgodnie z postanowieniem sądu jest pani od tej chwili wolna. Może pani

swobodnie opuścić ten gmach. Posterunek na dole jest uprzedzony i nie będzie czynił żadnych przeszkód. Po znajdujące się w areszcie rzeczy może pani zgłosić się jutro, albo odeślemy je pod wskazany adres.

Kobieta nadal milczała.

- Oczywiście - ciągnął dalej oficer - aż do dnia rozprawy sądowej przeciwko całej siatce szpiegowskiej z Baumvogelem i Zakrzewskim na czele, prosilibyśmy panią o nieopuszczanie Warszawy. Musimy również znać pani adres. Będzie pani wezwana na rozprawę w charakterze świadka. Po rozprawie odzyska pani całkowitą wolność poruszania się. Nie będziemy też stawiali żadnych trudności, jeśli zechce pani opuścić Polskę.

- Dziękuję panu, majorze - Elżbieta mówiła z dużym wysiłkiem - nigdzie z Polski nie wyjadę. Powinnam być wam wdzięczna, ale nie potrafię się cieszyć. Złamałam sobie życie. Nie wiem, czy nie byłoby znacznie lepiej, żebyście zamiast okazywać mi łaskę, zamknęli mnie na całe lata w więzieniu.

Głos jej się załamał i zakrywszy twarz wybuchnęła płaczem.

- Niech pani się uspokoi - major starał się przemawiać jak najbardziej dobrotliwie, jak ojciec do dziecka - jest pani młoda, przyszłość przed panią. Niekoniecznie za jeden błąd trzeba płacić zaraz całym życiem.

Tylko plecy kobiety, wstrząsane dreszczem świadczyły, że płacze nadal.

- Jeśli pani nie ma gdzie się zatrzymać, możemy załatwić na parę dni pokój w hotelu. Dopóki pani jakoś się nie urządzi. Również jestem upoważniony do oświadczenia, że w razie trudności z otrzymaniem pracy, ministerstwo przyjdzie pani i w tym zakresie z pomocą.

- Dziękuję - szepnęła Elżbieta przez łzy. - Pan jest bardzo dobry.

- Przepraszam, majorze - zabrał głos inżynier Wojciechowski - jeżeli dobrze zrozumiałem, sprawa jest zakończona i dalsza moja obecność tutaj zbędna. Pozwoli pan, że pana pożegnaj i również podziękuję za wszystko.

To mówiąc wstał i podał rękę majorowi, a potem zwrócił się do ciągle łkającej Elżbiety i powiedział miękko:

- Elu, wracamy do domu.

*Koniec*

„KB”